ZA KULISAMI OPERACJI KREMLA

Rosyjski szpieg w Polsce – jak łowił „znajomych" na Facebooku

śledztwo DO RZECZY

Semka broni pomników smoleńskich

Lichocka o dziadku Rymkiewicza

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 15/268 9–15 KWIETNIA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CENCKIEWICZ UJAWNIA

Hermaszewski – kosmonauta Jaruzelskiego

Czy to przez niego prezydent Duda zawetował ustawę degradacyjną?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 94,5 tys. egzemplarzy

eprasa.pl c7db

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 9 KWIETNIA 2018

DRUGI ODCINEK SERII
Mieszko I. Prawdziwa historia

Pokazujemy, jak Mieszko I budował państwo od podstaw, jakim był władcą i co zdecydowało o jego sukcesie.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl c7db8fd58

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Populistyczna licytacja

Prezes Prawa i Sprawiedliwości postanowił przejść do kontrataku. Widząc spadające sondaże, Jarosław Kaczyński ogłosił w czwartek, że „ministrowie konstytucyjni, sekretarze stanu, którzy są politykami, zdecydowali się oddać nagrody do połowy maja na cele społeczne, do Caritasu". Szef PiS dodał, że w Sejmie zostanie wprowadzona ustawa obniżająca pensje posłom i senatorom o 20 proc., a także wprowadzony ma zostać nowy limit pensji dla wójtów, burmistrzów, prezydentów, marszałków, starostów i ich zastępców. „Krótko mówiąc, będzie dużo, dużo skromniej, skromniej, niż było dotychczas" – dodał prezes.

W sensie politycznym przekaz jest jasny. Jarosław Kaczyński wyciągnął wnioski z kampanii opozycji, która od kilku tygodni nieustannie wałkowała sprawę nagród i pensji polityków. W tej kampanii wzięło udział kilka niezależnych od siebie podmiotów. Opozycja, bo chciała pokazać pazerność PiS, antypisowskie media, z tegoż samego powodu, oraz tabloidy, głoszące konsekwentnie wizję, zgodnie z którą wszyscy politycy, nieważne z jakiej formacji, to hipokryci, oszuści, dorobkiewicze i chciwcy. Prezes PiS, jak to ma w zwyczaju, postanowił swoich oponentów pokonać ich własną bronią. W tym sensie ogłoszenie obniżek i odebranie premii to faktycznie as wyciągnięty z rękawa. „Mówicie nam, że poszliśmy do polityki, żeby się wzbogacić? To patrzcie" – w ten sposób Jarosław Kaczyński zagrał na nosie swoim przeciwnikom. Właśnie z powodu takich manewrów tak bardzo nie znoszą go przeciwnicy: kiedy już wydaje się, że prezes wpadł w pułapkę, on nagłym ruchem potrafi się z niej uwolnić.

Tyle że w tym przypadku to posunięcie oznacza, że prezes PiS przebił populizmem innych populistów. Jak sam zauważył przytomnie: vox populi, vox Dei. Jednak dla państwa licytacja, kto żyje skromniej i które rządy gorzej płacą swoim urzędnikom, jest – nie waham się tego powiedzieć – zgubna. Jeśli już obecnie ogólny poziom posłów i senatorów jest niski, to po reformach PiS będzie jeszcze niższy. Trudno mi sobie wyobrazić, kto – poza ludźmi cierpiącymi na potrzebę nieustannego bycia widzianym publicznie – będzie chciał walczyć o mandat poselski. Obniżka pensji dla posłów i senatorów to zatem pomysł zły, bo musi on prowadzić do selekcji negatywnej.

Jeszcze gorsze jest odebranie ministrom i wiceministrom nagród. Sytuacja, w której nie ceni się fachowości, nie płaci dobrze za odpowiedzialne wykonanie pracy, jest dla państwa szkodliwa. O ile już teraz trudno było pozyskać do pracy w administracji publicznej specjalistów, o tyle teraz będzie to jeszcze trudniejsze. Różnice w płacach między menedżerami pracującymi w firmach prywatnych i państwowych będą jeszcze większe. W przypadku ministrów i wiceministrów trudno też mówić o stabilności zatrudnienia, co mogłoby być rekompensatą za pobieranie niższych pensji niż na wolnym rynku. Co gorsza, decyzja prezesa może powodować wprowadzenie nieformalnego cenzusu wieku i majątku: okaże się, że polityką mogą się zajmować albo ludzie pochodzący z bardzo bogatych rodzin, albo ludzie, którzy nie muszą się troszczyć o utrzymanie bliskich, być może samotni emeryci. Co to ma wspólnego ze sprawiedliwością społeczną i logiką, nie pojmuję.

Ta walka z bogaceniem się będzie prowadzić, jestem tego pewien, nie do pojawienia się liczniejszej grupy oddanych państwu społeczników, ale do odpływu fachowców oraz jeszcze bardziej przemyślnych sposobów poszukiwania dodatkowych zarobków przez polityków. Pojawi się jeszcze silniejsza pokusa, żeby po pracy na stanowisku ministerialnym przeskoczyć a to do rady nadzorczej, a to do zarządu odpowiednio dużej spółki.

W ten sposób opozycja pospołu z rządem uczestniczą w absurdalnym wyścigu na populizm. Jeśli ktoś na tym naprawdę traci, to niestety Polska. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl c7db8fdf58

TEMAT TYGODNIA

62 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
TOWARZYSZ KOSMONAUTA
Mirosław Hermaszewski – nieprzypadkowy członek WRON

66 SEBASTIAN LIGARSKI, GRZEGORZ MAJCHRZAK
WRON OD KULIS

RAPORT „DO RZECZY"

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ENERGETYCZNY SZPIEG
Kulisy działań obcych służb w resorcie energii

JAK SZPIEGUJE ROSJA

20 ROZMOWA Z BYŁYM SZPIEGIEM KGB
BYŁEM NIELEGAŁEM

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
OSIEM LAT CZEKANIA NA GODNOŚĆ
Koniec pewnej epoki

26 KAMILA BARANOWSKA
KTO ODPOWIADA ZA PR WŁADZY

29 MARCIN MAKOWSKI
RADYKALNA ZMIANA?

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„ZWYKŁY POLAK" PATRZY NA PIS

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
MILIONY ZA SZTUKĘ
Afera raczej dmuchana

36 ŁUKASZ WARZECHA
CHORY SYSTEM

38 ROZMOWA Z IGOREM ZALEWSKIM
WYRWIJMY CHWASTY Z JĘZYKA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PTASIA CHRYJA

KULTURA

42 JOANNA LICHOCKA
WIECZNE KOŁO
Czym zajmował się dziadek J.M. Rymkiewicza

46 WIESŁAW CHEŁMINIAK
CZERWONA ŁÓDŹ PODWODNA

48 PIOTR GOCIEK
KASANDRA I DYKTATOR

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z DR. PIOTREM DARDZIŃSKIM
KONIEC SOCJALISTYCZNEGO FEUDALIZMU
Musimy podnieść poziom studiów

59 MAREK GRÓBARCZYK
AUTOSTRADY RZECZNE TO KONIECZNOŚĆ

ŚWIAT

70 TOMASZ WRÓBLEWSKI
TWARDY KURS BOLTONA
Nowy doradca Donalda Trumpa

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
RADYKALNIE INNA JAPONIA

76 TERESA STYLIŃSKA
DWADZIEŚCIA LAT SPOKOJU

78 SZEWACH WEISS
SĘPY NAD SYRIĄ

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
POŻEGNANIE Z FACEBOOKIEM?
Jak upadali najpotężniejsi

86 MACIEJ PIECZYŃSKI
INTEGROWAĆ UKRAIŃCÓW

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
LEKI, CZYLI ŻYCIE
Rak nerki to nie wyrok

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (69), KOWALCZUK (80), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl c7db8fdf58

Oferta
dla domu

Wszędzie tam, gdzie potrzebujesz pomocy.

Jesteśmy przy Tobie.

Wybierz ofertę „Przyszłość bez awarii”
i korzystaj z pomocy fachowców!

PGE
Zapewniamy energię

JUŻ DZIŚ PODPISZ UMOWĘ

Zapraszamy do
Biur Obsługi Klienta PGE
422 222 222
serwis@gkpge.pl
ebok.gkpge.pl lub **zapewniamyenergie.pl**

eprasa.pl c7db8fdf58

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w naszym dziale głosy o niedzielach bez handlu i oszczędnościach w ZUS.

Jeszcze o handlu w niedziele

Pani Aleksandra G. ma świętą rację [reakcja na list Czytelniczki – „Do Rzeczy" 14/2018 – przyp. red.].

Pamiętam kolejki przed sklepami w latach 50., 60. i 70. Przyszła kaszanka, przyszły nici... – podawano intymnie między sąsiadkami. Polacy! Najwyższy czas się otrząsnąć z paniki, że zabraknie! Półki się uginają od towaru, zresztą coraz częściej niepotrzebnego.

W Niemczech sklepy są zamykane już w sobotę po południu. We Francji, czy tu, w Brukseli, galerie i duże sklepy są i były zawsze zamknięte w niedziele, z wyjątkiem piekarni, kwiaciarni i oczywiście restauracji. Drobny handel jest dozwolony, bowiem jest coraz bardziej zanikający, zaś małym sklepikom nocnym (cieszącym się szczególnym popytem na alkohole i papierosy) trudno dostać licencje, zwłaszcza że nie wolno im następnie pracować w dzień.

W dużych miastach powodzeniem cieszą się stragany jarmarczne, często niedzielne, gdzie można kupić wszystko, no i atmosfera bardziej naturalna niż w klimatyzowanych „galeriach".

Robić z tej sklepowej reformy zawieruchę polityczną? Opamiętajmy się!

J. Kowal

Oszczędności w szklanych pałacach ZUS

Ostatnio w TVP Info widziałem wypowiedź kogoś z ZUS, kto chwali się, że stosunek aktualnych wpłat do wypłat świadczeń jest najkorzystniejszy od iluś lat. Co prawda, ZUS wciąż przynosi straty, ale dla tego pana i dla TVP Info powód, że straty te są niższe niż wcześniej, to już powód do dumy. Zasmuca mnie takie podejście do finansów publicznych, czyli pieniędzy nas wszystkich, ale jeszcze bardziej zasmuca mnie powód tego „sukcesu".

Otóż moim zdaniem ZUS oszczędza na ubogich, chorych ludziach. Oczywiście służę przykładem. Ojciec znajomego miał ciężki udar mózgu jakieś 10 lat temu. Od tego czasu, gdy po miesiącach prywatnej rehabilitacji stanął na nogi (chodzi o kuli, nie jest w pełni samodzielny, musi często odpoczywać, potrzebuje pomocy w trudnych miejscach etc.), otrzymuje rentę. Od lat każda komisja (a przechodzi je co kilka lat) orzekała, że oprócz renty przysługuje mu dodatek pielęgnacyjny (ok. 200 zł). W tym roku ten dodatek mu zabrano.

Czy jego stan się poprawił? Ani o jotę! Wręcz się pogorszył – bardzo złe wyniki badań serca, założone stenty, zawroty głowy, ciągłe zmęczenie. Czy zmieniły się przepisy? Z tego, co mówił znajomy – nie.

Komisja „drugiej instancji" raczej podtrzyma decyzję pierwszej. O ile mi wiadomo, takich osób jest w Polsce dużo, dużo więcej. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to poproszenie Was o przyjrzenie się sprawie. Ile ZUS za dobrej zmiany zabrał takich dodatków, grup inwalidzkich itp.? Może inni czytelnicy spotkali się z podobnym problemem?

Finanse państwa, dobra kondycja systemu emerytalnego i rentowego są szalenie ważne. Jednak szaleństwem jest ich ratowanie kosztem ubogich, chorych ludzi, którzy tych pieniędzy potrzebują, a walka o nie to dla nich groźny dla zdrowia stres.

Z poważaniem
Paweł G.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 94,5 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c7db8fdf58

Z MINI RATKĄ DECYZJE NABIERAJĄ ROZPĘDU RRSO 3,46%

POŻYCZKA GOTÓWKOWA

- dla nowych klientów lub osób przenoszących swoje kredyty i pożyczki z innych banków i instytucji kredytowych
- przy spłacie rozłożonej na 9 rat

Bank Polski
dzień dobry

RRSO – Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania. Udzielenie pożyczki jest uzależnione od posiadania zdolności kredytowej. Szczegółowe informacje o produkcie, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne w placówkach Banku i na www.pkobp.pl.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl c7db8fdf58

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dlaczego to tak boli

Wiem, że wylano już sporo atramentu, aby skomentować weto prezydenta Andrzeja Dudy wobec ustawy degradacyjnej. Mimo to czuję, że muszę wyjaśnić raz jeszcze, dlaczego decyzja prezydenta tak mnie zabolała. Nie tylko mnie, lecz także wielu jego wyborców.

Należę do pokolenia „zdradzonego o świcie". 13 grudnia 1981 r. będzie dla mnie najważniejszym przeżyciem generacyjnym i nie oddzielę go od postaci Wojciecha Jaruzelskiego oraz reszty generałów z WRON. I argumenty, że jest za późno lub że „śmieszne jest karanie trupa", mnie nie przekonują. Widzę, że części kadry wojskowej wmówiono, że zdegradowany może być każdy, kto służył w LWP. Kiedyś straszono, że lustracja obejmie każdego, aż do poziomu majstra w fabryce. Zauważam też, że młoda generacja nie rozumie wagi tego problemu dla pokolenia dzisiejszych 50-, 60-latków. Jednak zbyt długo oglądałem w III RP pysznienie się szefa WRON w mediach, klepania go po plecach przez Adama Michnika, by teraz spokojnie oglądać triumfujące miny Leszka Millera i Moniki Jaruzelskiej. Dla mnie to sprawa żywa i bolesna.

I tak samo nie umiem się pochylać z troską nad niedoinformowanym gen. Mirosławem Hermaszewskim, kupować jego bajki o tym, że wpisano go do WRON bez jego wiedzy. Dzielny zdobywca tytułu Bohatera ZSRR był posłusznym członkiem tego gremium, gdy strzelano do górników Wujka i zakatowano Przemyka.

A degradacja to nie jest przewód sądowy, gdzie należy się tryb odwoławczy. To decyzja symboliczna, która winna być w gestii szefostwa każdego wojska. I nie jest dla mnie obojętne, czy w polskiej armii, która żyje w cieniu groźby trudnej do wykluczenia rosyjskiej agresji, traktuje się wysługiwanie Rosjanom jako coś do wybaczenia, czy nie.

Dlaczego Andrzej Duda nie zainteresował się kształtem ustawy, zanim przeforsował ją parlament? Czy znów powraca koszmar z lipca zeszłego roku, gdy zawodziła komunikacja na linii PiS – Pałac Prezydencki? A przecież w ramach rozwiązania tamtego kryzysu wokół poprzedniego weta prezydent dostał na tacy głowę Antoniego Macierewicza. I co? Jakie wnioski z tego wyciągnięto w Pałacu?

I gdzieś w tle jest jeszcze podejrzenie, że ktoś zatroszczył się, aby, broń Boże, nie stracić w 2020 r. głosów postpeerelowskich trepów. Być może trepy z LWP łaskawie oddadzą za trzy lata głos na gospodarza Belwederu. Jednak równie dobrze Andrzeja Dudę może czekać los Lecha Wałęsy, któremu w wyborach prezydenckich w 1995 r., po latach „wzmacniania lewej nogi", zabrakło do wygranej głosów tych, którzy go wybrali pięć lat wcześniej.

Sam Andrzej Duda przyznaje, że o wecie zadecydowała obawa o to, jak zostanie to przyjęte na Zachodzie. Skoro tak, to teraz każda istotna polska reforma może wywoływać lęki, że skłóci nas z Brukselą.

Niedawno pisałem ironicznie o argumentacji obrońców szefa WRON. Degradacja Jaruzela: 1989 r. – nie, bo to prezydent; 1991 r. – nie, bo nie kopie się leżącego; 1995 r. – nie, bo ważniejsze jest go osądzić; 2001 r. – nie, bo to człowiek honoru; 2006 r. – nie, bo nie wiadomo, czy Lepper nie zablokuje; 2015 r. – nie, bo są ważniejsze sprawy. Teraz dopisuję: Wielki Piątek 2018 r. – nie, bo Bruksela się skrzywi.

I dlatego prezydenckie weto tak boli. ©℗

FOT. KANCELARIA PREMIERA/TWITTER

MEMENTO SMOLEŃSK W BUDAPESZCIE

– Nie można zrozumieć współczesnej historii Polski bez zrozumienia tej straszliwej katastrofy, jaką była katastrofa smoleńska – oświadczył w piątek premier Mateusz Morawiecki. Wraz z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim oraz szefem węgierskiego rządu Viktorem Orbánem wziął on udział w uroczystościach odsłonięcia pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej Memento Smoleńsk. – Pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej jest pięknym gestem, który ma umacniać naszą przyjaźń – podkreślił Kaczyński. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

Kolejne zarzuty dla Adamowicza

Prokuratura rozszerza zarzuty w toczącym się od września ubiegłego roku procesie Pawła Adamowicza. Śledczy z Wrocławia do dotychczasowych zarzutów dodali ten, że w oświadczeniu majątkowym z 2012 r. podał błędną informację o swoich oszczędnościach. Adamowicz miał „uszczuplić" swoje oszczędności o ok. 180 tys. zł. Prokuratura zarzuca też włodarzowi Gdańska zatajanie w zeznaniach PIT części dochodów, przez co uszczuplił podatek dochodowy za 2011 r. o 77 tys. zł, a za 2012 r. – o 54 tys. zł. „4 kwietnia 2018 roku prokurator ogłosił Pawłowi A. zarzuty popełnienia trzech przestępstw" – czytamy w komunikacie działu prasowego Prokuratury Krajowej.

FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

Co na to podejrzany? Uważa, iż nowe zarzuty mają charakter polityczny. „Jak już wcześniej mówiłem, im bliżej wyborów, tym bardziej można się spodziewać kreowania przez podporządkowaną politycznie prokuraturę kolejnych spraw i wątków dotyczących mnie lub urzędu miasta" – napisał w oświadczeniu. „W tych sprawach prokuratura postępuje gorliwie. W innych nie" – dodawał.

Nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych Adamowicza idą w setki tysięcy złotych. Prezydent „zapomniał" również o wpisaniu do nich trzech z siedmiu posiadanych mieszkań.

Paweł Adamowicz jest prezydentem Gdańska od 1998 r. Od początku istnienia Platformy Obywatelskiej zaangażował się w tworzenie jej struktur. PO zapowiedziała, że nie poprze go w kolejnych wyborach samorządowych. Adamowicz powiedział, że będzie kandydował nawet bez poparcia partii. ©℗ ***(raw)***

OTRUTY SZPIEG WRACA DO ZDROWIA

Stan 66-letniego Siergieja Skripala, byłego pułkownika rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU i tajnego współpracownika brytyjskich służb wywiadowczych, szybko się poprawia – poinformowali w piątek przedstawiciele szpitala w Salisbury.

Jak podała BBC, do zdrowia wraca również 33-letnia córka podwójnego agenta, Julia. Kobieta jest przytomna i może swobodnie rozmawiać.

W zeszłym tygodniu dziennik „The Times" ujawnił z kolei, że władze w Londynie przekazały brytyjskim sojusznikom informację, że środek chemiczny nowiczok użyty przy próbie zabójstwa Skripala pochodził z tajnego rosyjskiego laboratorium w Szychanach w obwodzie saratowskim. Rosja wciąż kategorycznie zaprzecza, by brała udział w próbie zabójstwa swego dawnego agenta. ***(jap)*** ©℗

SUROWA KARA ZA KORUPCJĘ

24 lata więzienia oraz grzywna w wysokości 17 mln dol. Na taką karę, za korupcję, nadużycie władzy oraz wymuszenia, sąd w Seulu skazał w piątek byłą prezydent Korei Południowej. Sąd uznał ją winną 16 z 18 czynów zarzucanych jej przez prokuraturę.

Skandal korupcyjny, po którym Sąd Konstytucyjny odsunął od władzy 66-letnią Park Geun-hye, wybuchł niemal dwa lata temu. Osadzona w areszcie Park konsekwentnie zaprzecza oskarżeniom i przekonuje, że proces w jej sprawie jest motywowany politycznie. ***(jap)*** ©℗

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

ŚWIĘTO KSIĄŻKI RELIGIJNEJ I DOBRYCH MEDIÓW

PATRONAT DO RZECZY

Od 12 do 15 kwietnia w Arkadach Kubickiego Zamku Królewskiego w Warszawie będą się odbywać XXIV Targi Wydawców Katolickich. To jedno z ważniejszych wydarzeń dla środowiska wydawców publikacji religijnych.

Tegoroczna edycja zgromadzi o 10 proc. wystawców więcej niż w 2017 r. W sumie ponad 12 tys. publikacji zaprezentuje na targach blisko 170 wystawców z całego kraju, oficyn kościelnych, zakonnych i świeckich specjalizujących się w publikacjach o tematyce religijnej.

Targi to również okazja do spotkania i rozmowy z ulubionymi autorami oraz do uzyskania pamiątkowego wpisu w książce. Udział w tegorocznych targach potwierdzili m.in.: prof. Andrzej Nowak, prof. Wojciech Roszkowski, Jan Pospieszalski, Grzegorz Górny, Jan Rosikoń, abp Wojciech Polak, bp Henryk Ciereszko, Mateusz Szpytma, ks. Arkadiusz Paśnik, s. Anna Maria Pudełko, ks. prof. Waldemar Chrostowski czy Magdalena Ogórek.

W trakcie targów odbędą się też panele dyskusyjne, m.in.: „Elementarz dla Rodziców", Sprawiedliwi i dziejowa niesprawiedliwość". Organizatorzy zaplanowali także warsztaty, np. „Dylematy mamy i taty w kuchni", oraz premierowy koncert albumu „Trzy Sny" Kuby Kornackiego i grupy Kanaan. Podczas targów odbędzie się też panel dyskusyjny na temat pomocy uchodźcom oraz ofiarom wojny na Bliskim Wschodzie z udziałem Zygmunta Kwiatkowskiego SJ, autora reportażu „Za daleki Bliski Wschód", oraz Janiny Ochojskiej, prezesa i fundatora Polskiej Akcji Humanitarnej. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kto mieczem wojuje

Sam tego chciałeś, Grzegorzu Schetyno – ciśnie się na usta komentarz do furii, z jaką przewodniczący PO zaatakowany został we własnym obozie. Styl ataku jest taki, jak to zwykle w „opozycji totalnej", ale tym razem trudno nie czuć schadenfreude.

Wydało się Schetynie, że może się kierować politycznymi kalkulacjami. Rafał Dutkiewicz ogłosił, że po raz kolejny o urząd prezydenta Wrocławia, który sprawuje już 16 lat, ubiegać się nie będzie, opozycja nie ma w tym mieście mocnego kandydata, a sam Dutkiewicz zaistniał kiedyś jako wspólny kandydat PiS i PO, potem zaś przez wiele lat czerpał z obu elektoratów. Należy więc wystawić przeciwko niemu kandydata niejednoznacznego, najlepiej jakiegoś konserwatystę, kiedyś związanego z PiS, ale krytycznego wobec jego rządów. Dokładnie tak, jak zrobił to w 2007 r. Tusk, wyciągając z orbity PiS Sikorskiego, Mężydłę, Piterę czy Borusewicza.

Schetyna obraca się wśród ludzi, żyjących w histerycznej nienawiści do wszystkiego, co im się kojarzy z prawicą

Pozyskanie na kandydata „wspólnego namiotu" Kazimierza Michała Ujazdowskiego byłoby więc posunięciem bardzo skutecznym, gdyby swą grę toczył Schetyna na szachownicy i przesuwał wystrugane z drewna figury. Schetyna obraca się jednak wśród żywych ludzi, żyjących w histerycznej nienawiści do wszystkiego, co im się kojarzy z prawicą, katolicyzmem i PiS. Na wieść, że „ich" strona dogaduje się z PiS-owcem, ludzie ci dosłownie zawyli. Dla obserwatora z zewnątrz furia, z jaką na Schetynę rzucili się Marta Lempart „jako lesbijka" (jak sama napisała), Jacek Dehnel (jako pisarz, jak zgaduję), Władysław Frasyniuk (jako legenda) czy Tomasz Cimoszewicz (jako dziedzic familii szczególnie zasłużonej dla lewicy), jest groteskowa. Zwłaszcza krzyki, że Ujazdowski „będzie się komunikował z wyborcami przez ambony" (Frasyniuk) albo „chodzi na pasku bandytów z Ordo Iuris" (Lempart), nie mówiąc już o złożeniu przez wiceministra-cienia Cimoszewicza dymisji (cienia dymisji?) z platformianego „gabinetu cieni".

Pod tą groteską kipią jednak autentyczne emocje – emocje, które swego czasu cynicznie rozbudził sam Schetyna, ogłaszając formułę „opozycji totalnej" i licytację, „kto bardziej przeciwko PiS". Ta rywalizacja na „antypisizm" pozwoliła mu zwasalizować i wchłonąć Nowoczesną, ale teraz czyni go zakładnikiem skrajnych radykałów i uniemożliwia racjonalną grę. Powtórzę – sam tego chciałeś, Grzegorzu… ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Na kłopoty komisja

Komisja śledcza ds. wyłudzeń podatku VAT powinna powstać. Bezwzględnie. Powinna powstać, bo każdy z nas powinien się dowiedzieć, jak bardzo państwo w minionych latach nie działało, którzy urzędnicy podatkowi i państwowi, zaniedbując obowiązki i współpracując z gangsterami, doprowadzili do tego, że Polska w latach 2007–2015 straciła setki milionów złotych.

Jeszcze kilka miesięcy temu w rozmowie z „Do Rzeczy" minister Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych, mówił, że ustalenia śledczych wskazują na działalność nie tylko lokalnych gangów, lecz także zorganizowanej ogólnopolskiej struktury „wyłudzaczy VAT" sięgającej kręgów poprzedniej władzy.

Sęk w tym, że komisja powinna powstać rok, najpóźniej kilka miesięcy temu, a dziś dzielić się z opinią publiczną ustaleniami końcowymi. Dziwnym trafem rządzącemu obozowi się nie spieszyło. Tak jak nie spieszy się podległej ministrowi Ziobrze prokuraturze z wyjaśnieniem sprawy inwigilacji dziennikarzy w latach 2007–2014. Śledztwo, bez widocznych dla pokrzywdzonych efektów, trwa już ponad dwa lata. Nie spieszy się też prokuraturze ze sprawdzeniem, czy przy sprzedaży „Rzeczpospolitej" Hajdarowiczowi doszło do nieprawidłowości.

Prace nad powołaniem komisji śledczej przyspieszyły dopiero, gdy partia rządząca zaczęła tracić poparcie w sondażach, a to już budzi wątpliwości. Nie co do zasadności powołania komisji, bo to uważam za bezdyskusyjne. Rodzą się jednak pytania, czy obecna władza do dbałości o państwo nie podchodzi równie lekceważąco jak ci, których zastąpiła, i czy ryzyko utraty społecznego poparcia nie okazuje się jedyną metodą egzekwowania działań naprawczych w państwie. ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Niezrozumiałe weto prezydenta

W dniu, gdy do Sejmu wpłynęło prezydenckie weto wobec ustawy degradacyjnej, zapytałem jednego z ministrów – z reguły przychylnego Andrzejowi Dudzie – czy rozumie, czym kierował się prezydent. Odpowiedź była krótka: „Nie".

Ja także tego nie rozumiem. Jakkolwiek tę decyzję analizować, w żaden sposób się ona nie tłumaczy. W związku z jedynym konkretnym i słusznym zastrzeżeniem – brakiem trybu odwoławczego w przypadku degradacji członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego – można było odesłać konkretny przepis do Trybunału Konstytucyjnego. Pozostałe elementy prezydenckiego uzasadnienia weta brzmią mało przekonująco.

Trudno pojąć, kogo pan prezydent chciał sobie zjednać. Wśród twardego elektoratu wywołał zrozumiałe oburzenie, szczególnie że jest to sprawa niemal wyłącznie symboliczna, a nie realna, tak jak w przypadku ustaw sądowych, co mimo wszystko jakoś w oczach tych wyborców weta z lipca 2017 r. tłumaczyło. Elektorat lewicy i tak na Andrzeja Dudę głosował nie będzie. Z kolei wyborcy bardziej umiarkowani przypomnieli sobie natychmiast, w ilu znacznie bardziej wątpliwych sprawach pan prezydent nie próbował kwestionować przysyłanych mu do podpisu ustaw. Od nocnego zaprzysiężenia sędziów TK przez podpisanie ustawy o ziemi, o aptece dla aptekarza, o zakazie handlu w niedziele do nowego prawa łowieckiego. Fatalną ustawę o IPN Andrzej Duda podpisał i wysłał jedynie do kontroli następczej, podczas gdy tam weto mogło się wydawać znacznie bardziej zasadne. A jeśli już miał jakieś wątpliwości co do potraktowania uczestników PRL-owskiego reżimu, to może powinien był raczej zawetować ustawę dezubekizacyjną, która przecież odbiera części obywateli uprawnienia emerytalne, uzyskane już w III RP, i to po pozytywnej weryfikacji.

Każde weto – atomowa broń głowy państwa – zużywa polityczny kapitał Andrzeja Dudy. Teraz można spokojnie założyć, że przez długi czas kolejnego weta nie zobaczymy. Również w sprawach, które znacznie bardziej by na to zasługiwały. ©℗

Naszej Drogiej

Barbarze Macierewicz-Żabowskiej

serdeczne wyrazy współczucia z powodu straty Męża,

ŚP. Janusza Żabowskiego

składają przyjaciele z Wydziału Chemii UW z rodzinami

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pół żartem, pół tweetem

Kiedy piszę te słowa, czuć jeszcze nastrój świąteczny, za oknem wiosna, a Twitter nie pozbierał się po rozkręceniu karuzeli śmiechu, której na imię Prima Aprilis. Aby żaden z żartów państwu nie umknął, przedstawiam crème de la crème.

„Za namową Rafała Trzaskowskiego wstępuję do warszawskiej PO. Wszystkie ręce na pokład!" – rozpoczął sezon transferowy znany fan warszawskiej Platformy, Jan Śpiewak.

„Drodzy! Po latach pracy w »Gazecie Wyborczej« nadszedł czas na zmiany. Po namowach przyjaciół z »Do Rzeczy« dołączyłam do ich ekipy, by wytykać kłamstwa moich byłych redakcyjnych kolegów" – zadeklarowała Dominika Wielowieyska. Pani Dominiko, chyba nie ten adres. Gdybyśmy chcieli wytykać błędy redakcyjnych kolegów (co z koleżankami?), musielibyśmy otworzyć osobny tygodnik.

„Drugi raz członkowie rządu mylą mnie z wiceszefem MSW Pawłem Majewskim. Kilka tygodni temu jeden z ministrów zatelefonował i zaprosił mnie na konsultacje międzyresortowe. Gdyby księgowa przy nagrodach rządowych się myliła, będę zobowiązany" – oburzył się (chyba serio) były dziennikarz, Michał Majewski.

A wszystko z nadgorliwości Joachima Brudzińskiego, który łykając primaaprilisową konwencję Uniwersytetu Warszawskiego, proponującego studia dla polityków, na zajęcia z „BHP korzystania z mediów społecznościowych" zapisał Pawła Szefernakera i… Majewskiego. Jednak nie tego, co trzeba. Może te studia nie musiałyby być od razu takie śmieszne?

Korzystając z okazji, do dyskusji włączyła się minister Jadwiga Emilewicz. „Zapraszamy do rządu, panie Michale" – zaproponowała. I coś, co było pomyłką, przerodziło się w propozycję kariery życia.

Zostawmy tematy przyziemne. „Pomysł, aby generał Hermaszewski w biało-czerwonym kombinezonie i statku kosmicznym w takich samych barwach obleciał Ziemię w 100-lecie niepodległości, uważam za świetny. Brawo, Polska Fundacja Narodowa!" – wykrzyknął Leszek Miller.

„KRRiT poprze ten pomysł" – odpisała mu Teresa Bochwic z tejże rady. Odnoszę dziwne wrażenie, że tylko jeden z tych dwóch wpisów był żartem. ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

KONCERTOWA ZAGRYWKA

Rafał Brzozowski zanim został gwiazdą „Koła Fortuny", był przez jakiś czas wokalistą. Mało znanym, ale jakieś tam piosenki (a może i płyty) nagrał. Okazuje się, że Rafał jest bardzo przeczulony na punkcie swojej twórczości i pozwał jeden z portali za zamieszczenie negatywnej recenzji swoich utworów. Co ciekawe, wygrał. Portal Interia oraz autor recenzji musieli zamieścić przeprosiny za publikację „sformułowań naruszających dobra osobiste w postaci czci". Cześć Brzozowskiego została naruszona m.in. stwierdzeniami, że jest beztalenciem, a wszystko, co robi, jest „antytezą sztuki". Recenzent określił, że jego piosenki są „proste, łatwe i przyjemne", a on sam jest „gładki jak galaretka i podobnie do niej oślizły". Prawda jest taka, że gdyby nie przeprosiny, mało kto w ogóle zauważyłby te recenzje. A tak były cytowane niemal na każdym plotkarskim portalu! Brawa dla Rafała, iście koncertowe zagranie!

JAK KULCZYK O BIEDZIE

FOT. WOJTEK OLSZANKA/DDTVN/EAST NEWS

Dominika Kulczyk udzieliła wywiadu „Wysokim Obcasom", weekendowemu dodatkowi do „Gazety Wyborczej". Kulczyk opowiada tam o tym, jak w ramach swojego programu emitowanego w TVN pomaga biednym dzieciom w Afryce. – Załóżmy, że po jednej stronie rzeki jest pole, a po drugiej targ. Żeby przewieźć plony na targ, rolnik potrzebuje trzech godzin, samochodu i paliwa, co, rzecz jasna, obniża jego utarg. Dzieci nie mogą przez sześć miesięcy chodzić do szkoły, bo w porze monsunowej wezbrana rzeka jest nie do przejścia. Inwestujemy w budowę mostu, bo możemy wyliczyć, że ta inwestycja zmieni ekonomiczny status wioski. Rolnik zarobi więcej pieniędzy, które zainwestuje np. w nasiona, a z dzieci wyrosną wykształceni dorośli, którzy będą budować dobrobyt swoich rodzin, społeczności, miasteczka i kraju – przekonuje. Naprawdę nikt tak przekonująco nie mówi o biedzie jak Kulczyk Dominika.

FOT. PAWEŁ GROMADA

FILANTROPKĄ BYĆ

Co ciekawe, wywiadem z Dominiką i w ogóle jej działalnością oburzyła się lewicowa „Krytyka Polityczna", która wytknęła dziennikarce „Wyborczej", że nie zadała milionerce kluczowych pytań, a redakcji to, że nie napomknęła, iż jej wydawcę łączą z Kulczykami związki biznesowe. „Zapytajmy więc: Ile kosztowały podróże Dominiki Kulczyk po świecie? Jaki stanowią odsetek pieniędzy wydawanych przez fundację? Ile w ogóle wydaje się w niej na promocję? Ile na pracowników polskich? Nie neguję, że takie wydatki są potrzebne. Warto jednak znać proporcje" – dociska autor „Krytyki". „Deal więc wygląda tak: bogata filantropka z Polski kupuje sobie u organizacji na miejscu prawo do nakręcenia tam odcinka swojego programu, w zamian fundując »renowację i wyposażenie budynków«. Taktownie nie chwali się, ile to kosztowało" – wytyka. – Przypuszczam, że w to, co ja robię dla innych ludzi, jest też wpisana miłość własna. Bo żeby kochać innych, trzeba kochać siebie – mówi w wywiadzie Dominika Kulczyk. I jest to jedyna rzecz, z którą nikt nawet nie śmiałby polemizować.

AAA STYLISTĘ PODKUPIĘ

Wiadomo, że Małgorzata Rozenek vel Majdan i Doda nie przepadają za sobą. Nic dziwnego, skoro Rozenek jest dziś żoną byłego męża Dody (radzimy to rozrysować, będzie łatwiej). Plotkarskie media cały czas nabijają się z Małgosi, że chcąc przypodobać się Radkowi, stylizuje się na Dodę. Konflikt obu pań wchodzi właśnie w nowy etap. Oto okazuje się, że Doda bardzo chce i robi, co może, by odebrać Gosi stylistę! Ma w tym pewne doświadczenie. Kiedyś podebrała choreografa samej Edycie Górniak, co skończyło się niemałą awanturą. Teraz zagięła parol na stylistę Rozenek. – Ciągle do niego dzwoni – ujawnia w „Fakcie" osoba z otoczenia stylisty. – Próbuje zdobyć informację, ile Rozenek mu płaci, żeby zaproponować mu wyższą stawkę. Bartek jest w niezręcznej sytuacji – dodaje. W niezręcznej? Jak na razie bardzo zręcznie to rozgrywa! Kto wie? Może Rozenek uwierzy i da mu wreszcie tę podwyżkę? ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wróciliśmy ledwo żywi po Spring Holidays. Cudem udało nam się nie utonąć w morzu majonezu i samogonu, którymi intensywnie częstowały nas osoby płodzące oraz bliższa i dalsza rodzina, a także ksiądz proboszcz.

Chcąc od razu odreagować zespół stresu pomajonezowego, postanowiliśmy w poniedziałek prosto z pendolino pójść do naszych ulubionych wegedelikatesów, iżby kupić cokolwiek, co miałoby w nazwie „organiczny", „bio" lub „GMO free". Niestety, okazało się, iż klerykalne państwo zawłaszczyło już nie tylko niedziele, lecz także poniedziałki. Sklep był zamknięty, a sąsiedni kościół otwarty. W dodatku jakiś Sebix oblał Alexa wodą, krzycząc: „Śmigus-dyngu... A sorry, myślałem, że jesteś dziewczyną".

Sami więc widzicie, iż nie jest łatwo. W dodatku nasza podróż z małego ośrodka do Krakowa wymaga, iżbyśmy się najpierw dostali do najbliższego miasta, w którym zatrzymuje się pendolino, przez co nadkładamy kilka godzin, a następnie czekali na przyjazd pendolino do Krakowa. Nigdy w końcu nie wiemy, kto może nas zobaczyć na peronie, a jednak trochę siara wysiadać ze zwykłego TLK.

Wogóle zobaczcie, jakim strasznym zwyczajem jest śmigus-dyngus, czyli to podkarpackie polewanie się wodą w imię właściwie nie wiadomo czego. Przeciesh ten zwyczaj nie wytrzymuje krytyki przynajmniej z kilku punktów widzenia:

• z feministycznego, iż tradycyjnie stosowane jest jako narzędzie opresji patriarchatu względem waginoosób, które oblewane są wodą na znak męskiej supremacji na terenach wiejskich. Z tego powodu tzw. dyngus powinien być wskazany wprost w konwencji antyprzemocowej jako narzędzie równe kablowi od żelazka (zwłaszcza końcówce z żelazkiem);

• z punktu widzenia humanitarnego, iż woda wylewana podczas dyngusa mogłaby razem z lajkami zostać przetransferowana szybkim łączem do Afryki i rozwiązać problem Bono w pocie czoła kopiącego studnię w Sudanie. Powszechnie bowiem wiadomo, iż im więcej niewykorzystanej wody w Europie, tym więcej wykorzystanej wody w Afryce;

• z punktu widzenia równościowego, iż społeczności LGBTQWERTY nie mogą się afiszować z obchodzeniem dyngusa, iż na Podkarpaciu zostałyby zapewne oblane czymś o wiele gorszym niż zimna woda ze strumienia;

• z punktu widzenia parytetowego, iż waginoosoby są oblewane częściej, a rzadziej oblewają, dlatego przy okazji dyngusa powinny zostać zaimplementowane jakieś normy regulujące udział w zabawie osób falluso- i waginododatnich – of kors z poszanowaniem zasady pozytywnej dyskryminacji tych pierwszych.

Kaczafi wyrokiem sądu nie musi przepraszać za użycie słów o najgorszym sorcie Polaków. Jesteśmy oburzeni.

Znacie nas i wiecie, iż zdecydowanie wolimy przepraszać za ten kraj, niż być przepraszanymi. Jednak w tym przypadku oczekiwalibyśmy jednak, iżby sąd wydał wyrok, który byłby w zgodzie z wymogami demokracji i ze stanem faktycznym.

O ile więc godzimy się na bycie „gorszym sortem" ironicznie, o tyle wobec Kaczafiego oczekujemy od sądów polityki „zero tolerancji" (of kors w innych przypadkach kochamy tolerancję) i liczymy na to, iż w kolejnych instancjach znajdzie się jakiś sprawiedliwy sąd niezawłaszczony przez Ziobrę. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

www.hospicjum.lublin.pl

Lubelskie Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia

Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

eprasa.pl c7db8fdf58

No i stało się, przyszedł armagedon. Tydzień wcześniej, niż planowano, bo to na konwencji Zjednoczonej Prawicy 14 kwietnia miało być obcinanie chciwych rąk oraz składanie ślubów ubóstwa i silnych obietnic poprawy. Hatakumba została przyspieszona, żeby na konwencji można było powiedzieć, że to pierwsza w dziejach władza, która obcięła sobie pensje.

Konwencja i nowe otwarcie 14 kwietnia, a 15 kwietnia ruszamy w Polskę! – zapowiedział nam radośnie pewien minister. Prosimy nie zapomnieć kanapek i zapasowych koszul na drogę, bo 15 kwietnia wypada akurat wolna niedziela. Jakby się objazd przedłużał, to podpowiadamy, że następna niedziela też.

No i znowu kłopot z prezydentem Andrzejem Sebastianem. Tym razem nie dlatego, że nie chce degradować, lecz dlatego, że chce. Po wecie będzie trzeba bowiem wysmażyć nową ustawę degradacyjną, tymczasem po lekturze uzasadnienia do weta oraz sondaży na Nowogrodzkiej pojawiła się zaskakująca diagnoza: „Ustawy godnościowe coś nam nie służą".

W tym miejscu objawia się cały spryt Kaczora Dyktatora. Czyli deklaracja, że temat uważa za zamknięty. Kryjąc skrzętnie głębokie zadowolenie z uwalenia ustawy degradacyjnej, skorzystał z okazji i tak wykręcił kota ogonem, że całą winę za cudzą nadgorliwość zwalił na prezydenta Andrzeja Sebastiana. Kot podczas wykręcania oczywiście nie ucierpiał, gdyż jest zwierzęciem futerkowym, a Kaczor Dyktator broni takich zwierzątek.

Apropos weta w sprawie ustawy degradacyjnej. Mamy straszną wiadomość dla wszystkich żelaźniaków krzyczących, że już nigdy z tego powodu nie zagłosują na prezydenta Andrzeja Sebastiana, gdyż jest Dudaczewskim, i to podwójnym (bo sądów też mu nie zapomnieli). Otóż rozmawialiśmy onegdaj z Andrzejem Sebastianem o drugiej kadencji. I wiecie, co powiedział? Że nigdzie nie jest napisane, jakoby koniecznie musiał być prezydentem drugą kadencję.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Uwaga, na giełdzie nazwisk kandydatów na kandydata PiS na prezydenta Warszawy pojawiło się nowe ciekawe nazwisko: „żaden z powyższych". To reakcja na umiarkowany entuzjazm zarówno elektoratu, jak i Nowogrodzkiej na zestaw „Jaki albo Dworczyk" przedstawiany jako para finałowa. My też uważamy, że nigdy nie jest za późno, żeby zacząć od początku.

Tymczasem we Wrocławiu. Kazimierz Budyń Ujazdowski jest już oficjalnym kandydatem na prezydenta miasta, tyle że nie z poparciem Rafcia Dutkiewicza, ale Grześka Schetyny i PeŁo. Jak ogłosił smutny Dutkiewicz: „Zadziwiają mnie zwroty i slalom światopoglądowy uprawiany przez Platformę". Co ciekawe, nie ogłosił, że zadziwiają go zwroty Ujazdowskiego.

Kilka lat temu Kazimierz Budyń Ujazdowski o ugrupowaniu Grześka Schetyny pisał: „Polska rządzona przez PO jawi się jako kraj z coraz większym deficytem demokracji. Donald Tusk zbudował monopolistyczny system władzy, w coraz mniejszym stopniu przypominający zachodnią demokrację. To system, w którym media, administra-

eprasa.pl c7db8fdf58

cja, aparat sprawiedliwości ochraniają grupę rządzącą, eliminując konkurencję polityczną i autentyczną kontrolę władzy". Teraz już rozumiemy, dlaczego startuje z poparciem PeŁo. On po prostu chce rozwalić ten system od środka.

Kandydatura Ujazdowskiego jest przełomowa z jeszcze innego powodu, który warto podkreślić. To pierwszy w dziejach PeŁo kandydat, który znany jest z publikacji prasowych nie tylko w „Naszym Dzienniku", lecz także w „Gazecie Polskiej Codziennie". No i pierwszy kandydat PeŁo, o którym nawet Piotr Zaremba pisał: „Kazimierz Ujazdowski to polityk, któremu z ochotą powierzyłbym misję wychowania mojego dziecka".

Nie wszystkim w PeŁo spodobał się Budyń Wrocławski Ujazdowski. Tomek Cimoszewicz protestuje przeciw kandydaturze i rezygnuje – nie jest już cieniem. To znaczy ministrem-cieniem w gabinecie PeŁo. A dokładniej nie jest już zastępcą ministra w gabinecie cieni. Czyli nie jest nawet cieniem cienia. Nie jest to dla nas specjalna nowość.

Wiewiórki z europarlamentu mówią, że Kazimierz Budyń Ujazdowski już dwa tygodnie przed występem u boku Schetyny występował w europarlamencie pod szyldem Platformy Obywatelskiej. Żałujemy, że nas przy tym nie było, fotkę Budynia Wrocławskiego z Różą Marią Barbarą Gräfin von Thun und Hohenstein chętnie powiesilibyśmy nad łóżkiem. Oczywiście nie swoim.

Stał się cud! Marek Zagórski, szycha Porozumienia Gowina, jest już PiS-owcem, ale jeszcze nie wiemy, czy porządnym

Mamy jeszcze jedną ciekawą wieść z Wrocławia. Pamiętacie, jak posłanka Sawicka z PeŁo zapowiadała, że „interes na szpitalach będzie robiony"? Chodziło o to, żeby wyprzedać stare budynki szpitalne pod hasłem, że nie nadają się do użytku w XXI w. Teraz kilku cwaniaczków kombinuje pod hasłem: „Interes na więzieniach będzie robiony". Owszem, stare więzienia nie są oazami luksusu. Mają jednak jedną rzecz nie do przecenienia: świetne lokalizacje i niezmiernie solidne ceglane konstrukcje. Idealne na lofty. Jako wrocławiacy z urodzenia chętnie byśmy kupili sobie taki apartamencik nad wrocławską fosą. Do rynku pięć minut i nie trzeba inwestować w budowę murów odgradzających od świata zewnętrznego.

Inwencja ludzka nie przestaje nas zadziwiać. Ledwie donieśliśmy jakiś czas temu, że po wywaleniu Anki Streżyńskiej żaden z wiceministrów cyfryzacji nie ma szans na zostanie ministrem, bo Nowogrodzka uznała, że na tym stanowisku potrzebny jest porządny PiS-owiec, a tu tadaaam! Stał się cud! I Marek Zagórski, szycha Porozumienia Gowina, wstąpił do PiS, dzięki czemu wypełnił wymagany warunek. To znaczy połowę warunku, bo jest już PiS-owcem, ale jeszcze nie wiemy, czy porządnym.

To przypomniało nam, że swego czasu krążyła plotka, jakoby Marek Zagórski miał lub chciał zostać ministrem środowiska. W pewnym sensie tak się stało. Żeby zostać ministrem, trzeba po prostu reprezentować odpowiednie środowisko.

Apropos środowiska. Ciekawe środowisko pracy odkryliśmy w centrali PKP PLK. Otóż prezes spółki ma podobno swoich specjalnych ludzi, którzy pilnie obserwują korytarz. Ich ważnym zadaniem jest wypatrywanie, kto przychodzi do zastępców prezesa. Dlatego szychy z PKP PLK często na ważne rozmowy umawiają się poza siedzibą firmy, w restauracjach i kawiarniach. Proponujemy jeszcze lepszy kamuflaż – przypadkowe spotkania przy kontuarze w wagonie Warsu.

Zazdrościmy również postępów w nauce w Alma Mater Rydzowiensis, czyli toruńskiej kuźni kadr Ojca Dyrektora. Bartek idzie jak burza, zbierając zaliczenia w indeksie, choć nasi zaprzyjaźnieni studenci (a zwłaszcza studentki) jeszcze go nigdy na zajęciach nie widzieli. Pewnie nie słyszeli o czymś takim jak indywidualny tok studiów, przeznaczony dla najwybitniejszych studentów. A co do tego, że Haribo jest wybitny, przynajmniej my najmniejszych wątpliwości nie mamy. ©℗

REKLAMA

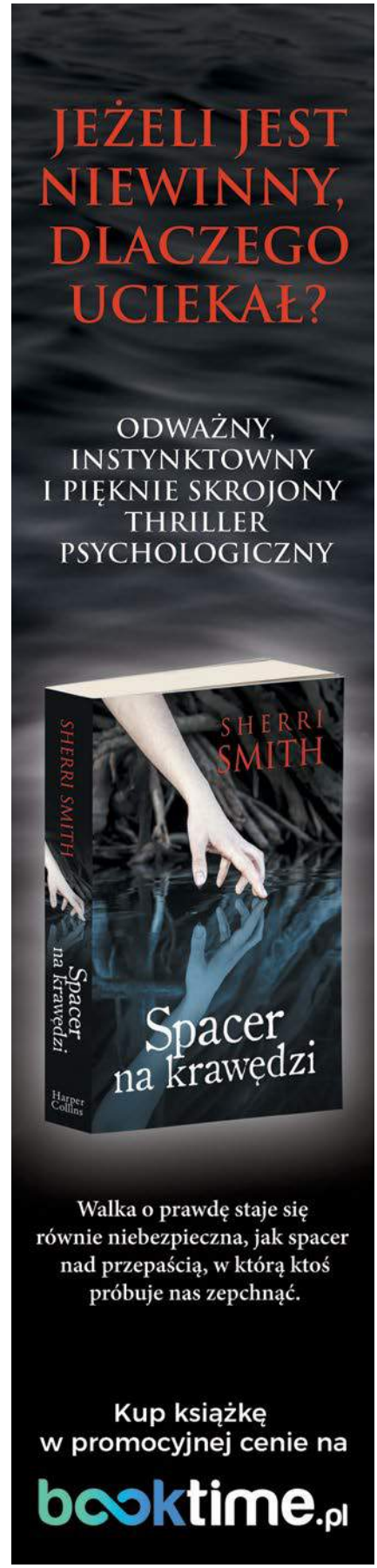

eprasa.pl c7db8fdf58

śledztwo

JAK SZPIEGUJE ROSJA

Energetyczny

Wojciech Wybranowski

Zatrzymany pod zarzutem szpiegostwa urzędnik przygotowywał dla rosyjskich służb profile osób zajmujących się m.in. bezpieczeństwem energetycznym – ustalił tygodnik „Do Rzeczy”

Pod koniec marca ABW poinformowała o zatrzymaniu urzędnika Ministerstwa Energii, który miał współpracować z rosyjskim wywiadem. Jak wynika z informacji, do których dotarło „Do Rzeczy”, Marek W. był monitorowany przez polskie służby od dłuższego czasu. Współpracującego z rosyjskimi służbami polskiego urzędnika namierzono dzięki tzw. obserwacji kontrwywiadowczej wysłanej za attaché obrony przy ambasadzie Federacji Rosyjskiej. Spotkania Marka W. z dyplomatą Federacji Rosyjskiej były częste i wykraczały poza jego służbowe obowiązki. W dodatku spotykał się też z innym pracownikiem rosyjskiej ambasady, o którym polskie służby wiedziały, że jest oficerem wywiadu pracującym pod przykryciem dyplomatycznym.

Decyzja o zatrzymaniu W. zapadła jednak dopiero po tym, gdy w ramach solidarności z Brytyjczykami Polska wydaliła czterech rosyjskich dyplomatów. Wśród nich byli obaj prowadzący szpiega Marka W. Przynajmniej jeden z Rosjan, którzy musieli opuścić Polskę, pełnił kierownicze funk-

eprasa.pl c7db8fdf58

Wśród wydalonych ostatnio z Polski rosyjskich dyplomatów byli ludzie prowadzący polskiego szpiega. Na zdjęciu Ambasada Federacji Rosyjskiej w Warszawie FOT. FOTOLIA

szpieg

cje w polskiej sekcji rosyjskiego wywiadu. Prokuratura zdecydowała o aresztowaniu W. na trzy miesiące. Grozi mu do 10 lat więzienia.

– W strukturze resortu W. formalnie nie był urzędnikiem wysokiej rangi. Niestety, i to z naszego punktu widzenia jest najważniejsze, miał wiedzę o konkretnych projektach energetycznych. Była to pełna wiedza na temat wszystkich projektów dywersyfikacji energetycznej dla Polski i niestety przekazywał te informacje Rosjanom – mówi „Do Rzeczy" Stanisław Żaryn, rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych.

Oficjalnie przedstawiciele służb i rządu nie chcą mówić o szczegółach aktywności Marka W., ucinając temat stwierdzeniem, że m.in. chodziło mu o poznanie strategii negocjacyjnych dotyczących Nord Stream 2. To jednak tylko wąski wycinek jego aktywności. Jak dowiedziało się „Do Rzeczy", był też i inny – według ustaleń służb Marek W. sprzedawał Rosjanom „znajomych".

WIEDZA O PROJEKTACH

Nasze źródła z kręgów służb twierdzą, że Marka W. i jego rosyjskich „opiekunów" miała szczególnie interesować kwestia tzw. Bramy Północnej – czyli infrastrukturalnych programów mających doprowadzić w 2022 r. do pełnego uniezależnienia Polski od dostaw rosyjskiego gazu ziemnego. Szpieg miał się interesować planami rozbudowy terminala LNG w Świnoujściu oraz budową Korytarza Norweskiego (w tym projektów połączenia gazowego między Polską a Danią i stworzenia w naszym kraju tłoczni gazu).

– Dlaczego właśnie to było interesujące dla Rosjan? Bo jeśli nam się nie uda z „Bramą Północną", to Rosjanie zaleją nas swoim gazem. Jeśli się nam nie uda z węglem i energoelektryką, to będziemy kupować węgiel od Rosji i prąd od Niemców. A skąd jest niemiecki prąd? Z rosyjskiego węgla – tłumaczy „Do Rzeczy" dr Łukasz Kister, specjalista ds. bezpieczeństwa, ekspert Instytutu Jagiellońskiego.

Według naszych źródeł Marka W. interesowały także dane np. o sytuacji w KGHM, w Polskiej Grupie Górniczej, o inwestycyjnych planach kopalń węgla kamiennego, a także plany ewentualnych modernizacji elektrowni Ostrołęka. Materiały dla rosyjskich służb zdobywał dzięki możliwościom i kontaktom, które miał dzięki stanowisku w Ministerstwie Energii. Starał się skupiać wokół siebie ludzi zaangażowanych w kwestie dotyczące bezpieczeństwa energetycznego Polski. Na portalu społecznościowym stworzył forum internetowe o nazwie Energy Insight. Zaprosił do pisania na nim naukowców, ekspertów i dziennikarzy zajmujących się tematyką bezpieczeństwa energetycznego.

– Zaprosił mnie do forum w sposób niezobowiązujący. Aktywność uczestników nie budziła zastrzeżeń, skład uwiarygadniał pana Marka. Jeśli się potwierdzi, że był to element szpiegowania Polski, to pewnie forum miało go uwierzytelniać – mówi nam Wojciech Jakóbik, redaktor naczelny BiznesAlert.pl, ekspert w dziedzinie bezpieczeństwa energetycznego. Zwraca

eprasa.pl c7db8fdf58

uwagę, że na forum nie było zbyt szczegółowych dyskusji i dociekań. Pojawiały się tam linki do informacji prasowych i komentarze z udziałem uczestników forum. Jakóbik dodaje, że widywał Marka W. na konferencjach w Sejmie i eksperckich dyskusjach, gdzie być może tamten poszerzał kontakty i pozyskiwał informacje, np. o polskiej strategii negocjacyjnej w sprawie Nord Stream 2.

Paweł Sito, redaktor naczelny portalu REO (zajmującego się m.in. kwestią odnawialnych źródeł energii), mówi „Do Rzeczy”, że jako osoba stosunkowo świeża w branży energetycznej zaproszenie Marka W. do udziału w dyskusjach w sieci przyjął jako pewnego rodzaju wyróżnienie. Uderzyło go jednak, że sam W., kilkukrotnie przez niego zapraszany do uczestnictwa w konferencjach, wykręcał się brakiem czasu. Nigdy nie poznali się w rzeczywistym świecie. – Po raz pierwszy zdziwił mnie mocno, gdy okazało się, że pracuje w Ministerstwie Energii. Przez wiele miesięcy po moim wejściu do grupy nigdzie o tym nie pisał, „nie chwalił się”. Kiedy dotarło to do mnie, zacząłem uważać go nawet za odważnego, że pracując w resorcie zwalczającym sektor OZE, publikuje linki do obiektywnych czy wręcz pozytywnych dla energii opartej na źródłach odnawialnych artykułów – mówi Sito.

Podobnie jak inni nasi rozmówcy zwraca uwagę, że Marek W. nigdy nie był w internetowych dyskusjach szczególnie aktywny, raczej podrzucał linki do artykułów jako tematy do dyskusji, moderował, prowokował komentarze.

– Jeżeli się potwierdzi, że współpracował świadomie i realizował zadania na rzecz obcych służb specjalnych, miał zlecane zadania: „Dowiedz się, co się dzieje w obszarze X” czy „Wybadaj opinię polskich ekspertów na temat realizacji obszaru Y”, to prowadzenie tak szerokiej działalności skupiającej ludzi mających wiedzę na temat polskiej energetyki i chcących się nią podzielić było dla niego najlepszym dzisiaj możliwym źródłem informacji – uważa dr Kister.

Z informacji „Do Rzeczy” wynika jednak, że zdobywanie przydatnej dla W. wiedzy w sposób przypominający nieco działanie tzw. białego wywiadu było dla szpiega tylko środkiem do celu.

PROFILE I HAKI

– Marek W. od kilku miesięcy przygotowywał dla rosyjskich służb pewne charakterystyki osób pracujących w Ministerstwie Energii czy ludzi związanych z branżą energetyczną w Polsce, a także przygotowywanych przez nie projektów – mówi nam nasz informator ze służb, znający kulisy działań ABW. Dodaje, że urzędnik typował też dla Rosjan osoby, które można by było zwerbować do współpracy.

– Przekazywał materiały do rozpracowania przez stronę rosyjską kolejnych osób, dostarczając kompromitujące ich informacje oraz wiedzę o tym, kto jest łasy na pieniądze. Interesowały go osoby zarówno z jego branży, jak i te mające dostęp do cennych dla Rosjan informacji – mówi nasz informator.

Charakterystyki, o których mówi nasz informator, to tzw. profile osobowe ludzi, które znajdują się lub mogą się znaleźć w przyszłości w zainteresowaniu służb.

– Dla służb wartością jest skuteczne sprofilowanie osób niekoniecznie z najważniejszych stanowisk, ale takich, które mają dojście do władzy wykonawczej – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” płk Piotr Wroński, były oficer służb specjalnych PRL, po 1989 r. oficer kontrwywiadu UOP i Agencji Wywiadu. – Z punktu widzenia operacyjnego każda drobna informacja o człowieku jest niezwykle ważna. Czy wstaje w nocy, czy zapala światło, czy ma psa, czy woli blondynki, czy brunetki. Rosjanie programowo gromadzą takie informacje o każdym, kogo nazwisko pojawia się w mediach i może mieć wpływ na jakaś sytuację.

Marek W., będąc urzędnikiem średniego szczebla, raczej nieznanym na salonach Warszawy, nie miał towarzyskiego czy zawodowego dostępu do większego grona osób poza tymi, z którymi na co dzień współpracował w resorcie. Jak zdobywał informacje o osobach, które interesowały Kreml? O tym osoby odpowiedzialne za nadzór nad służbami, znające kulisy sprawy, nie chcą rozmawiać.

Oprócz „ekskluzywnej” grupy dyskusyjnej poświęconej energii Marek W. założył podobne profile dotyczące geopolityki czy reform wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Udział w nich ludzi uważanych za specjalistów, znanych ze sceny publicznej, dał W. szansę na uwiarygodnienie się wśród osób, o których mógł chcieć dowiedzieć się jak najwięcej. W ten sposób stworzył potężny krąg znajomych, wśród których znalazły się czołowe postaci ze świata polityki, mediów, energetyki, gospodarki, cybernetyki. Zostając ich znajomym, Marek W. zyskał też dostęp do prywatnych informacji, którymi część z nich dzieliła się z wirtualnymi znajomymi: o rodzinie, zainteresowaniach, pracy, kłopotach, oczekiwaniach czy wreszcie o aktywności zawodowej i realizowanych projektach.

Wielu ekspertów wskazuje, że Polska jest głównym celem aktywności rosyjskich służb

– Nawet urzędnik średniego szczebla ma wiedzę o wiele większą, niż jest przypisana do danego stanowiska, a to poprzez koleżeńskie rozmowy korytarzowe, przy kawie, na lunchu. Jego wiedza zatem, pochodząca ze źródeł zawodowych, mogła być na pewno spora – mówi „Do Rzeczy” gen. Zbigniew Nowek, były szef UOP i Agencji Wywiadu. Dodaje, że informacje z prywatnych kont facebookowych dla służb też mają duże znaczenie. – Otwarcie, które następuje na Facebooku, daje ogromną wiedzę o ludziach, którzy z tego portalu korzystają. To są przydatne informacje zarówno w działalności wywiadowczej, jak i dla sprofilowania danej osoby – podkreśla.

Wiele z osób, które znalazły się w kręgu wirtualnych znajomych Marka W., zapytaliśmy o kontakty z nim. Najczęściej okazywało się, że nigdy się z nim w realnym świecie nie spotkali. Zostali jego wirtualnymi znajomymi, bo na swoim profilu pisał rzeczy mieszczące się w sferze ich zainteresowań, a wśród znajomych miał innych znanych już ludzi. – Zupełnie nie znam tego człowieka! Nie pamiętam też, kiedy wysłał mi zaproszenie do grona znajomych – mówi senator Artur Warzocha (PiS). – Myślę, że zależało mu po prostu na tym, żeby monitorować osoby publiczne, szczególnie takie jak ja, tzn. angażujące się w sprawy polonijne. Zdarzyło mi się też być już trzy razy w Rosji, zawsze w sprawach polonijnych. Informuję o tym na FB, więc chyba z tego punktu widzenia monitorowanie mnie na FB było dla niego atrakcyjne.

Anna Streżyńska, była szefowa Ministerstwa Cyfryzacji, też nie zna Marka W. Dodała go do grona znajomych prawdopodobnie dlatego, że na profilu

eprasa.pl c7db8fdf58

na Facebooku zaznaczył, iż jest urzędnikiem Ministerstwa Energii. – Zwykle przyjmuję osoby pracujące w administracji, szczególnie że sama w niej większość życia przepracowałam. Jednak ja zasadniczo przyjmuję wszystkich, którzy nie mają w profilach serduszek, kotków, discopolowych piosenek. Lubię wymianę myśli także z ludźmi, którzy mają inne poglądy niż ja – tłumaczy była minister w rozmowie z „Do Rzeczy”.

– Właśnie dopiero się zorientowałem, że mam go w gronie znajomych na Facebooku. Pewnie wysłał mi zaproszenie, a ja, zasugerowany liczbą wspólnych znajomych, przyjąłem – dziwi się minister Jan Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Podobne stwierdzenia słyszymy jeszcze wielokrotnie. Osoby publiczne, zostając „znajomymi” Marka W., dawały mu tym samym dostęp do informacji o sobie, bo „wspólni znajomi”, bo „urzędnik ministerstwa”, bo „prowadził fora o energetyce”. Jednocześnie też równie często słyszymy, że „znajomi” Marka W. nie przypominają sobie żadnej sytuacji, aby ten uczestniczył w prywatnych rozmowach z nimi na FB, komentował albo chociaż zostawiał „lajka”.

Eksperci, z którymi rozmawialiśmy, zauważają, że Marek. W., jeśli wykorzystywał FB do działalności szpiegowskiej, nie potrzebował bliskich interakcji, a samo bycie „znajomym” dawało mu spore możliwości operacyjne. Znane osoby wśród facebookowych znajomych dodawały mu bowiem znaczenia w rzeczywistym świecie i otwierały kolejne drzwi. Sama obserwacja ich prywatnych wpisów mogła dostarczać wiedzy o sytuacji zawodowej i osobistej tych osób.

– Można do usr… śmierci ostrzegać, jakim źródłem informacji dla służb są media społecznościowe. Szkolić. Nasi politycy i urzędnicy państwowi najczęściej uważają, że wszystko wiedzą, bo przeczytali kilka książek szpiegowskich. I w pewnym momencie, gdy stają w takiej sytuacji jak ta z Markiem W., nagle się okazuje, że nic naprawdę nie zrozumieli i są jak dzieci paplające na lewo i prawo. I to jest ogromny problem – sarka jeden z naszych rozmówców związany ze służbami.

Były szpieg, płk Piotr Wroński, wspomina historię z własnej przeszłości, która wydarzyła się kilka lat temu, gdy – jak mówi – brał udział w pracach zespołu mającego zwalczać różne typy działalności szpiegowskiej. – Musiałem stworzyć fikcyjny profil w Internecie – opowiada. W krótkim czasie profilem tym zainteresowali się ludzie zajmujący się pewną branżą. Haczyk połknęli też szpiedzy. – Okazało się, że byli wśród nich oficerowie rosyjskiego wywiadu pod przykryciem – opowiada Wroński.

Wydalenie z Polski rosyjskich dyplomatów – w rzeczywistości współpracowników wywiadu Federacji Rosyjskiej – to niejedyny taki przypadek w ostatnich latach, a wielu ekspertów wskazuje, że Polska jest głównym celem aktywności rosyjskich służb. Jesienią ubiegłego roku na wniosek szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wydalono z Polski rosyjskiego naukowca Dmitrija Karnauchowa. Zdaniem służb był on zaangażowany w prowadzenie elementów wojny hybrydowej przeciwko Polsce. Z kolei w 2015 r. Polskę musiał opuścić rosyjski dziennikarz Leonid Swiridow, również podejrzewany o współpracę ze służbami Federacji Rosyjskiej. Wówczas cała procedura – od momentu wniosku o wydalenie do chwili, gdy Swiridow opuścił Polskę – trwała blisko rok.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl c7db8fdf58

JAK SZPIEGUJE ROSJA

FOT. JONAS EKSTRÖMER/SCANPIX/FORUM

Z Jackiem Barskym, szpiegiem KGB, który współpracował z FBI
rozmawia Piotr Włoczyk

Byłem nielegałem

PIOTR WŁOCZYK: Kim był Jack Barsky?

JACK BARSKY: To był chłopiec z żydowskiej rodziny, którego tożsamość ukradłem. Jego pełne imię to Jack Phillip Barsky. Urodził się w 1944 r., zmarł w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach w wieku 10 lat.

Dlaczego padło właśnie na tego chłopca?

To był przypadek. Jakiś sowiecki dyplomata zauważył na waszyngtońskim cmentarzu nagrobek Jacka Barsky'ego. Wystarczyło listownie podać się za ojca dziecka i poprosić w urzędzie o kopię aktu zgonu. Z tym dokumentem można było dostać z kolei kopię aktu urodzenia. Kradzież tożsamości osoby zmarłej to zawsze najbezpieczniejsze rozwiązanie dla nielegała.

Przyleciał pan w 1978 r. do Chicago z fałszywym kanadyjskim paszportem na nazwisko William Dyson i już dwa dni później zaczął pan udawać Jacka Barsky'ego. Co było najtrudniejsze?

Ja, Niemiec z NRD, miałem odgrywać rolę Amerykanina urodzonego w USA i ewidentnie ta sztuka mi się udała. Gdy ludzie pytają mnie, co było moim największym sukcesem, to wskazuję właśnie na to. Naprawdę nie jest łatwo dorosłemu Niemcowi nauczyć się perfekcyjnie angielskiego, poznać kulturę amerykańską i rozpocząć w USA kompletnie nowe życie, będąc zdanym tylko na własne siły. Miałem sporo szczęścia, ale wiele też zrobiły moje umiejętności. Właśnie dlatego KGB zwróciło na mnie uwagę jeszcze wtedy, gdy studiowałem chemię w NRD. Zainteresowali się mną w 1970 r., na czwartym roku studiów. Trzy lata trwały testy – np. sprawdzali moją umiejętność wyciągania informacji od przypadkowych osób. W końcu w 1973 r. dostałem ofertę pracy i trafiłem do Moskwy na szkolenie.

Dlaczego pan na to poszedł? Szpiedzy-dyplomaci dzięki immunitetowi nie muszą się niczego obawiać, ale nielegałowie w razie wpadki nie mogą liczyć na żadną ochronę.

Byłem wierzącym komunistą, uważałem USA za kraj, który wzbogacił się na nędzy innych. Poza tym taka misja brzmiała jak wielka przygoda, a ja uwielbiałem podróże. Byłem pewien, że wszystko się uda.

Byłem jednym z bardzo niewielu ludzi, którzy udawali, że urodzili się w USA. Większość sowieckich szpiegów w Stanach udawała uciekinierów z bloku wschodniego, którzy dostali azyl np. w Kanadzie i stamtąd przeprowadzili się do Ameryki. Nie tak łatwo znaleźć człowieka, który do perfekcji opanuje angielski, a do tego posiada umiejętności pozwalające na pracę wywiadowczą.

Faktycznie mówi pan po angielsku perfekcyjnie, ale można się jednak zastanawiać, czy nie słychać u pana resztek niemieckiego akcentu...

Tak się szczęśliwie złożyło, że w akcie urodzenia Jacka Barsky'ego napisane było, iż panieńskie nazwisko jego matki to Schwartz. Zrobiłem więc z niej Niemkę. Wymyśliliśmy też, że mój ojciec umarł, gdy miałem dwa lata, więc całe dzieciństwo rozmawiałem z matką tylko po niemiecku. Stąd resztki niemieckiego akcentu. Powtarzałem tę historię za każdym razem, gdy ktoś się pytał o akcent, i nigdy nie słyszałem w tej sprawie dodatkowych pytań.

Ile czasu zajęła panu nauka angielskiego?

Na szkoleniu w KGB nauczyłem się od podstaw angielskiego w cztery lata tak, by móc udawać Amerykanina. W zasadzie byłem samoukiem, ponieważ tygodniowo miałem tylko cztery godziny zajęć z nauczycielem… Co zaskakujące, podczas szkolenia w Moskwie nie miałem dostępu do zbyt wielu materiałów na temat amerykańskiej kultury masowej, np. do nagrań amerykańskich programów telewizyjnych. Nie oferowali mi tam nawet możliwości słuchania amerykańskiego radia, tylko brytyjskiego BBC...

To dziwne. Wydawałoby się przecież, że KGB było perfekcyjnie działającą maszyną.

eprasa.pl c7db8fdf58

W znacznej mierze to mit. KGB było wprawdzie najpotężniejszą policyjno-szpiegowską machiną na świecie (w ZSRS KGB pełniło funkcję tajnej policji, a za granicą szpiegowało), ale w każdej tak wielkiej organizacji jest mnóstwo niekompetentnych ludzi, których partactwo gubi się jakoś w całym tym molochu. Kiedy dziś na to patrzę, to widzę, w jak wielu miejscach źle mnie wyszkolili.

Na przykład?

Zacznijmy od dokumentów. W KGB powiedzieli mi, że po przylocie do USA najpierw muszę wyrobić sobie kartę biblioteczną, która była jednym z akceptowanych wszędzie dowodów tożsamości. Był to jeden z dwóch papierów, które potrzebowałem, żeby z kolei wyrobić prawo jazdy. Drugim był akt urodzenia. Banalne zadanie, prawda? Zajęło mi to sześć miesięcy!

KGB straciło pół roku, ponieważ nie wiedzieli, że aby uzyskać kartę biblioteczną, trzeba mieć potwierdzenie adresu albo pokazać inny dokument. Ja oczywiście nie miałem żadnego innego dokumentu, a mieszkałem w hotelu. Zgłosiłem to KGB – porozumiewałem się z przełożonymi za pośrednictwem radiogramów i skrzynek kontaktowych – a oni powiedzieli: „Wymyśl coś!”.

W końcu więc wymyśliłem, że zostanę członkiem Muzeum Historii Naturalnej. Zapłaciłem 100 dol. opłaty, dostałem od nich papier członkowski i dopiero dzięki niemu mogłem sobie wyrobić kartę biblioteczną. Pół roku spędziłem na siedzeniu w tanim hotelu (dostałem z KGB tylko 6 tys. dol.) i kombinowaniu, jak to zrobić!

Faktycznie, nie najlepiej to świadczy o KGB. Jednak zdaje się, że miał pan jeszcze problemy z paszportem...

Zaczęło się od błędu Moskwy, do którego ja sam dorzuciłem potem swoje trzy grosze. Paszport był najważniejszym dokumentem, więc już w Moskwie uczyłem się, jak wypełnić stosowny formularz. W KGB powiedzieli mi, żebym złożył wniosek osobiście, a nie przez pocztę. I to był pierwszy błąd.

Formularz miał dwie opcjonalne rubryki: gdzie chcesz jechać i kiedy. Nie wypełniłem ich. Bo i po co? Urzędnik zwrócił jednak na to uwagę i zdziwił się, że nie za bardzo wiem, po co mi paszport. Zaczął mnie wypytywać o różne rzeczy, aż w końcu odszedłem od okienka. Bałem się, że to koniec i mnie złapią, jednak okazało się, że amerykańska machina kontrwywiadowcza też nie działała najlepiej i nikt mnie nie ścigał.

Jakie zadanie postawiło przed panem KGB?

To wszystko było mało spektakularne. Miałem wyrobić sobie dokumenty i po prostu stać się Amerykaninem. Oczekiwano ode mnie szpiegostwa politycznego. Miałem zrobić karierę i zaznajomić się z amerykańskimi elitami, które znały różne sekrety. Moi przełożeni z KGB cały czas naciskali mnie, żebym starał się piąć wyżej, żebym zaczął w końcu poznawać wpływowych ludzi. Tymczasem zaczynałem jako kurier rowerowy, potem studiowałem programowanie i wreszcie rozpocząłem pracę w tym zawodzie. Nie za bardzo miałem jak poznać bardzo wpływowych ludzi.

W sumie zrobił pan całkiem niezłą karierę, ale chyba nie o to chodziło KGB...

Prawdę mówiąc, cały ten plan KGB był trochę naiwny. Chyba za dużo sobie wyobrażali. Prawdziwą karierę w biznesie, która oznaczała też niezłe kontakty, zrobiłem dopiero po tym, gdy odszedłem z KGB (śmiech).

Co Moskwa panu zawdzięcza?

Mój wkład był minimalny. Ukradłem i przekazałem KGB bardzo zaawansowany software do zarządzania dużymi systemami, ale to była zbyt zaawansowana rzecz jak na warunki topornej sowieckiej gospodarki. Chyba na niewiele im się to przydało.

Jest takie powiedzenie: „Raz w KGB, zawsze w KGB”.

Tak brzmi reguła, ale jednak bywają od niej wyjątki. Kiedy wezwali mnie do powrotu, napisałem im, że zachorowałem na AIDS.

I tak po prostu uwierzyli w to i dali panu spokój?

To już był 1988 r., mieli na głowie inne zmartwienia, a poza tym wiedzieli, że zawsze mówiłem im prawdę. W NRD miałem odłożoną pokaźną sumę, dostałem od nich duży dom, drugie najwyższe odznaczenie ZSRS. Z ich perspektywy wyglądało na to, że w NRD czekało na mnie lepsze życie niż w Ameryce. Dlaczego więc miałbym z tego rezygnować? Nie wiedzieli jednak, że w USA miałem półtoraroczną córkę. Tylko dla niej zostałem. Sowieci przekazali mojej niemieckiej żonie 60 tys. dol. i powiedzieli jej, że nie żyję. Inna sprawa, że bardzo bali się AIDS i wiedzieli, że w bloku wschodnim nie ma na tę chorobę odpowiedniej terapii.

JACK BARSKY, CINDY COLOMA „W GŁĘBOKIEJ KONSPIRACJI” ZYSK I S-KA 2018

FBI zatrzymało pana w 1997 r., ale nie spędził pan za kratkami ani jednego dnia, a poza tym wciąż używa pan „nielegalnego” imienia i nazwiska. To się chyba niezbyt często zdarza?

Zaczęło się od Wasilija Mitrochina, archiwisty KGB, który uciekł do Wielkiej Brytanii. W przekazanych przez niego dokumentach była wzmianka o niejakim Jacku Barskym ps. Dieter. W USA nie ma zbyt wielu Jacków Barskych... Gdy FBI dostało informację na temat nielegała posługującego się tym nazwiskiem, okazało się, że w całym kraju jest tylko 10 takich mężczyzn. Amerykanie szybko zorientowali się, że to ja jestem ich człowiekiem.

Po tym, jak poszedłem na pełną współpracę, ludzie z FBI skontaktowali się z rodzicami Jacka, wyjaśnili im, że chodzi o bezpieczeństwo narodowe, i zapytali ich, czy mogę zachować to nazwisko. Rodzice Jacka wyrazili zgodę, ponieważ byli prawdziwymi amerykańskimi patriotami. W ten sposób pozwolono mi pozostać w USA.

Ostatnio Rosja po raz kolejny przypomniała, że nie przebacza zdrajcom. Nie przeraża to pana?

Nie do końca. Po pierwsze, bezpieczniej żyć w USA niż w Wielkiej Brytanii. Po drugie, moja sprawa jest już naprawdę stara. Jeżeli faktycznie Rosja stała za otruciem Siergieja Skripala, to pamiętajmy, że jego „grzechy” są dużo świeższe, a poza tym jest on Rosjaninem. Jednak oczywiście wciąż mam się na baczności, bo przecież służby nie zawsze podejmują racjonalne decyzje...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jack Barsky (właść. Albrecht Dittrich) urodził się w 1949 r. w NRD. Po przeszkoleniu przez KGB został przerzucony w 1978 r. do USA, gdzie w latach 1978–1988 pracował jako nielegał. FBI zatrzymało go w 1997 r. W zamian za wyjawienie informacji na temat działania KGB pozwolono mu pozostać w USA. Właśnie ukazała się w Polsce książka jego autorstwa pt. „W głębokiej konspiracji”.

eprasa.pl c7db8fdf58

Piotr Semka

Pomnik upamiętniający ofiary katastrofy smoleńskiej musiał powstać przy wykorzystaniu kruczków prawnych, ale jest elementem normalności każdego zdrowego społeczeństwa. Jeśli komuś przynosi to ujmę, to Hannie Gronkiewicz-Waltz

Osiem lat czekania na godność

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Ten krzyż to apel harcerek i harcerzy do władz i społeczeństwa o zbudowanie tutaj pomnika w hołdzie tragicznie zmarłym 10.04.2010 w drodze do Katynia, dla upamiętnienia dni żałoby, która zjednoczyła nas ponad wszelkimi podziałami" – ten napis widniał na drewnianym krzyżu ustawionym osiem lat temu przed Pałacem Prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu.

Dawno już nie ma krzyża, harcerze podzielili się w kwestii jego przeniesienia do kościoła św. Anny, a zjednoczenie ponad podziałami po tragedii pękło po paru dniach. Trzeba było aż ośmiu lat oczekiwania, by wreszcie w centrum Warszawy, na pl. Piłsudskiego, stanęły dwa symbole – monument ku czci ofiar Smoleńska oraz cokół pod pomnik Lecha Kaczyńskiego. Tak skończyła się batalia o uczczenie prezydenta RP, który zginął z małżonką, oraz pozostałych ofiar tragedii 10 kwietnia 2010 r.

Dlaczego tak oczywista, zdawałoby się, rzecz jak uczczenie największej powojennej katastrofy, w której zginęła elita państwa polskiego, musiała tyle trwać? Skąd brał się tak uparty opór Platformy Obywatelskiej w tej kwestii? I dlaczego dla wyborców prawicy odsłonięcie pomnika i cokołu pod przyszły pomnik prezydenta było tak ważne?

WALKA NA ZMĘCZENIE

„Ja nie znam kogoś, kto byłby przeciwny budowie pomnika smoleńskiego. Chodzi jedynie o to, że PiS chce budować partyjny pomnik. To jest coś zupełnie absurdalnego, niezgodnego z filozofią uczczenia ofiar" – twierdził 27 marca br. Jan Grabiec, rzecznik Platformy Obywatelskiej. Poseł PO, mówiąc, że nikt nie neguje potrzeby budowy pomnika w centrum miasta, nie wyjaśnił, że to stan rzeczy z okresu po 2015 r., gdy prezydent Bronisław Komorowski nagle poparł ideę budowy pomnika, bo zbliżała się kampania prezydencka.

Jednak przez wcześniejsze cztery lata i osiem miesięcy Platforma nie wykazała żadnej inicjatywy ani w kwestii budowy pomnika ofiar, ani realizacji monumentu ku czci Lecha Kaczyńskiego.

Wśród polityków partii Donalda Tuska dominowały wówczas dwa przekazy – pierwszy: „Nie dla pomnika na Krakowskim Przedmieściu" i drugi: „Monument jest już na Powązkach i nie ma potrzeby odsłaniania kolejnego, w centrum miasta".

Emocje wokół pomnika zaczęły się rozpalać od sporu o trwanie drewnianego krzyża pod Pałacem Prezydenckim wiosną 2010 r. Policja i straż miejska w wielu przypadkach nie reagowały, gdy ludzie modlący się pod krzyżem byli zaczepiani i obrażani przez młodzież pełną niena-

eprasa.pl c7db8fdf58

wiści do tych, których nazywano ciemnogrodem. 3 sierpnia 2010 r. straż miejska próbowała oddzielić tłumy wiernych od krzyża, który mieli odebrać młodzi kapłani przysłani przez kard. Kazimierza Nycza. Doszło wtedy do przepychanek i krzyża nie usunięto. Jeszcze bardziej drastyczne były dwie wieczorne demonstracje agresywnej młodzieży pod wodzą Dominika Tarasa zorganizowane 5 sierpnia i w nocy z 9 na 10 sierpnia, kiedy to obrońców krzyża obrażano i prowokowano na wszelkie możliwe sposoby. Bez tych traumatycznych przeżyć, które uwieczniła w swoim filmie „Krzyż" Ewa Stankiewicz, nie sposób zrozumieć fenomenu 96 kolejnych miesięcznic smoleńskich, które odbywały się przez osiem długich lat.

Weto Hanny Gronkiewicz-Waltz wobec pomnika smoleńskiego było uzasadniane sprzeciwem miejskiego konserwatora zabytków w obronie Krakowskiego Przedmieścia jako „konserwatorskiego układu zamkniętego". To był jednak zwykły wybieg. Ów „układ zamknięty" był na tyle otwarty, by przy kolumnie Zygmunta mógł powstać nowoczesny biurowiec, a tuż obok Pałacu Prezydenckiego szpetna nadbudowa Hotelu Europejskiego. Nie było zaś miejsca dla dwóch pomników na reprezentacyjnej arterii Warszawy, oddających hołd ofiarom największej tragedii ostatnich lat.

eprasa.pl c7db8fdf58

Co znaczące, prezydent stolicy odrzuciła także ideę pomnika świateł, pozbawionego jakichkolwiek bezpośrednich odniesień polityczno-religijnych, którą wspierała Marta Kaczyńska, córka prezydenckiej pary. Hanna Gronkiewicz-Waltz nie tylko zanegowała ten bardzo neutralny projekt, lecz także uznała za stosowne znieważyć go porównaniami do nazistowskich „katedr świetlnych" z parteitagów NSDAP w Norymberdze.

To, że Platforma chciała zamknąć kwestię uczczenia ofiar katastrofy smoleńskiej upamiętnieniem ich poza centrum Warszawy, widać było po tym, w jak szybkim tempie magistrat zbudował pomnik smoleński na Powązkach. Odsłonięto go już 10 listopada 2010 r. i politycy PO zaczęli od tej chwili wskazywać, że ten jeden monument w zupełności stolicy wystarczy.

Co charakterystyczne, mimo że w katastrofie zginęła spora grupa polityków spoza PiS – trzech z PO, trzech z PSL, dwóch z SLD i jedna posłanka z Unii Pracy – postulat pomnika ofiar w centrum miasta nie wywoływał żywszych emocji w ich macierzystych partiach ani rodzinach. Polityczna polaryzacja na linii bliscy ofiar z szeroko rozumianego obozu PiS i rodziny zmarłych z partii okrągłostołowych była tak ścisła, że tylko parę osób z tego drugiego obozu (np. Barbara Nowacka, córka Izabeli Jarugi-Nowackiej), wskazywało, że z upamiętnieniem ofiar tragedii coś jest nie tak.

POMIATANIE PREZYDENTEM

O ile niechęć obozu III RP do pomnika wszystkich ofiar na Krakowskim Przedmieściu polegała raczej na ignorowaniu tematu, o tyle sprzeciw wobec uhonorowania Lecha Kaczyńskiego w jego rodzinnym mieście – ale także w innych miastach – był żarliwy, mściwy i przekraczał wszelkie cywilizowane normy.

Podstawowym argumentem przeciw pomnikom i nazwom ulic ku czci zmarłego prezydenta było to, że Lech Kaczyński był przeciętnym prezydentem. Styl, w jakim o tym pisano, dobrze oddaje fragment tekstu z portalu NaTemat.pl (22 listopada 2016 r.): „Słaba prezydentura w stolicy i przeciętna prezydentura Polski nie przeszkadzają dziś politykom PiS w kreowaniu Lecha Kaczyńskiego na wielkiego męża stanu, który zatrzymał rosyjskie czołgi. Przypomina się jego wylot do Gruzji, gdzie miał ratować ten kraj przed rosyjską agresją. Przemilcza się przy okazji to, że właśnie wówczas

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Kaczyński oskarżył o tchórzostwo pilota, który odmówił lądowania w Tbilisi. Niewykluczone, że tamten incydent miał wpływ na to, że dwa lata później piloci do ostatnich chwili próbowali posadzić samolot w Smoleńsku".

Starannie przemilczano, że Lech Kaczyński był jednym z pierwszych twórców Wolnych Związków Zawodowych, był znaczącym działaczem NSZZ „Solidarność", ofiarą internowania i pierwszoplanowym działaczem podziemnych struktur związku Solidarności w latach 80., posłem na Sejm, szefem BBN, prezesem NIK i ministrem sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka, wreszcie faktycznym twórcą idei Muzeum Powstania Warszawskiego.

Już same te zasługi powinny być powodem do uhonorowania go pomnikiem w rodzinnym mieście.

Lata mijały, a władze stolicy były przeciwne pomnikowi. Powoływały się na jednorazowy sondaż przeprowadzony wśród mieszkańców Warszawy.

A jednocześnie w Internecie latami lał się ściek szyderstw z „zimnego Lecha", „smoleńskiej sałatki prezydenckiej z keczupem" i zapowiedzi wyrzucenia prezydenckiej pary z Wawelu. Wszystko to bez jakiejkolwiek krytycznej reakcji elit liberalnych i z akceptacją żenujących kpin z „Tu polewa" w wykonaniu Macieja Stuhra na rozdaniu Orłów w marcu 2016 r.

Równie zaciekle zwalczano inicjatywy nazywania imieniem Lecha Kaczyńskiego rond i ulic w wielu miastach rządzonych przez PO lub SLD. Zazwyczaj gdy pojawiała się idea uhonorowania prezydenta, znajdowała się grupa obywateli, działaczy PO lub lewicy, która ostro protestowała przeciwko takiemu pomysłowi. Prezydenci z PO lub SLD zamykali wówczas sprawę, obłudnie argumentując, że sprawa uczczenia Lecha Kaczyńskiego „dzieli mieszkańców". Jedynie w kilkunastu miastach udało się odsłonić pomniki lub popiersia Lecha Kaczyńskiego albo uczcić jego imieniem ulice i place.

Co warte odnotowania, wzniósł się ponad partyjne sympatie i uczcił prezydencką parę skwerem prezydent Sopotu Jacek Karnowski, gospodarz miasta, w którym mieszkał Lech Kaczyński. Jednak już Gdańsk – miasto Solidarności, której tyle poświęcił zmarły prezydent – do dziś konsekwentnie odmawia jego uczczenia.

Dopiero w 2015 r. wspomniany już prezydent RP Bronisław Komorowski rozpoczął dość nieporadne rozmowy z Hanną Gronkiewicz-Waltz na temat budowy pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej w centrum stolicy. Zaproponowane trzy lokalizacje mijały się z wrażliwością organizatorów miesięcznic. Ani pętla autobusowa przy ul. Focha, ani pl. Unii Lubelskiej, ani wejście do parku Saskiego od strony ul. Marszałkowskiej nie wzbudzały entuzjazmu. Dziennikarz „Gazety Wyborczej" Dariusz Bartoszewicz kpił: „Wejście do Ogrodu Saskiego od Marszałkowskiej to lokalizacja najłatwiejsza do zagospodarowania. […] Zwolennicy spisków powinni pamiętać, że w tym miejscu zimą koczują stada kaczek czekających na pokarm. Czy jak będą czekać przy pomniku, nie stanie się on obiektem kpin?".

MARSZE GODNOŚCI

Dopiero gdy przypomni się, jak wielka była ilość upokorzeń, złej woli i aktów zwykłej nienawiści w ciągu ostatnich ośmiu lat wobec osób kultywujących pamięć o ofiarach katastrofy, Lechu Kaczyńskim i jego bracie, można zrozumieć fenomen miesięcznic, które gromadziły od paru do kilkunastu tysięcy ludzi każdego miesiąca.

Wielokrotnie ludzie znużeni tymi wieloma latami demonstrowania lub niepodzielający ich emocji pytali, jaki był sens tak długiego ciągu marszów smoleńskich. Jeszcze inni, w tym niektórzy księża, pouczali ich uczestników, że żałoba nie może trwać bez końca.

Wytrwałość uczestników tych marszów była protestem przeciw czterem

eprasa.pl c7db8fdf58

zjawiskom: łatwości, z jaką ekipa Donalda Tuska oddała śledztwo stronie rosyjskiej, matactwom w śledztwie, oczernianiu przez Rosjan gen. Błasika i blokowaniu wznoszenia pomników smoleńskich w Warszawie i w kraju. Jedni uznawali katastrofę za zamach, inni domagali się rzetelnego wyjaśnienia tragedii.

Z perspektywy czasu widać, że te comiesięczne marsze miały sens. Nie pozwalały w epoce rządów PO zapomnieć o sprawie Smoleńska i postulacie godnego uczczenia ofiar. Częstotliwość kpin z miesięcznic wskazywała, że nie pozwalały elitom III RP zapomnieć o znakach zapytania wokół tej sprawy. A dla elektoratu PiS były sposobem na zachowanie poczucia godności.

Teraz, wraz z odsłonięciem pomnika smoleńskiego i mającym nastąpić za parę miesięcy odsłonięciem pomnika Lecha Kaczyńskiego, uliczne miesięcznice się zakończą. To koniec pewnej epoki w dziejach prawicy.

Kwestie sprzeciwu wobec zachowania ekipy Tuska wobec katastrofy i obrona pamięci gen. Błasika z czasem zeszły na dalszy plan. Postulat budowy pomników właśnie się wypełnia. Pozostają spory z samorządami o ulice Lecha Kaczyńskiego, które wobec zacietrzewienia włodarzy Katowic czy Gdańska wojewodowie narzucili, korzystając z ustawy dekomunizacyjnej. Ostatni postulat – pełnego wyjaśnienia sprawy katastrofy – okazał się najtrudniejszy do spełnienia, mimo zdobycia władzy w 2015 r. przez PiS. Na ósmą rocznicę tragicznego dnia z 2010 r. nie będzie gotowy raport komisji smoleńskich. Mylą się jednak publicyści z obozu III RP głoszący, że o ile sprawa Smoleńska długo była politycznym paliwem dla PiS, o tyle teraz będzie dla niego problemem. Elektorat tej partii poczeka na badania ze świadomością, że nie będzie to szybki proces.

Dlatego Jarosław Kaczyński uznał 10 września, że ósma rocznica tragedii i odsłonięcie pomnika na pl. Piłsudskiego zamkną epokę miesięcznic. Widział, że już od pewnego czasu ich formuła się wyczerpuje, a opozycja wykorzystuje je do awantur. Jednak dla uczestników tych marszów były one czymś ważnym. Elementem pokoleniowego doświadczenia. A nowe fakty o tym, co wydarzyło się w Smoleńsku, wychyną zapewne w najmniej oczekiwanym momencie.

Pomnik niedaleko Grobu Nieznanego Żołnierza musiał powstać przy wykorzystaniu kruczków prawnych, ale jest elementem normalności każdego zdrowego społeczeństwa. Jeśli komuś przynosi to ujmę, to Hannie Gronkiewicz-Waltz, która z przygnębiającym fanatyzmem blokowała latami godne uczczenie ofiar. I nawet sama Platforma dochodzi z wolna do tego wniosku.

Świadczy o tym porażka wezwań Rafała Trzaskowskiego, kandydata PO na prezydenta Warszawy, by przeprowadzić referendum w sprawie istnienia pomnika. Nawet jego macierzysta partia zdystansowała się wobec tego pomysłu. Już tylko najbardziej zacietrzewieni w Platformie wzywają do przyszłego demontażu pomnika, ale to raczej tylko wojenna retoryka. „Pomnik smoleński pewnie zostanie na pl. Piłsudskiego na zawsze" – ponuro skonstatowała „Gazeta Wyborcza".

I dobrze, że tak się w końcu stało. Warszawa – stolica Polski – spłaciła w końcu dług pamięci ludziom, których 10 kwietnia 2010 r. dotknął polski los. Wciąż za wcześnie jeszcze, by w pełni zrozumieć sens tej tragedii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

AN EVENING WITH
2CELLOS
THE SCORE TOUR
KONCERTY
18 MAJA 2018
ERGO ARENA GDAŃSK/SOPOT
19 MAJA 2018
TAURON ARENA KRAKÓW
BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK
SCORE COMING SOON
2CELLOS.COM
UNITED TALENT AGENCY

Prestige MJM 10 lat · 15 Classic · Hilton Gdansk · wprost · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · Gitarzysta · Perkusista · pap · wp · cgm.pl · trojmiasto.pl · Multikino · 4F GOLD · empik · Press Service · Vixon · ams

eprasa.pl c7db8fdf58

Kto odpowiada za PR władzy

Kamila Baranowska

Jak to możliwe, że ekipa, która była w stanie przeprowadzić dwie zakończone sukcesami kampanie wyborcze, w sprawach komunikowania się z wyborcami dziś potyka się o własne nogi?

Lista błędów, które rząd PiS popełnił w ostatnim czasie, a których wydźwięk można było zniwelować skuteczną polityką komunikacyjną, jest długa. Spadki sondażowe, które zepchnęły Prawo i Sprawiedliwość do defensywy, to efekt przede wszystkim polityki wewnętrznej. Ciągnąca się od kilku tygodni telenowela, której tematem są nagrody i premie przyznane członkom rządu przez poprzednią premier, zakończona ubiegłotygodniową zapowiedzią zwrotów i cięć uposażeń poselskich, to wizerunkowa katastrofa. A to tylko wierzchołek góry lodowej.

Dzisiaj bardziej niż wcześniej widać brak kompleksowej polityki w komunikacji, która pozwalałaby unikać wpadek, szybko wychodzić z kryzysów i narzucać własną narrację. Czyli działać dokładnie tak jak w kampaniach w 2015 r. – W ciągu ostatnich dwóch lat popełniane błędy uchodziły PiS na sucho, bo byliśmy silni wygranymi wyborami i wszystko szło siłą rozpędu. Wiadomo, że musiał przyjść moment, kiedy czar wygranej przestanie wystarczać i nagle są szok oraz niedowierzanie. A to są zaniedbania, które nawarstwiały się przez długie miesiące – wskazuje jeden z polityków.

LUDZIE Z SOLVERE

W otoczeniu premiera Mateusza Morawieckiego za komunikację odpowiadają trzy ośrodki. Najwięcej do powiedzenia mają Piotr Matczuk i Anna Plakwicz, czyli założyciele słynnej już spółki Solvere, odpowiedzialnej za nieudaną akcję billboardową „Sprawiedliwe sądy". Matczuk i Plakwicz pracowali w kancelarii premiera za czasów premier Beaty Szydło, odeszli w maju ubiegłego roku, by kilka tygodni temu powrócić w roli fachowców, którzy mają uratować wizerunek rządu. – Zdecydowaliśmy się sięgnąć po fachowców Annę Plakwicz i Piotra Matczuka. Są to osoby, które mają wieloletnie doświadczenie w kierowaniu dużymi zespołami zajmującymi się komunikacją. Zarządzały już wcześniej departamentami w KPRM i odpowiadały za wizerunek prezesa Rady Ministrów – tłumaczył ten ruch Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera.

Nasi rozmówcy z PiS nie kryją rozbawienia. – Przecież Matczuk i Plakwicz przez cały ten czas, już od dwóch lat, odpowiadają za politykę wizerunkową rządu, a raczej jej brak. Robienie z nich nowych specjalistów to jakiś żart. Nawet gdy na

eprasa.pl c7db8fdf58

Prezes PiS Jarosław Kaczyński w ubiegłym tygodniu ogłosił na konferencji, że nie tylko ministrowie i wiceministrowie zwrócą premie, ale że obcięte ustawowo zostaną uposażenia posłów oraz samorządowców FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

chwilę odeszli do tej swojej firmy, ciągle bywali w KPRM, brali udział w odprawach i na bieżąco współdecydowali o kwestiach wizerunkowych – mówi nam jeden z członków rządu. A do tego ich powrót sam w sobie okazał się wizerunkowym kłopotem. Ciągnie się bowiem za nimi badana wciąż przez prokuraturę sprawa spółki, którą powołali – jak uznało CBA – łamiąc ustawę antykorupcyjną (założyli spółkę, gdy pracowali jeszcze w KPRM).

Mateusz Morawiecki niespecjalnie ufa tej dwójce. Dlaczego zatem zgodził się na ich powrót? – Nie miał wyboru – słyszymy. Ich powrót to wola Nowogrodzkiej i samego prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który jest przekonany, że PiS zawdzięcza udaną kampanię wyborczą i podwójną wygraną w 2015 r. właśnie im. Matczuk i Plakwicz są związani z PiS od dawna, uczestniczyli w wielu kampaniach wyborczych, zawsze jednak byli na drugim planie. Odpowiadali za sprawy organizacyjne i w tym się, jak słyszymy od ludzi z Nowogrodzkiej, bardzo dobrze sprawdzali. – Zrobienie ich odpowiedzialnymi za kreację całej polityki komunikacyjnej rządu to jakieś nieporozumienie. To się nie może udać – załamuje ręce jeden z naszych rozmówców.

HARCERZE I GRUPA FILLA

Powrót tej dwójki do KPRM sprawił, że na dalszy plan zeszły dwa pozostałe ośrodki, które odpowiadały za medialny wizerunek premiera Morawieckiego. To tzw. grupa harcerzy z Mariuszem Chłopikiem na czele, którzy współpracowali z Morawieckim jeszcze w czasach bankowych. Do tego grona zalicza się także PR-owców Sebastiana Bojemskiego i Dymitra Hirscha, którzy mieli stać za kontrowersyjnym pomysłem złożenia przez Morawieckiego kwiatów przy grobach żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej podczas wizyty w Niemczech w apogeum sporu o historię z Izraelem i USA. Dzisiaj grupa harcerzy w KPRM powoli się wykrusza.

Ostatni ośrodek, który dba o wizerunek premiera, to ludzie skupieni wokół Tomasza Filla. Fill to człowiek, z którym Morawiecki zna się i współpracuje od dawna. Odpowiada jednak bardziej za kontakty premiera z tytułami biznesowymi, tam ma dobre kontakty i relacje. Od polityki trzyma się raczej z daleka.

Na placu boju zostają więc dzisiaj Plakwicz i Matczuk, wspierani przez partię i prezesa. Morawiecki średnio im

eprasa.pl c7db8fdf58

ufa, nie był zadowolony z ich powrotu, ale nie mógł go zablokować. W PiS brak wiary, by ta dwójka była w stanie odmienić sytuację obozu rządzącego.

NAJPIERW PREMIE, POTEM OBNIŻKI

Na razie głównym pomysłem na nowe otwarcie jest zaplanowana na połowę kwietnia konwencja PiS i Zjednoczonej Prawicy, na której mają paść nowe zapowiedzi programowe i pomysły społeczne. Pytanie, czy to wystarczy. W niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy" Marcin Mastalerek, były rzecznik PiS i współtwórca kampanii Andrzeja Dudy i Beaty Szydło z 2015 r., przestrzegał, że pomysły takie jak choćby efektowne konwencje, które były skuteczne w kampanii wyborczej dzisiaj, w przyszłości mogą okazać się nieskuteczne.

„Uważam, że prawica ani dziś, a już zwłaszcza przy okazji zbliżającego się maratonu wyborczego nie może popełnić błędu z 2007 r. Wtedy, w 2007 r., robiono kampanię tak, jakby był 2005 r., a Polska się w tym czasie zmieniła, zmieniły się metody prowadzenia kampanii. Jeżeli PiS w 2019 r. dalej będzie kopiował rok 2015, nie będzie szukał nowych, atrakcyjnych metod, to przegra" – stwierdził.

Kryzys wizerunkowy związany z premiami dla członków rządu, które przyznała jeszcze Beata Szydło, pokazał, jak bardzo wewnętrzne podziały przekładają się na wizerunek całego obozu. Wszyscy specjaliści od wizerunku są tu zgodni – sprawę należało przeciąć od razu, gdy się pojawiła. Tymczasem przez kilkanaście dni pozwolono, by to opozycja nadawała ton. Rząd milczał. Mateusz Morawiecki, pozostający w sporze z Beatą Szydło, nie miał zamiaru ani brać odpowiedzialności za jej decyzje, ani się z nich tłumaczyć. Sama Szydło zabrała głos po dwóch tygodniach, grzmiąc na sali sejmowej, że nagrody ministrom „po prostu się należały". Te słowa zupełnie nie pasowały do wizerunku skromnej i pokornej pani premier, toteż tylko dolały oliwy do ognia. Co więcej, niektórzy politycy PiS są przekonani, że sprawa premii nie byłaby aż tak grzana, gdyby nie inspiracja z wewnątrz. Traktują to jako część rozgrywki między Morawieckim a Beatą Szydło. Sęk w tym, że ta sprawa, co było łatwe do przewidzenia, uderza w cały obóz, a więc także w samego Morawieckiego. Bez zażegnania wewnętrznych konfliktów trudno będzie powrócić do wizerunku obozu rządzącego jako jednej sprawnej drużyny, która ma ten sam cel i działa na rzecz Polaków.

Ostatecznie sprawę nagród ma przeciąć decyzja prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który poinformował, że wszyscy ministrowie przekażą premie na Caritas, a dodatkowo zapowiedział obniżenie o 20 proc. pensji poselskich. Ma się to nijak zarówno do tego, co wcześniej mówił sam prezes, jak i do tego, co w Sejmie mówiła Beata Szydło. „Czy leci z nami pilot?" – takiej treści SMS dostałam tuż po ogłoszeniu tej decyzji od jednego z ważnych polityków PiS.

NIE TE TWARZE

Brak spójności i konsekwencji w komunikacji to wciąż nierozwiązany problem tej ekipy. Widać to było także dość wyraźnie przy okazji weta prezydenta Andrzeja Dudy wobec ustawy degradacyjnej. – Jesteśmy zaskoczeni i zawiedzeni, ale decyzji prezydenta dotyczącej zawetowania ustawy degradacyjnej komentować nie będziemy – poinformowała rzeczniczka PiS Beata Mazurek. Chwilę później w kilku wywiadach z rzędu Marek Suski, szef gabinetu politycznego premiera i ważny polityk PiS, komentował jakby nigdy nic, że prezydent stracił jego głos w wyborach. – To było niepoważne – komentuje jeden z naszych rozmówców. – W ogóle sam fakt, że Suski chodzi po mediach, jest niepoważny – dodaje. Dlaczego? – Jeszcze za czasów Adama Hofmana robiono badania, kto dobrze wypada w mediach, a kto jest przez ludzi źle oceniany. Nie do pomyślenia było, by w telewizji brylowali Suski czy Terlecki. A dziś to oni są twarzami PiS w mediach – wspomina.

Kolejny kłopot to wizerunek premiera Morawieckiego i brak pomysłu na to, jak ów wizerunek dobrze opakować i sprzedać. – Próby zrobienia z niego drugiej Beaty Szydło nie mogą się udać, bo on nie jest Beatą Szydło. Trzeba eksponować jego unikalne cechy i atuty, a nie kazać mu malować jajka na Wielkanoc – zżyma się polityk PiS, nawiązując do wielkanocnego spotu z premierem. W PiS krąży już nawet żart, że Plakwicz i Matczuk, bo to oni stali za spotem, niedługo wpadną na pomysł, by w ramach ocieplania wizerunku przypiąć Morawieckiemu broszkę do marynarki.

Sam Morawiecki też popełnia niekiedy elementarne błędy, na które nikt nie zwraca mu uwagi. Podczas niedawnego, zorganizowanego naprędce w ramach ocieplania wizerunku spotkania z dziennikarzami i liderami opinii (tzw. TweetUp), premier wyraźnie lepiej czuł się w rozmowach w dziennikarzami tytułów ekonomicznych. O ile taka taktyka sprawdzała się, gdy był wicepremierem i ministrem rozwoju, o tyle będąc premierem, nie powinien unikać kontaktów z publicystami i dziennikarzami politycznymi.

To tylko część kłopotów, z którymi musi uporać się obóz rządzący. Czasu, wbrew pozorom, wcale nie ma dużo. Im dłużej rząd będzie w defensywie, tym trudniej będzie zmienić negatywne wrażenie chaosu. A do załatwienia jest jeszcze kilka innych kluczowych z politycznego punktu widzenia spraw, takich jak konflikt z Komisją Europejską i zażegnanie sporu z Izraelem o ustawę o IPN. Wszystko to trzeba będzie odpowiednio „opakować", co też może okazać się nie lada wyzwaniem. Przed PiS wybory samorządowe, które – chcąc nie chcąc – staną się plebiscytem poparcia polityki rządu. Aby je wygrać (liczyć się będzie przede wszystkim wynik w wyborach do sejmików), PiS potrzebuje przemyślanej i dobrze poprowadzonej kampanii wyborczej, zarówno na szczeblu lokalnym, jak i ogólnopolskim. Pytanie, czy z obecną załogą jest w stanie to zrobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Do doradzania rządowi wrócili Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, założyciele spółki Solvere FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Marcin Makowski

W mediach społecznościowych PiS jeszcze wciąż dominuje, ale pod względem wzrostu zasięgu i zaangażowania widać już spadki. Tymczasem w sieci rośnie bardziej radykalna prawica

Radykalna zmiana?

Liczba polubień wpisów posła Adama Andruszkiewicza (koło poselskie Wolni i Solidarni) przewyższa liczbę polubień wpisów kancelarii premiera i partii PiS razem wziętych FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Naszym rządzącym życzę pokory i cudu pamięci. Byście zawsze mieli z tyłu głowy, że to my powierzyliśmy wam Polskę, naszą najukochańszą Ojczyznę, i jeśli to zmarnujecie, żadna pycha ani arogancja was nie uratuje przed naszym gniewem. Popłyniecie w ten ostatni rejs" – napisała w formie wielkanocnych życzeń Irena Szafrańska, prawicowa blogerka.

„Tłiter to jest fala, która może wynieść albo zabić. Przewagę PiS buduje tutaj kilkudziesięciu wolontariuszy [w tym miejscu następuje wyliczanka personaliów – przyp. red.]. PiS ich przestał potrzebować. Ręce opadają" – stwierdził popularny w kręgach radykalnej prawicy użytkownik Twittera „smok05".

„Panie Tusk, za wszystko co Pan złego zrobił Polakom – osobiście panu obiecuję, że zmobilizuję tysiące młodych ludzi w Polsce – a także tych, którzy przez złodziejskie rządy PO zostali wypchnięci na Zachód – aby NIGDY nie odzyskał Pan władzy w naszej Ojczyźnie. Także żadnych marzeń!", „[...] Ludzie są rozczarowani, bo widzą w telewizorze uśmiechniętych i bezkarnych posłów PO. Początek programu Cela+" – grzmiał z kolei Adam

eprasa.pl c7db8fdf58

Andruszkiewicz z koła poselskiego Wolni i Solidarni.

Co łączy te cztery tweety? Z jednej strony rozczarowanie części elektoratu, która w 2015 r. przyczyniła się do przejęcia szturmem mediów społecznościowych przez Prawo i Sprawiedliwość oraz Andrzeja Dudę. Z drugiej natomiast zapowiedź budowy twardszej, nastawionej wyraźnie „antyplatformersko" alternatywy dla zbaczającej z kursu partii rządzącej. Obie te tendencje znajdują potwierdzenie w statystykach mediów społecznościowych w pierwszym kwartale 2018 r., które przeanalizowaliśmy i prezentujemy wraz z pracownią Polityka w Sieci.

TOPNIEJĄCE ZAANGAŻOWANIE

Na początek obraz z lotu ptaka. Jaka sytuacja dobrej zmiany wyłania się z przeliczenia statystyk zaangażowania oraz zasięgu komunikatów serwowanych przez czołowych polityków (Mateusz Morawiecki, Beata Szydło) oraz instytucje rządowe (m.in. Kancelaria Prezesa Rady Ministrów)? Jedno nie ulega wątpliwości – partyjni spin doktorzy będą mieć twardy orzech do zgryzienia. W ostatnich tygodniach w mediach społecznościowych można zaobserwować realne zmiany w emocjach użytkowników. Na pierwszy plan wysuwa się znaczący spadek zaangażowania fanów PiS na Facebooku oraz osłabienie przyrostu nowych obserwujących. Ten negatywny trend rozpoczął się wraz z rekonstrukcją rządu i ze zmianą premiera. Nie da się również bagatelizować spadku zaangażowania wyborców PiS na Twitterze.

Z analizy treści wpisów zdecydowanie wyróżnia się narastające w elektoracie zirytowanie działaniami rządu oraz rozczarowanie podobieństwami do opozycyjnej Platformy. Najczęściej poruszane tematy to: nagrody dla ministrów, arogancja władzy, kolesiostwo przyćmiewające sukcesy spółek państwowych oraz wzrastająca dzietność i szybko wzrastający PKB. Tam, gdzie rząd słabnie, przynajmniej część użytkowników dotychczas identyfikujących się z PiS wzmacnia szeregi użytkowników w kanałach powiązanych z radykalną prawicą, w tym z ruchami narodowymi. Według naszych ustaleń to one oraz zyskujący na popularności młodzi liderzy mogą w przyszłości stanowić największe zagrożenie dla Zjednoczonej Prawicy.

Jeśli zestawić profil partii PiS oraz KPRM z liczbą polubień, podanych dalej wiadomości oraz liczbą komentarzy, to media o charakterze narodowym lub samodzielni politycy konstestujący miękką linię rządu wyraźnie nokautują obóz dobrej zmiany.

Liczba polubień pod wpisami posła Adama Andruszkiewicza (112 088) przewyższa bowiem w badanym okresie kancelarię premiera (46 246) oraz PiS (46 234) razem wzięte. Sam poseł Andruszkiewicz zebrał również o ponad 20 tys. polubień pod wpisami więcej niż zsumowane interakcje Mateusza Morawieckiego (56 671) oraz Beaty Szydło (35 119). Porównywalną z byłą premier popularnością w I kwartale 2018 r. cieszyły się również wpisy Krzysztofa Bosaka (31 441), Andrzeja Turczyna (27 586) oraz Roberta Winnickiego (25 992). Na zaskakująco wysokim poziomie uplasowała się również twitterowa popularność kanału Idź pod Prąd Mariana Kowalskiego i pastora Pawła Chojeckiego, który uzyskał ponad 31 tys. polubień. Jeśli dodać do niego aktywność ONR, Młodzieży Wszechpolskiej oraz Ruchu 11 Listopada, to są to statystyki wyższe od KPRM albo Klubu Parlamentarnego PiS.

Prawdziwa siła oddziaływania w social media liczona jest jednak przez pryzmat udostępnień wpisów oraz liczby znajdujących się pod nimi komentarzy. Szczególnie na tym odcinku można porównać skalę konkurencji, która pod względem mobilizacji sympatyków wyrosła na prawo od PiS. Dla uzmysłowienia rozmiarów zjawiska ponownie jako punkt odniesienia potraktowaliśmy profil Adama Andruszkiewicza. Do końca marca jego tweety zostały podane dalej ponad 28 tys. razy. W tym samym okresie główny profil Prawa i Sprawiedliwości, stanowiący lokomotywę komunikacyjną partii, uzyskał wynik na poziomie… 16 tys. Patrząc na popularność komentarzy kancelarii premiera (15 094), tylko nieznacznie wyprzedza ona popularność Andrzeja Turczyna – aktywistę zajmującego się promocją broni palnej (12 190), który wygrywa również z kontem Mateusza Morawieckiego (11 991) oraz Beaty Szydło (8726). Po stronie narodowej zarówno Robert Winnicki (8700), jak i Krzysztof Bosak (8121) o włos ustępują liczbą retweetów byłej szefowej rządu. Przy tej okazji potwierdza się reguła, że połączone siły kanałów radykalnie prawicowych, takich jak Idź pod Prąd, ONR, Ruch 11 Listopada oraz Media Narodowe, generują większe zasięgi od oficjalnych kanałów komunikacji rządu lub partii.

Jedynym polem na Twitterze, na którym obóz władzy nawiązuje realną walkę z prawicową konkurencją, jest liczba komentarzy pod wpisami. Tutaj niepodzielnie królują PiS (9363) oraz KPRM (6096). Trzeba jednak pamiętać, że zestawiamy je nie z innymi kontami partii, lecz z pojedynczymi osobami, które praktycznie dorównują zasięgami kontom prowadzonym całodobowo przez zatrudnione tylko do tego celu sztaby osób. Również w tym zestawieniu po stronie „radykalnej zmiany" prowadzi Adam Andruszkiewicz (5682), który wyprzedza Krzysztofa Bosaka (5253), Mateusza Morawieckiego (3514), Beatę Szydło (3315) oraz Roberta Winnickiego (3018). Tak znaczny spadek zaangażowania fanów partii rządzącej przekłada się w oczywisty sposób na mniejsze dotarcie z przekazem do wyborców. Przy dużym szumie medialnym brak kanału w mediach społecznościowych może bardzo osłabić wizerunkowo każde ugrupowanie.

Na pierwszy plan wysuwa się znaczący spadek zaangażowania fanów PiS na Facebooku. Nie da się również bagatelizować spadku zaangażowania wyborców Prawa i Sprawiedliwości na Twitterze

TWIERDZE ZACZYNAJĄ UPADAĆ

Trend spadku popularności mediów Prawa i Sprawiedliwości kosztem „radykalno-prawicowych", poza Twitterem, wyraźnie odzwierciedla się również na platformie YouTube. W kluczowym dla komunikacji politycznej XXI w. obszarze wideo konta rządowe – szczególnie w marcu – były w stagnacji albo notowały spadki. Dla kontrastu – badane kanały prawicowe pod względem liczby subskrybentów przeżywały historyczne

eprasa.pl c7db8fdf58

skoki popularności. Media Narodowe zyskały 1983 obserwujących (wzrost o 11 proc.), Prawicowy Internet – 1803 (ok. 3 proc.), a Idź pod Prąd TV – 586 (ok. 5 proc.). W kryzysowym dla dobrej zmiany marcu kancelaria premiera straciła na YouTube 80 zadeklarowanych widzów (spadek o ok. 1 proc.), natomiast konto PiS właściwie nie zmieniło stanu posiadania. Dodając do zestawienia wspomnianego wielokrotnie posła Andruszkiewicza (178 tys. fanów), okaże się, że samodzielnie – pod względem zaangażowania – wyprzedza on nawet posiadający 651 tys. fanów profil prezydenta Andrzeja Dudy. W rankingu firmy Sotrender członek Wolnych i Solidarnych plasuje się na ósmym miejscu najpopularniejszych Polaków na Facebooku, wyprzedzając m.in. Patryka Jakiego, Roberta Biedronia, Pawła Kukiza czy… Annę Lewandowską.

Do tej pory obserwowaliśmy bezpośrednią konkurencję wewnątrz prawicy, ale obraz spadku popularności PiS oraz polityków partii w sieci nie będzie pełny, jeśli nie doda się do niego porównania z opozycją parlamentarną. Do tego celu najlepiej wykorzystać Facebooka, który od 2015 r. stanowił tajną broń w rękach sztabów wyborczych obozu dobrej zmiany. Pod tym względem w marcu 2018 r. przy stałych wynikach większości kont polityków rządowych Platforma Obywatelska zanotowała niemal skokowy wzrost fanów o 3 proc., który przełożył się na rekordy we wskaźnikach interakcji konta PO. Na tym obszarze największa partia opozycyjna samodzielnie – o niespełna dwie długości (34 475) – wyprzedziła w zaangażowaniu (wskaźnik „Ludzie, którzy o tym mówią") zsumowane profile PiS (3447), Beaty Szydło (12 478) oraz kancelarii premiera (7319). Również suma interakcji od początku istnienia facebookowego profilu Platformy pod koniec marca przewyższała łączne zasięgi wygenerowane przez konta PiS, KPRM oraz Beaty Szydło. Partia Jarosława Kaczyńskiego przegrywała również w porównaniu z innymi kontami prawicowymi, takimi jak Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, Prawicowy Internet czy telewizja Idź pod Prąd. W bezpośrednim porównaniu czwartego kwartału 2017 r. z pierwszym kwartałem 2018 r. Prawo i Sprawiedliwość pod względem reakcji oraz interakcji na Facebooku stopniało pod względem ruchu o ponad 100 proc. Wszystkie inne partie poza delikatnym spadkiem Nowoczesnej notowały wzrosty.

NADZIEJA W „CELI+"?

Warto zaznaczyć jednak, że jest kilka przyczyn tak dużego wzrostu zainteresowania ruchami prawicowymi w sieci. Zmiana każdego z nich na razie leży jeszcze w gestii Prawa i Sprawiedliwości, którego błędy okazują się najlepszym paliwem dla konkurencji politycznej. Analiza jakościowa komentarzy wskazuje głównie na brak działań obiecanych przez PiS w czasie kampanii o charakterze radykalniejszym, m.in. repolonizacji mediów, masowych aresztowań aferzystów i procesów. Rozczarowani wyborcy narzekają również na brak ustawy o tzw. fake newsach, rozliczania uczestników afer gospodarczych czy też faktycznych większych ruchów w kwestii afery reprywatyzacyjnej czy Amber Gold – kolejne posiedzenia obu komisji nie budzą już takiego zainteresowania jak wcześniej.

Niebagatelne znaczenie dla spadków zasięgów dobrej zmiany, poza samą rekonstrukcją, miał również rodzaj zmian w Ministerstwie Obrony Narodowej. Odsunięcie w cień Antoniego Macierewicza – polityka kojarzonego raczej z frakcją radykalną w ugrupowaniu rządzącym – uznane zostało przez znaczne grupy internautów wspierających rząd za zdradę stanu. Równocześnie niezrozumiała przez dużą część młodego, radykalniej nastawionego elektoratu okazała się próba łagodzenia konfliktów z Unią Europejską oraz Izraelem. Nagminnie pojawiały się przy tej okazji komentarze, nazywające premiera Mateusza Morawieckiego drugim Tuskiem, dyskutowano o końcu tzw. wstawania z kolan oraz wskazywano na uległość wobec Niemiec i Stanów Zjednoczonych, traktowaną jako rażąca sprzeczność z wyborczymi deklaracjami PiS.

KONKURENCJA? JESZCZE NIE TERAZ

Czy obserwowane i opisywane przez nas spadki zaangażowania w mediach społecznościowych rządu przełożą się na realną konkurencję na scenie politycznej? Wydaje się, że pomimo dobrej passy „radykalnej zmiany" to, co działa na korzyść PiS, można zdefiniować jako rozdrobnienie środowiska po prawej stronie sceny politycznej. Nadal mamy bowiem do czynienia z mozaiką ruchów, poglądów i liderów, zaczynając od tych samodzielnych (Andruszkiewicz, Bosak, Winnicki) do masowych, np. ONR, Ruch Narodowy, oraz tych o dużej sile rażenia w mediach społecznościowych, ale powstałych niedawno (Ruch 11 Listopada, Prawicowy Internet). Dodatkowo zauważyć można wzrost wskaźników ugrupowań wolnościowych otwarcie romansujących ze środowiskiem skupionym wokół Pawła Kukiza czy Wolności Janusza Korwin-Mikkego.

Brak spójnej, konkretnej platformy programowej w obecnym systemie politycznym nie daje wspomnianym organizacjom możliwości przekroczenia progu wyborczego. Tylko odpowiednio zorganizowana, połączona w jedno siła może liczyć na zajęcie kilku, a w najlepszym przypadku kilkunastu foteli w parlamencie. Z kolei trzeba pamiętać, że siłą dla PiS podczas wyborów w 2015 r. byli młodzi, patriotycznie nastawieni ludzie. Bez nich PiS i ugrupowania z nim współrządzące Polską nie będą w stanie w dłuższej perspektywie mobilizować skutecznie wyborców tak jak w poprzednich wyborach. Można zaryzykować wręcz tezę, popartą analizowanymi treściami w Internecie, że PiS tę część elektoratu zacznie bezpowrotnie tracić z powodu kolejnych rozczarowań. Tego trendu nie odwróci jakieś kolejne aresztowanie polityka opozycji czy rocznica programu „500+", z którego młodzi nie korzystają.

Trend negatywny dla PiS zdaje się nie dotykać jednak samego prezydenta. Chociaż na Facebooku pod koniec marca i na początku kwietnia odnotował wyraźny spadek fanów na korzyść przyrostu obserwujących na koncie Antoniego Macierewicza, to wystarczyło poczekać do końca Świąt Wielkanocnych, aby sytuacja wróciła do normy. Wydaje się, że wbrew głośnym zapowiedziom niegłosowania na Andrzeja Dudę w następnych wyborach, zarzutom o zdradę własnego elektoratu, apelom o nieprzemawianie na rocznicy katastrofy smoleńskiej wyborcy centrowi oraz umiarkowana prawica, nie mając realnej alternatywy, nie zmienią swoich zapatrywań wyborczych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst powstał w oparciu o raport pracowni Polityka w Sieci. Pełna treść raportu dostępna na stronie: www.dorzeczy.pl.

eprasa.pl c7db8fdf58

POSUBOTNIK

„Zwykły Polak”

Rafał A. Ziemkiewicz

Skuteczność i autorytet – to one zadecydują, czy Jarosław Kaczyński zrealizuje swój największy życiowy cel

Kłopotów PiS namnożyło się nagle tyle, że dla publicysty temat wydaje się samograjem. Nagrody, konflikt z Izraelem i lobby żydowskim w USA, prezydenckie weto do ustawy degradacyjnej, a przede wszystkim wewnętrzna, zupełnie już bezwstydnie prowadzona wojna sukcesyjna, która jest – mówiąc językiem Saddama Husajna – matką wszystkich innych problemów rządzącej partii. O każdej z tych spraw można by napisać dużo i wnikliwie, ale robią to inni. Ja, bardziej ambitnie, chciałbym zwrócić uwagę na problem najważniejszy. Chociaż nie tak jak te wymienione pilny i przez to rzadziej zauważany.

Gdyby tak ścisnąć cały przekaz Jarosława Kaczyńskiego, wszystkie jego wywiady i przemówienia do jednego akapitu, nawet tylko jednego zdania – wiecie, co to będzie? Otóż: Polska potrzebuje nowych elit. Potrzebuje, mówiąc szerzej, w ogóle nowej hierarchii społecznej, nowego układu, opartego na innych podległościach, ale w przekonaniu Kaczyńskiego budowa takiej nowej hierarchii rozpocząć się musi właśnie od wymiany elity. Nowa „góra”, patriotyczna, zakorzeniona w tradycji AK, PPS i Piłsudskiego, wychowa nowe „doły” i wreszcie „Polska będzie Polską”.

Prawdziwy problem Jarosława Kaczyńskiego to nie to, że mu frakcyjne buldogi wyłażą spod dywanu, podkładają sobie nawzajem świnie i usiłują jeden drugiego skompromitować, ślepe na dobro już nie tylko rządzącej formacji, lecz także Polski. Prawdziwy problem Jarosława Kaczyńskiego jest taki, że po dwóch latach niepodzielnych rządów PiS wielki cel zmiany elity czy choćby tylko jej wymiany oddala się, zamiast przybliżać.

@

Jeżeli dziesiątki rozmaitych osób, które z racji popularności, sukcesów w nauce czy sztuce albo pełnionych funkcji w elitarnych zawodach powinny cieszyć się szczególnym autorytetem, chóralnie, jednoznacznie i w słowach coraz bardziej dosadnych wzywały lud, aby – Boże broń – nie głosował na PiS, a lud właśnie tak zagłosował, to moment na wcielenia marzenia w życie wydawał się idealny. Nie rozwodząc się nad sprawą oczywistą: elity III RP, te mozolnie budowane ćwierć wieku temu przez Michnika i michnikowszczyznę, stały się gettem. Śmiesznym, odrzuconym, pełnym frustracji oraz kompensacyjnej pogardy dla uwielbianego niegdyś „ludu”. I to się już nie zmieni, nawet gdyby odwróciła się polityczna karta.

Jednak liderzy PiS uwierzyli, że w takim razie oni i ci, których oni mianują, zastąpią elity dotychczasowe siłą rzeczy. Natura pustki nie znosi. Skoro ludzie przestali za swój wzór i autorytety uważać tamtych, to muszą uznać za nie naszych. Kogoś przecież podziwiać i naśladować muszą. Wystarczy, że będziemy u władzy i stopniowo ewentualnie „zrepolonizujemy” media, żeby, odwrotnie niż przez ostatnie ćwierć wieku, nas właśnie w nich zachwalano, a tamtych wyszydzano – i nic więcej nie trzeba.

Otóż to tak nie działa. Wizja, wspólna skądinąd Kaczyńskiemu i Michnikowi, w której mądrość i wzorce rodzą się tylko na górze oraz „ściekają w dół”, w podobny sposób jak bogactwo w klasycznym modelu ekonomicznym Adama Smitha, jest z gruntu fałszywa. Elity nie zmieniają całego społeczeństwa na swój obraz i podobieństwo tylko dlatego, że gromadzą najlepszych, a już zwłaszcza gdy gromadzą tylko uważających się za najlepszych. Elity są u ludu na kontrakcie i ten kontrakt – jak o tym się przekonali boleśnie dwa lata temu wielbiciele michnikowej zakonnicy – może zostać wymówiony.

„Dół” potrzebuje „góry”, lud potrzebuje elity nie po to, żeby mu mówiła, jaki ma być. Potrzebuje jej do konkretnych celów. Owszem, gotów się jej podporządkować i czerpać wzorce, ale stawia warunki. Dwa z nich są najważniejsze.

Pierwszy to skuteczność. Elity są ludowi potrzebne po to, żeby rozwiązywały jego problemy – jeżeli żyje się lepiej i bezpieczniej, to lud na wszystko inne może przymknąć oko. Drugi warunek jest trudniejszy do sprecyzowania. Mówiąc ogólnie – elity muszą ludowi imponować. Muszą się dać podziwiać, muszą budzić chęć dołączenia do nich i naśladowania, muszą być takie, żeby dało się z nich być dumnym.

Co konkretnie? Jaka nieuchwytna siła sprawia, że ktoś imponuje bliźnim? Nie mam pojęcia. Ogólnie wiadomo – ludzie podziwiają pięknych, bogatych i odnoszących sukcesy. W zakompleksionej Polsce, co chyba jest naszą specyfiką, szczególny

eprasa.pl c7db8fdf58

patrzy na PiS

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

podziw i uwielbienie budzi zwłaszcza nimb docenienia przez Zachód – na tym właśnie kompleksie jechała latami i próbuje jechać nadal michnikowszczyzna, pisząc różne bzdury w zagranicznych gazetach, by tymi publikacjami zawstydzać społeczeństwo: patrzcie, świat nas krytykuje.

Jednak bywają sytuacje, gdy lud swoich pięknych i bogatych wypędza oraz podpala pałace, a i pławienie się w „europejskości", jak wiemy, michnikowej zakonnicy nie uratowało. Przyznaję zatem: z grubsza wiem, ale do końca nie wiem. Kto wie albo zdoła to odkryć, ten będzie królem czy kim tam chcieć sobie będzie.

Skuteczność i imponowanie – to są dwie sprawy, które zadecydują, czy Jarosław Kaczyński swój największy życiowy cel zrealizuje, czy też PiS zostanie przez „zwykłych Polaków" wykorzystany instrumentalnie i po spełnieniu wyznaczonego mu przez nich celu – dania po nosie poprzedniej ekipie – zostanie podobnie jak ona odstawiony. Może się nawet zdarzyć, nie daj Boże, że „zwykli Polacy" dadzą się przekonać tym, których odstawili dwa lata temu, że warto dać im drugą szansę.

@

Z ręką na sercu – czy ktoś uważa, że w którejkolwiek z wymienionych wyżej spraw Kaczyńskiemu idzie dobrze?

Ja nie. Wiara w skuteczność PiS legła w ostatnich tygodniach w gruzach. Może jeszcze uda się ją odbudować, ale będzie to trudne. Na razie PiS okazał się tą krową, która dużo ryczała. Naodgrażał się, narobił groźnych min, nawywoływał wojen, wedle arcypatriotycznej zasady „idąc w bój bez broni", a teraz rejteruje. „Zwykli Polacy" przestają wskutek tych rejterad wierzyć, że PiS wie, co robi, wie, czego chce, i konsekwentnie zmierza do celu, niechby nawet po drodze łamiąc jakieś procedury czy zasady. A trwały brak takiej wiary to początek śmierci formacji politycznej i jej szerokiego otoczenia. Owszem, jak pokazały dwie kadencje PO, przy braku atrakcyjnej alternatywy można się i bez niej utrzymać na stołkach, nawet dłuższy czas, ale rządzić trudno.

Imponować zaś PiS stara się tylko jednym: romantycznym patriotyzmem według tradycyjnych wzorców. W żadnym wypadku nie chce, nie stara się mieć swojego, choćby najskromniejszego „Vogue'a" ani swojego Hollywood – orły, krzyże i biało-czerwone flagi mają wystarczyć. Patriotyzm i związane z nim wzruszenia są dla PiS dokładnie tym, czym dla poprzedników była „europejskość". Dokładnie tak samo też daje mu przekonanie, że jako wzorzec tej podstawowej cechy ma prawo wykluczać – „j… was pies, Polska takich nie potrzebuje", jak mawiał o tych, którzy go nie popierali, Piłsudski.

Przed laty, w czasach, gdy wydawało się, że Kaczyński jako polityk nigdy już istotnej roli w Polsce nie odegra, zrobiono badanie – cytowałem je tutaj – w którym pytano, z czym się Polakom kojarzą politycy. Kaczyński był jedynym, któremu przypisywano patriotyzm, i to była główna cecha w jego politycznym wizerunku – podczas gdy np. Tuskowi równie masowo przypisywano, delikatnie mówiąc, mijanie się z prawdą. A jednak Polacy woleli wówczas głosować na kogoś, kogo uważali za kłamcę, niż na kogoś, kogo uważali za patriotę.

Mówiąc krótko – patriotyzm nie zaczął dwa lata temu imponować bardziej, niż imponował wcześniej. Może powoli tak by się stawało, gdyby zaczął być postrzegany po amerykańsku, jako „cnota praktyczna", gdyby patriota kojarzył się z człowiekiem sukcesu, z wywyższeniem w społecznej hierarchii… Jednak patriotyzm PiS-owski, dokładnie odwrotnie, budowany jest na Smoleńsku, podniesionym przez teorię zamachu do rangi męczeństwa za ojczyznę (ta charakterystyczna, zajadle wprowadzana do języka fraza „polegli w Smoleńsku", choć w żadnym innym przypadku nie mówi się tak o ofiarach katastrof ani nawet niewątpliwych zamachów – słyszał ktoś o „poległych w World Trade Center"?). Taki patriotyzm „zwykłego Polaka" odrzuca. Smoleńsk, bez względu na nieznaną do dziś bezpośrednią przyczynę tragedii, to dla niego „tupolewizm", to koncert polskiej nieudolności i skłócenia, coś, o czym by się chciało jak najszybciej zapomnieć. Wprowadzanie tego kultu na siłę, stawianie pomników czy też zmienianie nazw ulic kruczkami prawnymi i odgórnymi zarządzeniami tylko to odrzucenie pogłębia.

Szacunek dla elity, dla jej narracji, jej bohaterów i stylu życia to bowiem coś, czego – by sięgnąć po klasykę – „nie możesz uchwałą specjalną zarządzić i ustanowić". Wziąć władzę – to stosunkowo najłatwiej. Sprawować ją w sposób budzący akceptację i zadowolenie – trudno. A już zaimponować przy tym i wzbudzić szacunek – najtrudniej. A bez tego o wyśnionej przez Kaczyńskiego wymianie elit nie ma co marzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

Miliony za sztukę

FOT. WIKIPEDIA

Łukasz Zboralski

Państwo zapłaciło za arcydzieła sztuki fundacji Czartoryskich, a ta przekazała pieniądze fundacji w Liechtensteinie. Czy są powody do niepokoju?

Kiedy państwo polskie negocjowało z Fundacją XX. Czartoryskich zakup kolekcji dzieł sztuki, na stronie fundacji poinformowano o zmianach w zarządzie (z zarządu odszedł wtedy Jan Lubomirski-Lanckoroński), a reprezentujący fundację Maciej Radziwiłł napisał: „Fundacja XX. Czartoryskich w dalszym ciągu będzie wspierała historię rodziny Czartoryskich, a także upowszechniała wiedzę na ten temat. Dzięki uzyskanym środkom fundacja będzie mogła wspierać przedsięwzięcia mające za przedmiot oświatę i wychowanie oraz kulturę i sztukę, ale także te mające na celu upowszechnianie i ochronę dziedzictwa kulturalnego w Polsce i za granicą, w szczególności związanego z rodziną Czartoryskich i rodzin spokrewnionych. W planach jest wsparcie dla projektów o charakterze kulturowym i historycznym, uczących postaw patriotycznych, humanistycznych i prospołecznych".

Po roku okazało się jednak, że Fundacja XX. Czartoryskich tego wszystkiego robić nie będzie. Na początku stycznia do krakowskiego sądu rejestrowego wpłynął wniosek o likwidację fundacji. Powód? Brak środków. 100 mln euro, które fundacja dostała od państwa jako zapłatę za kolekcję, zostało przekazane innym podmiotom – większość nowej fundacji w Liechtensteinie, która została założona w listopadzie ubiegłego roku. Krakowski sąd odmówił wszczęcia procesu likwidacji i zażądał dokumentów finansowych.

ZAPŁATA CZY DAROWIZNA

Sprawa przekazania pieniędzy zagranicznej fundacji wzbudziła w Polsce wiele emocji. Z tonu niektórych komentarzy można było odnieść wrażenie, że państwo – czyli podatnicy – straciło kontrolę nad własnymi pieniędzmi. Warto więc zwrócić uwagę na to, że państwo nie darowało pieniędzy, ale zapłaciło fundacji za dzieła sztuki – w tym m.in. za

eprasa.pl c7db8fdf58

„Damę z gronostajem" Leonarda da Vinci, obraz Rembrandta czy 250 tys. książek i rękopisów z Biblioteki Czartoryskich. Należałoby też dopowiedzieć, że kwota 100 mln euro – co w momencie sprzedaży odpowiadało 441 mln zł – była dużo niższa niż wartość kupionych dzieł. Sam obraz Leonarda da Vinci wycenia się na ok. 1,5 mld zł (ubezpieczony jest na ok. 400 mln euro). A do tego należy doliczyć jeszcze nieruchomości.

„Biorąc pod uwagę wartość kolekcji, w ok. 95 proc. została ona podarowana, a w 5 proc. sprzedana – ocenił w rozmowie z »Polska The Times« Maciej Radziwiłł. – Niestety, do opinii publicznej dużo łatwiej przebija się informacja o 100 mln euro niż o rzeczywistej wartości kolekcji, która stała się własnością narodu polskiego" – dodawał. W tej samej rozmowie wytykał też, że komunistyczne państwo ograbiło Czartoryskich z ich majątków, a wolne państwo tego nigdy nie zwróciło. Wskazywał na wiele pałaców i dworów, które choć upaństwowione w PRL, były wówczas przynajmniej używane i jakoś o nie dbano, a dziś, nieoddane właścicielom, popadają w ruinę.

Jak ujawnił już w mediach przedstawiciel Fundacji XX. Czartoryskich, ze 100 mln euro otrzymanych za kolekcję do fundacji Le Jour Viendra w Liechtensteinie przepłynęły 84 mln euro. Kilka procent dużej sumy zostało w Fundacji XX. Czartoryskich oraz trafiło do Fundacji im. Feliksa Sobańskiego i Fundacji Trzy Trąby (obie wspierają działalność muzealną).

DLACZEGO LIECHTENSTEIN?

Maciej Czartoryski – który figuruje jako członek rady fundacji Le Jour Viendra (w tłumaczeniu Nadejdzie Dzień) wraz z Michałem Jerzym Sobańskim i Peterem Marxerem jr z Liechtensteinu – tłumaczył w mediach, że zdecydowano się na zagraniczną fundację, bo polskie prawo nie jest dobrze dostosowane do funkcjonowania takich organizacji pozarządowych, a zwłaszcza tych posiadających dużo pieniędzy. Chodzić ma m.in. o możliwości inwestycyjne.

Nie ukrywał, że fundatorowi – Adamowi Karolowi Czartoryskiemu – zależało też na zabezpieczeniu fundacji i sprecyzowaniu, kto po jego śmierci będzie nad nią czuwał. Zapowiedział, że fundator ma pojawić się w Polsce w kwietniu i przedstawić dokładne plany działalności nowego podmiotu.

Ze 100 mln euro Fundacja XX. Czartoryskich przekazała 84 mln euro do fundacji Le Jour Viendra założonej w Liechtensteinie

Te nie są jednak żadną tajemnicą. Cele statutowe fundacji Le Jour Viendra można poznać dzięki np. publikacji o jej założeniu w serwisie Kundmachungen.li. Według tych zapisów cele statutowe fundacji mają być wyłącznie charytatywne. Obejmują m.in. zachowanie dziedzictwa kulturowego, w szczególności rodzin arystokratycznych w Polsce i za granicą (zwłaszcza rodziny założyciela, rodzin beneficjentów lub rodzin związanych z beneficjentami), promowanie wspierania dziedzictwa i historii poprzez wsparcie dla projektów naukowych; granty studyjne dla osób polskiego pochodzenia żyjących za granicą (w tym beneficjentów i członków wspomnianych rodzin); renowacje zabytków, pomników oraz przedmiotów przypominających o rodzinach założyciela, beneficjentach lub rodzinach z nimi związanych; wspieranie edukacji młodzieży z Polski (m.in. beneficjentów i członków wspomnianych rodzin) z terenów byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Maciej Radziwiłł w rozmowie z „Polska The Times" podkreślał, że od czasu otrzymania 100 mln euro za kolekcję ani Adam Karol Czartoryski, ani nikt z jego rodziny nie otrzymał żadnych środków z fundacji.

Widać jednak po celach fundacji z Liechtensteinu, że w przyszłości część pieniędzy tam ulokowanych w rozmaitych formach trafiać będzie do rodzin i osób związanych z fundacją Czartoryskich.

Prawnicy zajmujący się tymi kwestiami wskazują, że prawo w Liechtensteinie dopuszcza też to, co nie jest dopuszczalne w Polsce – istnienie fundacji, której beneficjentami są konkretne osoby i których danych fundacja ujawniać nie musi. Dodatkową zaletą jest to, że majątek wnoszony do fundacji nie jest opodatkowany, tak samo jak późniejsze środki przekazywane przez fundację beneficjentom.

Wszystkie informacje wskazują więc na to, że w tej sprawie na razie trudno dostrzec niezgodność z prawem lub wątek „aferalny". Owszem, pozostaje pytanie, jak na dzisiejszej fali patriotyzmu postrzegać zabieg fundatorów związany z pieniędzmi, za które zgodzili się odstąpić państwu kolekcję sztuki. W tej kwestii każdy musi wyrobić sobie jednak zdanie sam.

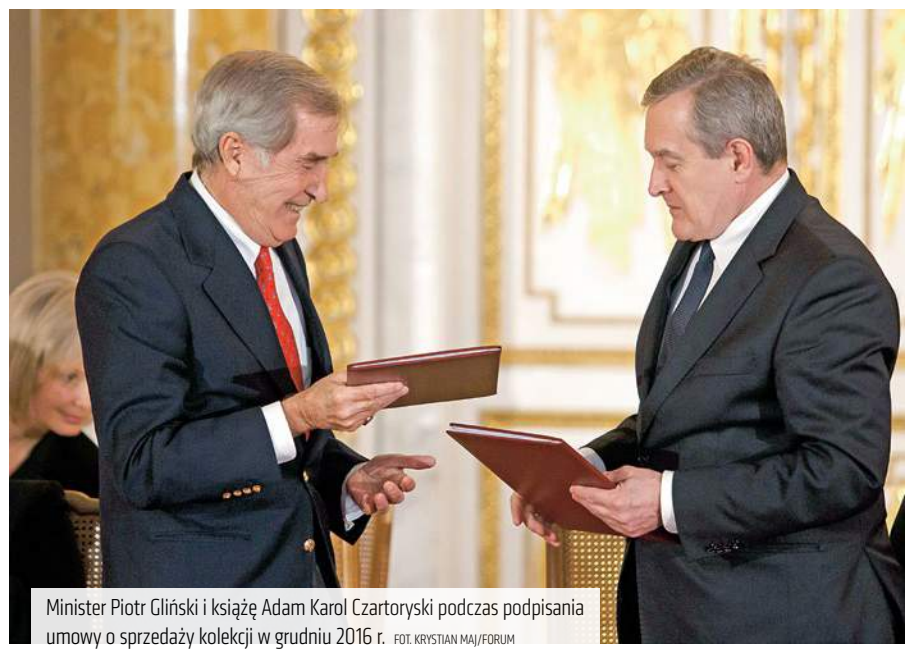

Minister Piotr Gliński i książę Adam Karol Czartoryski podczas podpisania umowy o sprzedaży kolekcji w grudniu 2016 r. FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

Łukasz Warzecha

Zamiast komisji śledczej badającej sprawę podatku VAT i związanych z nim wyłudzeń należy naprawić system podatkowy

Chory system

Powołanie specjalnej sejmowej komisji śledczej, która ma się zająć nieszczelnościami w systemie podatkowym, nie ma nic wspólnego z systemową naprawą i diagnozą sytuacji. Za to bardzo wiele z politycznym PR, robionym kosztem obywateli. W tym przypadku – przedsiębiorców.

Zamysł powołania takiej komisji – na którą wstępnie zgodziły się wszystkie siły polityczne – nie jest nowy. W jakiś sposób był wpisany w polityczne plany PiS, który od początku duży nacisk położył na domknięcie mechanizmu podatków pośrednich, co przecież uznawane jest za jedno z największych osiągnięć rządu. Być może czekano z tym na moment sprzyjający, a może na moment kryzysowy, który właśnie nadszedł.

W tej kadencji Sejmu będzie to trzecia podobna komisja. I prawdopodobnie najmniej efektywna – zarówno z punktu widzenia PR, jak i, niestety, zmian systemowych, jakie może zainicjować. Pierwsza komisja, działająca na podstawie ustawy o komisji śledczej, bada sprawę Amber Gold. Druga, działająca na podstawie odrębnych przepisów i poza Sejmem, ale mająca podobny charakter, choć znacznie większe kompetencje sprawcze, to komisja badająca reprywatyzację w Warszawie.

Komisja reprywatyzacyjna, której przewodniczy Patryk Jaki, ma zadanie względnie najprostsze. Sprawy, którymi się zajmuje, są nie tylko atrakcyjne wizerunkowo dla partii rządzącej – gdyby nie działalność w komisji, Jaki nie miałby dzisiaj poważnych szans na kandydowanie na prezydenta stolicy – lecz także stosunkowo przejrzyste prawnie. Naganność sytuacji, w której cały łańcuszek urzędniczy, a na koniec sędziowie, przyklepuje kuratora dla rzekomej 150-letniej osoby, jest widoczna właściwie dla każdego.

Trudniej ma komisja kierowana przez Małgorzatę Wassermann, ale tam zakres tematyczny jest precyzyjnie i dość wąsko określony, zaś badanie problemu sprowadza się w dużej mierze do wypytywania kolejnych przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości i innych organów państwa z czasów PO, czy i co wiedzieli o działalności Amber Gold. Spektakularne przypadki amnezji wśród prokuratorów co jakiś czas przebijają się do mediów i robią komisji oraz jej członkom reklamę. Mimo to zainteresowanie jej pracami nie jest tak wielkie, jak można by zakładać.

Komisja śledcza badająca nieszczelności systemu podatkowego będzie w całkiem innej sytuacji. Na moje pytanie, co z jej działalności zrozumie przeciętny Polak, Robert Gwiazdowski – prawnik i publicysta, związany ze Związkiem Przedsiębiorców i Pracodawców – odpowiada krótko: Nic. Publika, nawet ta bardziej wyrobiona, nie będzie w stanie pojąć meandrów, które stanowiły pole do wzajemnych podchodów dla kreatywnych przedsiębiorców, choć niekoniecznie przestępców, przestępców par excellence i fiskusa.

NAJWYŻSZY POZIOM KOMPLIKACJI

W chwili, gdy powstaje ten tekst, nie wiadomo, jaki dokładnie będzie zakres kompetencji komisji, ale na podstawie wypowiedzi posłów PiS można zakładać, że będzie chodziło ogólnie o szczelność systemu podatkowego, a więc nie jedynie o podatek VAT, ale także np. o akcyzę. To właśnie ten rodzaj podatku był zaś motorem największych przekrętów w handlu paliwami. Ewentualni obserwatorzy prac komisji będą zatem nie tylko przebijać się przez gąszcz przepisów (które, pamiętajmy, w różnych momentach brzmiały różnie), lecz także w dodatku będą mieli do czynienia z wymieszaniem ze sobą spraw dotyczących różnych po-

eprasa.pl c7db8fdf58

datków, nakładanych na innych zasadach i na podstawie całkiem odrębnych ustaw.

Dodajmy do tego, że w przypadku VAT mamy dwie sytuacje, chętnie wrzucane przez władzę – każdą – do jednego worka. Pierwsza to wyłudzanie zwrotu podatku, czyli tworzenie na papierze fikcyjnego obiegu towarów, od razu z zamiarem oszustwa. Druga to sytuacja przypominająca słynną historię Optimusa i Romana Kluski, czyli całkowicie legalne działania przedsiębiorców, dążących – co naturalne – do maksymalizacji zysków poprzez wykorzystywanie w majestacie prawa zagmatwanego kształtu ustawy o VAT (ta ustawa wraz z załącznikami liczy 348 stron, na nich jest 176 artykułów, przechodziła niezliczone nowelizacje i żartuje się, że mechanizm tego podatku rozumie zaledwie kilka osób w kraju), ale zakwestionowane przez fiskusa, nierzadko po latach i na podstawie niespodziewanie zmienionej interpretacji podatkowej, co dla podatników jest największym koszmarem. Można spokojnie uznać, że jeszcze żadna komisja śledcza nie zajmowała się nigdy sprawą o takim poziomie komplikacji.

FOT. FOTOLIA

Jeśliby komisja miała się na cokolwiek przydać, to musiałaby zostać powołana nie po to, żeby znajdować haki na politycznych przeciwników, ale żeby zdiagnozować immanentne wady systemu VAT w Polsce i wyciągnąć z tego wnioski. Jakie to powinny być wnioski – nie ma wątpliwości Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha. „Jaki sens ma kasa fiskalna u babci klozetowej?" – pyta retorycznie. I wskazuje, że podatek od towarów i usług z mechanizmem zwrotu był początkowo pomyślany jako system wyłącznie dla dużych przedsiębiorców. Pozostali powinni funkcjonować wyłącznie w ramach podatku ryczałtowego.

NIKT NIE NAPRAWIŁ

Z wad systemu wszyscy zdawali sobie sprawę i nikt nic nie robił. Nawet w sprawach prostszych niż VAT, czyli w kwestii akcyzy i jej odmiennych stawek. Wiadomo było, że oszustwa mafii paliwowej umożliwiało zróżnicowanie akcyzy na olej opałowy i napędowy. Podejmowano przynajmniej dwie próby zrównania tychże. Jedną za rządów w Ministerstwie Finansów śp. Zyty Gilowskiej. Zablokować miał ją wtedy Jarosław Kaczyński, któremu wmówiono, że wyższa stawka akcyzy na olej opałowy uderzy w najbiedniejszych. Prezes PiS nie wziął pod uwagę, że piece olejowe, kosztujące minimum 5–6 tys. zł, u najuboższych raczej nie występują. Inna próba, podjęta przez ministra innego rządu, zakończyła się, gdy osoby niechętne takiej decyzji pokazały politykowi zdjęcia, na których widać było, jak odbiera ze szkoły swoje dzieci. Utrzymanie warunków sprzyjających oszustwu miało zatem charakter systemowy.

Już za rządów PiS do prezydenta Andrzeja Dudy trafiło ramowe opracowanie jednego z ekonomicznych think tanków, pokazujące, że z systemu VAT należałoby natychmiast usunąć przynajmniej milion mniejszych firm, ponieważ ich utrzymywanie w nim jest kontrproduktywne i poprzez tworzenie sztucznego chaosu ułatwia oszukiwanie systemu. Jest to zarazem obciążenie dla samych przedsiębiorców. Nic z tego nie wynikło.

Zresztą sam VAT nie ma dobrej prasy. Nie tylko w Polsce od jakiegoś czasu pojawiają się postulaty, aby większość podatków zastąpić prostym podatkiem przychodowym, a VAT znacząco obniżyć i skrajnie uprościć, usuwając wyjątki. Taką propozycję zaprezentował równo rok temu Związek Przedsiębiorców i Pracodawców. Zgodnie z nią podatek przychodowy miałby zastąpić PIT, CIT, składki na ZUS i NFZ, a VAT miał być jednolity i wynosić 16,25 proc., czyli znacznie mniej niż obecne „tymczasowe" (jak obiecywała koalicja PO-PSL) 23 proc. (z wieloma wyjątkami). Reakcji rządzących nie było.

PR-OWSKIE NADZIEJE

I nie spowoduje jej także komisja śledcza. Jej celem nie jest bowiem wypracowanie systemowej koncepcji zmian. PiS ma nadzieję, że dzięki niej pozbędzie się zadyszki i podbije swoje osiągnięcia w uszczelnianiu systemu, wskazując winnych wcześniejszego stanu rzeczy w przeciwnym obozie politycznym. Ten plan może jednak natrafić na mocną odpowiedź. Jeśli poparcie wniosku zapowiedzieli już przedstawiciele PO, to znaczy to, że partia Schetyny ufa, iż komisja pozwoli jej znaleźć amunicję przeciwko rządzącym. I nie jest to ocena bezpodstawna. Wystarczy przypomnieć, że za podatki pośrednie w Ministerstwie Finansów – a więc także za VAT – przez 17 lat, za rządów jeszcze AWS, potem SLD, potem PiS, następnie PO i znowu PiS – odpowiadała ta sama osoba – Hanna Majszczyk. Pełniącą obowiązki dyrektor odpowiedniego departamentu została jeszcze w 2000 r., a z resortu odeszła dopiero w roku 2017. Oczywiście możliwe jest, że PiS będzie chciał tak sprecyzować zakres działania komisji w powołującej ją uchwale, żeby objąć jedynie czas rządów PO. Jednak wtedy ryzykuje zarzuty, że ma coś do ukrycia. A merytorycznego uzasadnienia dla takiego ograniczenia brak – wszak nikt nie ma wątpliwości, że patologie związane z VAT mają źródła systemowe, a te nie ograniczają się do czasów rządów Platformy.

Co zatem dostaniemy jako plon prac komisji? Przecież nie uporządkowaną wiedzę o patologiach systemu, bo tej nie da się w prosty sposób przekazać. Widocznym dla publiczności skutkiem działania sejmowego gremium będą jedynie efektowne migawki z przesłuchań świadków, wygodne to dla jednej, to dla drugiej strony, a więc eksponowane raz w TVP, raz w TVN. Stracimy kolejną okazję, żeby naprawić chory mechanizm, przynoszący straty państwu, a przedsiębiorcom – udrękę i niepewność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

Z Igorem Zalewskim, felietonistą, „Do Rzeczy", fundatorem Akademii Retoryki Igora Zalewskiego
rozmawia Radosław Wojtas

Wyrwijmy chwasty z języka

RADOSŁAW WOJTAS: Polacy mają problem z mówieniem?

IGOR ZALEWSKI: Retoryka była fundamentem edukacji od czasów starożytnych do okresu międzywojennego. A potem wyparowała. Przynajmniej w Polsce, bo w krajach anglosaskich mówienie i przemawianie są bardzo ważnymi elementami edukacji. Tam dzieci muszą ciągle występować, przekonywać do swoich racji, przemawiać. W Polsce tego nie ma. Niedawno organizowaliśmy warsztaty dla 7- oraz 12-latków i tam dokonałem ciekawej obserwacji. Mianowicie młodsze dzieci – te, które niedawno jeszcze były w przedszkolu, albo te, które uczą się jeszcze jakichś wierszyków, wystąpień na akademie – nie mają problemu z tym, żeby przed grupą rówieśników i kimś starszym powiedzieć kilka słów o sobie, dokonać autoprezentacji. Starsi, którzy już są w rytmie szkolnym, boją się, nie chcą, wstydzą się, chowają, wypychają innych. Zatracili pewną umiejętność, którą jeszcze w przedszkolu mieli. W przedszkolu występujesz, tańczysz, popisujesz się, w szkole podstawowej to się kończy i zamiast radości czy adrenaliny, które daje występ publiczny, pojawiają się wstyd i strach. No i potem ciągniemy to w dorosłym życiu.

A do tego dochodzą nie najlepsze wzorce z samej góry. Powiedział pan kiedyś, że „obserwując polityków, z przerażeniem dostrzega niszczenie języka". Na czym ono polega?

Wiem, że to jest domena „starych pierdzieli", do których ja się też już powoli zaliczam – narzekanie na to, jak jest teraz i że kiedyś było lepiej. Jednak faktem jest, że z językiem – mówiąc górnolotnie – debaty publicznej stało się w Polsce coś niedobrego. Nie chcę mówić, że gdzieś na świecie jest lepiej, bo jest to trend ogólnoświatowy, który wypływa z Internetu i narzuca taką narrację, że rozmowa z innym politykiem polega na jego ośmieszeniu. Jest takie internetowe określenie „zaorać". Mam wrażenie, że w dyskusji chodzi o to, żeby „zaorać", żeby jak najbardziej poniżyć swojego oponenta, a nie o to, o co powinno, czyli przedstawienie dobrych, fajnych argumentów i przekonanie go do swoich racji. I takie wzorce otrzymują młodzi ludzie. Dodatkowo są jeszcze niszczeni przez ten świat wirtualny, gdzie komunikujemy się filmikami, zdjęciami, emotikonami, wykrzyknikami. A jest tak, że najważniejsze słowa w życiu trzeba powiedzieć, raczej ich się nie napisze SMS-em. Jeśli wyznajemy miłość albo zrywamy, to nie powinniśmy tego robić za pomocą smartfona i liściku wysłanego na Messengerze, musimy to powiedzieć. A my najzwyczajniej w świecie mamy z tym problem.

Powinniśmy więc pracować nad swoją komunikacją, nawet jeśli nie występujemy publicznie. Co tracimy, jeśli mamy problem z porozumiewaniem się?

Myślę, że nam się najzwyczajniej w świecie trudniej żyje. Kiedyś byłem szefem i zanim jeszcze doszedłem do wniosku, że się na szefa nie nadaję, zaobserwowałem, iż mam problemy z komunikacją. Wydawało mi się, że na coś się z kimś umówiłem, a dostałem zupełnie coś innego. Myślałem, że to „te głąby" nie rozumieją, o co mi chodzi, i pewnie po części tak było, ale myślę, że część winy leżała po mojej stronie. Nie potrafiłem w jasny sposób powiedzieć, o co mi chodzi, i ludzie musieli się domyślać.

W każdym modelu kariery dochodzimy do momentu, że musimy kogoś do czegoś przekonać. Nawet jeśli jesteśmy młodymi, fantastycznymi, utalentowanymi ludźmi i mamy kapitalny pomysł na start-up, to w pewnym momencie stajemy przed wyzwaniem: musimy przekonać potencjalnego inwestora do naszego pomysłu. Jeżeli mamy na to pięć minut, to możemy to zrobić albo świetnie, błyskotliwie, dowcipnie, z wykorzystaniem odpowiednich argumentów, albo możemy w tym czasie pobełkotać i stracić życiową szansę.

Organizując Ogólnopolski Konkurs Retoryczny dla licealistów, moja fundacja chce przekonać młodych ludzi do tego, że umiejętność wysławiania się, pięknego, efektownego mówienia, retoryka to nie umiejętność anachroniczna, która nam się przyda tylko przed rzymskim

eprasa.pl c7db8fdf58

FOT. PAP/MARCIN OBARA

senatem. Chcemy przekonać młodych ludzi, że umiejętność komunikacji werbalnej jest stuprocentowo praktyczną umiejętnością, tak jak posługiwanie się PowerPointem. Chcemy wykreować modę, m.in. poprzez fajne nagrody. Zwycięzca konkursu otrzyma 10 tys. zł, które ufundował PKO Bank Polski. Myślę, że to są niezłe pieniądze dla dorosłego, a co dopiero dla 17–18-latka.

Jak powinniśmy mówić? Jak ćwiczyć tę umiejętność?

Zacznijmy od przedstawiania się. Bardzo polska sytuacja: grupa ludzi spotyka się pierwszy raz i każdy się przedstawia. „Ko...lski", „...ciński"... Mamroczemy swoje nazwiska i w efekcie nikt nie pamięta, kto jak się nazywa. A nazwisko to nasza marka osobista. Potem dodajmy do tego mówienie bez dystraktorów, czyli śmieci językowych takich jak „yyy", „aaa", zwrotów „jak gdyby", „że tak powiem". Gdyby Włodzimierz Cimoszewicz w co drugim zdaniu nie robił „yyy", to na pewno byłby skuteczniejszym politykiem. Dla mózgu to wiertarka. Wszyscy jesteśmy cimoszewiczami, każdy ma podobne nawyki i może je dość łatwo zniwelować. Jeśli wyrwiemy te chwasty z języka, to będzie lepiej. Zaczniemy ładniej i efektowniej mówić, a przez to staniemy się bardziej popularni, przekonujący, lepiej postrzegani.

Trochę to przygnębiające – dowiedzieć się, że coś, co robimy przez całe życie, możemy robić tak źle.

Niektórzy mają wrodzony talent albo wynoszą tę umiejętność z domu. I coraz więcej osób oraz instytucji zdaje sobie sprawę z siły, jaką daje skuteczna komunikacja. Banki na całym świecie starają się uprościć język komunikacji z klientami, co daje im wymierne korzyści. Duża operacja została przeprowadzona w RPA, banki po uproszczeniu języka mają więcej klientów, stały się bardziej zyskowne. Jeśli klient nie musi pytać rodziny, wujka prawnika, tylko po przeczytaniu dokumentu natychmiast zrozumie: „Aha, to o to chodzi", to chętniej przychodzi do takiej instytucji. Wiem, że i w Polsce banki zaczynają pracować nad uproszczeniem komunikacji z klientami.

Może będą inspiracją dla polskich urzędów.

W Stanach Zjednoczonych funkcjonuje ustawa, która zobowiązuje urzędy publiczne do posługiwania się jasnym, zrozumiałym dla przeciętnego obywatela językiem. Uważam, że wprowadzenie tego modelu w Polsce w sposób tani i łatwy podniosłoby jakość życia przeciętnego Polaka. Przeciętny Polak, gdy dostaje pismo urzędowe, przede wszystkim go nie rozumie. Często odkłada je więc na bok, żeby się zająć jego odcyfrowaniem, kiedy będzie miał czas, a zazwyczaj nie ma czasu. Sam co roku dostaję z gminy pod Warszawą informację o zapłaceniu podatku gruntowego. Jest tak sformułowana, że nigdy nie wiem, ile mam zapłacić. Wybieram więc jedną z trzech podanych kwot na chybił trafił. To jest efekt braku jasnego komunikatu. Są w Polsce urzędy skarbowe, które w drodze eksperymentu starają się „tłumaczyć z polskiego na nasze" swoje dokumenty, i okazuje się, że efekt jest policzalny. Mniej ludzi zalega z podatkami. Chętniej płacą swoje zaległości wtedy, kiedy rozumieją dokładnie, o co chodzi. Nie zastanawiają się, tylko mają zero-jedynkowy komunikat. Jasny przekaz to potęga.

Urząd skarbowy, który nie brzmi poważnie i groźnie? Trudno to sobie w Polsce wyobrazić.

Gdyby komunikaty stały się czytelne, państwo by rzeczywiście zeszło z piedestału. Stałoby się jednak bliższe człowiekowi, a o to chyba chodzi. Jeżeli państwo będzie mówiło do ludzi w sposób zrozumiały, to oni będą lubili to państwo. I będą lubili tych, którzy akurat rządzą. Można więc z tego wyciągnąć polityczne korzyści. Zachęcałbym obecną ekipę do wprowadzenia programu „Jasne państwo" albo „Zrozumiałe państwo", który polegałby na tym, że urzędy komunikują się ze swoimi obywatelami tak, żeby oni nie mieli najmniejszego problemu ze zrozumieniem tych komunikatów. To poprawi jakość życia nas wszystkich. Da się to dość łatwo przeprowadzić, a cała operacja nie powinna być kosztowna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

Ptasia chryja

Agnieszka Niewińska

Polacy pokochali papugarnie, więc kolejne rosną jak grzyby po deszczu i coraz głośniej krytykowane są przez miłośników zwierząt

Olbrzymie ary, dostojne kakadu, zwinne amazonki – te mieniące się kolorami ptaki jak magnes przyciągają ludzi, którzy chcieliby mieć egzotykę na wyciągnięcie ręki. Do ptaków ustawiają się kolejki. Zwłaszcza że to spotkania oko w oko: skrzydlaty zwierz usiądzie na ramieniu czy na głowie, za kilka dodatkowych złotych dorzuconych do biletu można kupić karmę, którą będzie jadł nam z ręki. – Odwiedza nas wiele rodzin z dziećmi, które chcą ciekawie spędzić weekend, a także pasjonaci ptaków, którzy mają o nich ogromną wiedzę, zadają wiele szczegółowych pytań – opowiada Jacek Szmagała, kierownik warszawskiej Papugarni Carmen.

Pierwsze papugarnie pojawiły się przed dwoma laty, a kiedy okazały się frekwencyjnym sukcesem, kolejne zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Dzisiaj znajdziemy je nie tylko w największych miastach (w Warszawie i Krakowie są po trzy, w Łodzi i Szczecinie – po dwie), lecz także w tych średnich i całkiem małych ośrodkach: w Obornikach Śląskich, Karpaczu, Grudziądzu, Zgierzu, Sierakowicach. Twórca bloga Animalus.eu – Maciej Bielak – obliczył, że dziś w Polsce jest ich 32, a ponad połowa powstała w ciągu ostatnich miesięcy.

BYŁO BIURO, JEST PTASZARNIA

W miarę jak papugarni przybywało, w sieci zaczęły krążyć opinie osób podających się m.in. za byłych pracowników tych miejsc mające odsłonić kulisy papuziego biznesu. Czytamy w nich o złym stanie zwierząt ogłupianych podawanymi im witaminami, o przekarmianiu przez odwiedzających, podawaniu nieodpowiedniego pożywienia, umierających na zapleczu ptakach, papużkach rozdeptywanych przez tłumy. Zwracają uwagę, że na papugarnie przerabiane są biura i bary. Tym opiniom wtórują pasjonaci i obrońcy zwierząt.

Problemom papugarni przyjrzała się Joanna Karocka, technik weterynarii, miłośniczka papug, założycielka największego papuziego serwisu Papuzie Centrum Informacyjne. W swojej publikacji o papugarniach zwróciła uwagę na wiele uchybień, m.in. na warunki lokalowe, brak zieleni, przekarmianie ptaków słonecznikiem, kiedy niektóre potrzebują owoców albo nektaru zamiast oleistych nasion. Wskazała też na brak stref do odpoczynku, żerdzi odpowiednich dla każdego gatunku, na niesłużące ptakom sztuczne światło z przemysłowych świetlówek. Zauważyła, że ptaki z papugarni mają pióra w złym stanie, niebezpieczne jest też dla nich zapylenie – w części papugarni podłogę wysypuje się trocinami albo korą. „Czy papugi mają badania w kierunku zoonoz, czyli chorób, którymi mogą zarazić się ludzie?" – pytała, zwracając uwagę, że przebadanie jednego ptaka to koszt ok. 500 zł. Po jej publikacji paru właścicieli papugarni zwróciło się do niej po radę i pomoc w zapewnieniu dobrych warunków ptakom, ale tylko jeden podjął poważne rozmowy i zdecydował się na kosztowne zmiany.

– Komuś chyba nie pasuje, że z sukcesem prowadzimy taki interes – komentuje Szmagała z Papugarni Carmen. I odpiera zarzuty ekologów. – Nazywanie papugarni obozami koncentracyjnymi dla ptaków to po prostu oszczerstwo. Jesteśmy pod stałym nadzorem inspekcji weterynaryjnej i w każdej chwili mogę przyjąć kontrolę uprawnionych do tego organów. Czy ktoś,

eprasa.pl c7db8fdf58

FOT. ANNA ZALEWSKA

kto inwestuje w papugi kilkadziesiąt czy nawet kilkaset tysięcy złotych, będzie te ptaki maltretował? Mówienie, że w papugarniach żyją dzikie ptaki, jest bzdurą. My ich nigdzie w dżungli nie odławiamy, to są zwierzęta urodzone w hodowlach i mamy na to dokumenty. Karma, którą dostają nasze papugi, jest specjalnie dla nich przygotowana, ulepszamy infrastrukturę. Ostatnio przy okazji wymiany podłoża przybyło u nas 150 metrów lin do siadania dla ptaków, ale o tym ekolodzy nie powiedzą. Za to hejtują zdjęcie, na którym zrębki na podłogę wysypujemy w maskach. Opowieści o szkodliwym dla ptaków zapyleniu to kolejna bzdura. Codziennie przed otwarciem pracownik zrasza podłoże, żeby się nie kurzyło – wylicza kierownik warszawskiej papugarni. A co z drogimi badaniami na zoonozy? Jacek Szmagała nie wchodzi w szczegóły. – Ptaki stale badamy, są pod nadzorem lekarza weterynarii.

Joanna Karocka zwróciła uwagę, że poprawa warunków w papugarniach i przebadanie wszystkich zwierząt to wydatek, który sprawi, iż interes przestanie być tak opłacalny. Nawet przyjęcie przepisów określających standardy papugarni to jej zdaniem tylko czasowa pomoc, bo jest inny problem. W tych placówkach są w tej chwili młode osobniki, jednak za rok, dwa lata w przypadku małych ptaków czy trzy–cztery lata w przypadku dużych ar będą agresywne zarówno w stosunku do siebie, jak i do zwiedzających, bo przyjdzie czas ich płciowego dojrzewania. Co wtedy? Właściciele mogą próbować wymienić agresywne ptaki na młodsze. Tylko co ze starszymi? Trudno sobie wyobrazić, aby miłośnicy tych ptaków albo ogrody zoologiczne nagle przyjęli 2–3 tys. ptaków, a na tyle szacuje się dzisiaj liczbę papug w papugarniach.

Tych, którzy źle wspominają spotkanie z mieszkańcami papugarni, wcale nie brakuje. Łukasz z Warszawy na wizytę w papugarni dał się namówić swoim dwóm córkom. – Pracownica usadzała dzieciom na ramionach dużą arę. W końcu papuga przyszła do mnie, podstawiłem jej rękę, a ona ścisnęła ją dziobem. Próbowałem się wyswobodzić, pukając w dziób, ale ona go jeszcze mocniej zacisnęła. Dorosły to jakoś zniesie, ale nie wyobrażam sobie, co by było, gdyby papuga zachowała się tak w stosunku do dziecka. To są dzikie zwierzęta, trudno przewidzieć, co zrobią – mówi. I dodaje, że do papugarni już nigdy nie pójdzie.

– To kolejny wymyślony problem. Nasze ptaki już dojrzały, mają po kilka lat i nie są agresywne – mówi Jacek Szmagała z Papugarni Carmen. Zaznacza, że pracownicy papugarni pilnują raczej, żeby to ludzie nie drażnili ptaków, a nie żeby to zwierzęta nie były agresywne w stosunku do ludzi. – To hejtowanie nas to jakiś cyrk, typowa polska zawiść. Żaden z fascynatów, którzy nas odwiedzają, nigdy nie miał zastrzeżeń do warunków, jakie stworzyliśmy papugom.

„OTORBIENI LEWACTWEM"?

Pod materiałami o papugarniach w Internecie trwają zażarte spory. Nie brakuje opinii tych, którzy zgłaszających zastrzeżenia do tych przybytków nazywają „ekofanatykami". Niektórzy idą jeszcze dalej, dostrzegając polityczną grę. – Niestety, różnego rodzaju organizacje próbują wykorzystać to, że prezes Jarosław Kaczyński jest miłośnikiem zwierząt – uważa Marcelina Puchalska z Ekologicznego Forum Młodzieży, organizacji zbliżonej do byłego ministra środowiska Jana Szyszki. W styczniu Puchalska napisała list do prezesa PiS, w którym stwierdziła, że „otorbiło go lewactwo" i „nie jest w stanie odróżnić, co jest normalnością, a co nienormalnością". – Kolejne projekty forsowane przez lewicowych ekologów, których my nazywamy pseudoekologami, doprowadzą do poważnych strat dla Polski. Widać to doskonale na przykładzie zamachu na polski przemysł futrzarski. Zakaz hodowli doprowadzi do likwidacji miejsc pracy i zubożenia obszarów wiejskich. Obawiam się, że podobny cel mają protesty w sprawie papugarni – mówi „Do Rzeczy" Puchalska. Jej zdaniem organizacje ekologiczne naciskają na polityków, manipulują. – Przy temacie zwierząt futerkowych posługiwali się jedynie skrajnymi przykładami pojedynczych nielegalnych hodowli, w których nie dbano o zwierzęta, protestując przeciwko wycince w Puszczy Białowieskiej nie wspominali w mediach, że tylko część puszczy to teren chroniony, a reszta to las, w którym prowadzona jest normalna gospodarka leśna. Za rządów PO-PSL przez naciski podlaskiego oddziału Pracowni na rzecz Wszystkich Istot w Puszczy Białowieskiej zginęły gatunki i siedliska ważne dla wspólnoty UE. Kto za to zapłaci? Musimy się troszczyć o przyrodę i dobrostan zwierząt, ale to przyroda ma służyć człowiekowi, a nie na odwrót. Nie można stawiać godności zwierzęcia przed godnością człowieka – dodaje.

Partia rządząca naraziła się nie tylko młodym ekologom wspierającym Szyszkę, lecz także myśliwym, hodowcom zwierząt futerkowym, a nawet handlarzom końmi. W lutym po raz pierwszy na jarmarku konnym Wstępy w Skaryszewie odbywającym się od 1432 r. nie można było sprzedawać koni rzeźnych. I choć decyzję podjął burmistrz w porozumieniu z obrońcami zwierząt, to handlujący rolnicy nie kryli żalu także do parlamentarzystów, bo sprawa stawała na obradach Parlamentarnego Zespołu Przyjaciół Zwierząt.

Krzysztof Czabański, poseł PiS, który firmuje projekt ustawy swojej partii o ochronie zwierząt zakładający m.in. zakaz hodowli zwierząt na futra, na zarzuty o „otorbieniu lewactwem" odpowiada wzruszeniem ramion. – Bo co można powiedzieć, jeśli ktoś ochronę zwierząt rozpatruje w kategoriach ideologicznych? Empatia wobec zwierząt jest ponad podziałami partyjnymi i ideologicznymi. Mamy w tej chwili dobry czas dla zwierząt, jest większość sejmowa, która opowiada się za wzmocnieniem ich ochrony. Projekt posłów PO i Nowoczesnej w wielu miejscach jest zbieżny z naszym – mówi poseł Czabański. Z problemem papugarni się dotąd nie zetknął. – Jednak teraz zwrócę na papugarnie uwagę – deklaruje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

Wieczne koło

Joanna Lichocka

Dziadek Jarosława Marka Rymkiewicza zajmował się tym, co w 1980 r. odżyło jako Solidarność

Wacław Baranowski, dziadek Jarosława Marka Rymkiewicza

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Na fotografii, która stoi na parapecie, tuż obok mnie, nad drukarką i pudłem komputera, dziadek Wacław siedzi na krzesełku w zakładzie pułtuskiego fotografa – jego wąsy są zaczesane do góry, jego włosy, czarne, kręcone, przylegają ściśle do głowy, jego piękne tatarskie oczy ukryte są za binoklami". To opisana w felietonie „Jeszcze o dziadku Wiaczesławie" fotografia dziadka poety po kądzieli – Wacława Baranowskiego. Fotografia pojawia się też – ale chyba nie ta sama, bo na jej odwrocie nie ma nadruku zakładu w Pułtusku (pana Schmidta), tylko jest adres warszawski „Photographie J. Raczyński, Varsovie, Nowy Świat, No.19". – w „Rozmowach polskich latem 1983 roku". Dziadek Baranowski „siedzi na krzesełku na tle kotary, na której wymalowane są trzy drzewa, i trzyma za rękę małą dziewczynkę". Chodzi oczywiście o przyszłą mamę Jarosława Marka Rymkiewicza, Hannę, która wtedy, w 1913 r., miała pięć lat. „Dziadek trzyma na kolanach kapelusz z dużym rondem zwany panamą. Nosi binokle i ma dość długie, starannie wypielęgnowane wąsy".

Prócz kart literackich – nigdy się nie spotkali. Wacław Baranowski zmarł w 1929 r., w listopadzie, Jarosław Marek Rymkiewicz urodził się w lipcu 1935 r.

DO PUŁTUSKA

Nie wiadomo, jaki był powód, dla którego dziadek Wacław przybył do Pułtuska. Jak się zdaje bowiem, z Pułtuskiem Baranowskich nic wcześniej nie łączyło. Czemu zatem? Warto byłoby to wiedzieć, bo gdyby nie przybył, no to wiadomo – nie poznałby Aliny Rauówny z majątku Kleszewo i w związku z tym nie byłoby „Wieszania". Jarosław Marek Rymkiewicz w tekście „Mój dziadek Wiaczesław" opublikowanym w „Gazecie Polskiej" pisze przy tym tak: „Nie wiadomo, kiedy tam się osiedlił i co go tam sprowadziło, […] dlaczego porzucił okolice Żytomierza (gdzie jego ojciec, a mój pradziadek, Szymon, miał prawdopodobnie majątek). Mógł wybrać jakąś inną miejscowość w zachodnich guberniach Cesarstwa – w tym wypadku nie byłoby mnie na świecie. W narodzinach (jakiegokolwiek życia) nie ma nic koniecznego – można się urodzić, ale można się też nie urodzić; konieczna jest tylko śmierć".

Pod znakiem zapytania – przynajmniej, gdy chodzi o stan rzeczy w pierwszych latach XX w. – są także narodowość, wiara i – co ma z tym nierozerwalny związek – imię oraz nazwisko dziadka poety. Do Pułtuska przybył bowiem jako nauczyciel geografii i historii w rządowym męskim rosyjskim gimnazjum – Wiaczesław Baranowskij.

„… na akcie ślubu z Aliną Rau podpis dziadka wygląda tak: Wiaczesław Baranowskij. Nie Wacław, lecz Wiaczesław. I jeszcze ta końcówka, ta fatalna jota! Ta wiadomość prowadzi do pytania, kim był wtedy, koło roku 1905, mój dziadek – Rosjaninem czy Polakiem?" – pisze poeta w felietonie „Mój dziadek Wiaczesław".

Mama pisarza za te rozważania wykręciłaby synowi ucho. I nie usprawiedliwiłaby pewnie tego, że rozważania o niepewnej narodowości dziadka prowadziły poetę do tezy o sile polskości – „co więc takiego w niej było, czym ona wówczas przyciągała i wciągała, że na początku XX w. ktoś, kto miał na imię Wiaczesław i ochrzcili go w cerkwi, i wychował się pod Żytomierzem, i ukończył rosyjski uniwersytet – wolał być Polakiem niż Rosjaninem? Z losów mojego ewangelicko-prawosławnego dziadka wyciągam wniosek, że musiała ona być, nasza ówczesna pohańbiona i prześladowana polskość, czymś wspaniałym, czymś potężnym i przepięknym".

Dziadek Wiaczesław mylił trop. Do tego stopnia, że teraz, współcześnie, w publikacjach dotyczących historii Pułtuska można przeczytać tak: „Jego rosyjska przynależność narodowa i wyznanie augsbursko-ewangelickie nie przeszkodziły w utrzymywaniu bliskich więzi z Polakami i pozyskaniu ich zaufania. Otwarcie głosił postępowe idee społeczne, przyznawał narodowi polskiemu prawo do polskiej szkoły, do uznania języka polskiego za język wykładowy i urzędowy" – to cytat z publikacji Tadeusza Kowalskiego pt. „W kręgu walki o polską szkołę na ziemi pułtuskiej w latach 1905–1907".

Gdy przesyłam powyższy fragment e-mailem Ewie Rymkiewiczowej, dostaję odpowiedź: „Jarek mówi, że jego mama dostałaby ataku szału, gdyby dowiedziała się, że jej ukochany ojciec był »narodowości rosyjskiej«".

Wcale się nie dziwię. Jednak wydaje się, że Wacław Baranowski, dziecko czasów intensywnej rusyfikacji, podjął z zaborcą grę w narodowościową ciuciubabkę.

NAUCZYCIEL SOCJALISTA

Dwa lata przed nim do Pułtuska przybywa Witold Giełżyński (późniejszy świetny dziennikarz i uczestnik wojny bolszewickiej, ojciec Wojciecha Giełżyńskiego, reportera i dziennikarza, którego spotkałam niegdyś w „Tygodniku Solidarność" i który uczył mnie zawodu). Był wtedy uczniem relegowanym z gimnazjum w Lublinie, posiadającym „bardzo niepochlebne opinie żandarmerii", a dzięki protekcji bratanicy inspektora szkolnego w Pułtusku dostał się do tutejszego gimnazjum – właśnie tworzonej piątej klasy. W 1903 r. grupa uczniów – w części złożona z przybyszów, wśród nich był Giełżyński – utworzyła tajny komitet uczniowski. Wybrano władze, opracowano statut, ze składek kupowano polskie książki, odbywały się (w grupach po pięć osób) tajne lekcje polskiego, historii Polski i krajoznawstwa. Najpierw spotykano się w lesie za Narwią, „na lodzie", potem w domach zaufanych rodzin pułtuskich. U nich przechowywano książki, z czasem w jednej ze stancji utworzono nieoficjalną bibliotekę stowarzyszenia z książkami kupowanymi ze składek. Po roku stowarzyszenie liczyło kilkudziesięciu członków z obu wyższych klas i miało „podkółko" w klasie czwartej. Na nauczycieli – rusyfikatorów lub słabych, ugodowych ludzi – nie mogli liczyć. Do czasu. „Znalazło się w Pułtusku dwóch nauczycieli, którzy dopuszczeni zostali do tajemnicy" – pisał po 25 latach we „Wspomnieniach szkolnych z Pułtuska" Witold Giełżyński. „Byliśmy już w siódmej klasie, gdy przysłano nowych nauczycieli, młodych, świeżo wypuszczonych z uniwersytetu. Jeden był Polakiem-katolikiem, wykładał matematykę w niższych klasach, nazywał się Dąbrowski; drugi był prawosławny, ale miał polskie nazwisko – Baranowski, mówił po polsku i po cichu przyznawał się do polskości. Prawdopodobnie pochodził z mieszanego małżeństwa, a może z unitów. Uczył nas historii powszechnej i rosyjskiej.

Od razu po paru lekcjach i po kilku rozmowach prywatnych poznałem, że obaj niepodobni są do naszych dotychczasowych pedagogów. Przynosili z uniwersytetu socjalizm i rewolucjonizm. Był rok 1904. Wojna japońska ożywiła nadzieję wszystkich".

Ha, dziadek Jarosława Rymkiewicza był socjalistą! Bardzo to ucieszyło młodego Giełżyńskiego, który wokół widział w pułtuskim podziemiu środowiska narodowej demokracji. Wiaczesław Baranowski trafił zatem w Pułtusku w sam środek przygotowań do walki o polską szkołę. I bez zbędnych wstępów w tę walkę się wciągnął.

eprasa.pl c7db8fdf58

„Przez oświatę do wyzwolenia Narodu, przez świadomość obywatelską – do niepodległości” – to było hasło tworzonej od wiosny 1905 r. Macierzy Szkolnej. Impulsem był wielki strajk szkolny. „Pewnego dnia pod koniec stycznia zjawił się u mnie na stancji pan Bohdan Winiarski, wówczas student Uniwersytetu Warszawskiego i łącznik naszej organizacji uczniowskiej z Sekcją Koronną – pisze Giełżyński. – Winiarski zakomunikował mi piorunującą wiadomość: dnia 3 lutego ma wybuchnąć strajk szkolny w całej Kongresówce pod hasłem spolszczenia szkolnictwa państwowego. Wręczył mi też cztery żądania do władz szkolnych, które należało w dniu tym zgłosić w języku polskim”. W krótkim czasie przygotowano uczniów, jednocześnie, jak opisuje Giełżyński: „Z polecenia zarządu poinformowałem zaufanych nauczycieli: Baranowskiego i Dąbrowskiego o naszych zamiarach. Dali nam oni parę praktycznych wskazówek”.

Po pierwszej lekcji uczniowie zebrali się w największej sali, zażądali spotkania z dyrekcją szkoły. Gdy przyszli dyrektor, inspektor i nauczyciele, jeden z uczniów przeczytał po polsku żądania wprowadzenia polskiej edukacji.

Po czym uczniowie – wołając: „Nie wrócimy, dopóki nie spolszczycie szkoły” – wyszli na ulicę. A Wacław Baranowski wraz z nimi. I... nie wrócili. Bojkot rządowych szkół objął znakomitą większość polskich dzieci i młodzieży w Królestwie – ten, kto go łamał, spotykał się z ostracyzmem, traktowany był – słusznie – jak zdrajca. Na murach w Pułtusku rozklejano odezwy z nazwiskami uczniów łamiących bojkot.

Mimo bojkotu nauka nie została przerwana. W Pułtusku dzięki zaangażowaniu inteligencji i ziemiaństwa – w tym braci Emila i Rudolfa Rauów – uczniowie zostali zakwaterowani w prywatnych domach, odbywały się w nich lekcje (a jeździł po dworach i domach i uczył m.in. dziadek Baranowski) i trwało to przez kolejne miesiące dopóty, dopóki władze carskie nie zgodziły się na powołanie Stowarzyszenia Macierzy Szkolnej i uruchomienie jej polskich szkół. W Pułtusku w roku szkolnym 1906/1907 funkcjonowały dwie – żeńska i męska. Wiaczesław Baranowski, który za otwarte poparcie strajku został wyrzucony z rządowego gimnazjum, został dyrektorem męskiej. Miał 26 lat.

ELEGANCKI I Z MANIERAMI

„... dziadek mój Wacław-Wiaczesław był urody tatarskiej, krymskiej, czarnomorskiej – był pięknym mężczyzną. Był z tatarskich chanów, był tatarskim księciem, więc nie mogło być inaczej – musiał być piękny” – czytamy w „Jeszcze o dziadku Wiaczesławie”.

Ze zdjęcia zamieszczonego w tygodniku „Świat” w listopadzie 1906 r. nr 46 pt. „Zarząd progimnazjum pułtuskiego, otwartego staraniem Polskiej Macierzy Szkolnej wraz z ciałem nauczycielskim” rzeczywiście wygląda przystojny, szczupły mężczyzna, z ciemnymi, lekko zawiniętymi do góry wąsami, z pogodną, nieco okrągłą i o wysokim czole twarzą, brunet, z wyraźną linią ciemnych brwi. Stoi trzeci od prawej, wymieniony jako „Baranowski, dyrektor progimnazjum”.

Jak pisze w liście do poety pani Bożenna Kucharczyk, autorka opowieści historyczno-genealogicznych o mieszkańcach Pułtuska, wspominano go jako eleganckiego mężczyznę o nienagannych manierach. „Uczennice w rosyjskim rządowym gimnazjum w Pułtusku musiały, kiedy wzywał je do tablicy i odpytywał z Karamzina, czerwienić się i jąkać, bo to, że taki piękny mężczyzna je odpytuje, trochę mąciło im w głowach, nawet rozum odbierało” – fantazjuje sobie w felietonie wnuk (a mamie Hannie może się to podobać, ba, pewnie to, że uczennice gremialnie kochały się w pięknym Wacławie, jest i jej opowieścią). Tyle że wnuk trochę pokręcił – rosyjskie gimnazjum rządowe, w którym uczył dziadek Wacław w Pułtusku, było męskie. Gimnazjum żeńskie, w którym jako dwudziestoparolatek uczył – i gdzie mogły doń wzdychać uczennice – było w Warszawie. W roku szkolnym 1905/1906 Wiaczesław uczył języka rosyjskiego w niedawno utworzonej i szybko zdobywającej uznanie warszawskiej prywatnej szkole żeńskiej Jadwigi Kowalczykówny oraz Jadwigi Jawurkówny, mieszczącej się w kamienicy na Wiejskiej róg Zamoyskiego. Prócz oficjalnego kursu kształcenia panie Jadwigi – Czarna i Biała, jak nazywały je uczennice – prowadziły wtedy także tajne komplety z programem polskim. Można założyć, że i Wiaczesław był w nie zaangażowany.

Zarząd progimnazjum pułtuskiego, otwartego staraniem Polskiej Macierzy Szkolnej, wraz z ciałem nauczycielskiem.

(Od lewej do prawej) w pierwszym rzędzie siedzą: pp. Wieslolek, Tański, Modzelewski, ks. Palmowski, stan. Sokej, prezes Macierzy w Pułtusku— adw. Galczyński, Somnor; w drugim rzędzie stoją: pp. Mackiewicz, Damian Gniazdowski, Olkowski, ks. Bloch, Gniewosz, I Lewandowski, Baranowski, dyrektor progimnazjum, Pietrusiński, sędzia Gogulewski.

Okrutny dramat.

W dniu 6 b. m. do majątku Biskupice pp. Nalepińskich zjechał komisarz sądowy z Warszawy, Stanisław Krasuski w celu wyeksmitowania pp. N. z majątku.

Ś. p. St. Krasuski. p. Nalepińska.

Pp. N. mając w domu ciężko chorą czternastoletnią córkę — błagali komisarza, ażeby odroczył spełnienie wyroku do czasu jej wyzdrowienia. P. N. ujmowszy Krasuskiego za rękę, wprowadzili go do pokoju córki, w nadziei, że widok cierpienia wzruszy serce urzędnika; gdy ten wszakże trwał w zamiarze spełnienia swego obowiązku, chora dziewczynka podniosła się i uklęknąwszy na łóżku, wyciągnęła ku komisarzowi ręce, wołając: — „Zniszczyliście rodziców moich i z domu nas wyrzucacie,—Bóg was za to ciężko skarze!”. Wersym mówi że w tej samej chwili Krasuski, który przed laty utracił jedyną córkę, zbladł, zachwiał się i padł trupem na ziemię.—Ale ta wersya okazała się plotką. Krasuski umarł nagle w domu... Jednak plotką tą poruszone było całe miasto przez 24 godziny.

Z teatru.

(Teatr Rozmaitości. „Kobieta bez znaczenia”, Oskara Wilde'a; Teatr Mały. „Ścieżki cnoty” pp. Caillavet i de Flers'a).

...W życie wkładał swój geniusz, w to co pisał — tylko swój talent. Czasem, jak twierdzi Nowaczyński w swem pięknem studyum o twórcy Salome, — rozmienial talent na najdrobniejszą monetę obiegową i zdradzał gotowość do ustępstw, degradującą leadera estetyzmu angielskiego i kazuodzieję „sztuki dla sztuki” na niebożę, prostikujące sztukę dla pieniędzy. „Kobietę bez znaczenia” Wilde napisał dla pieniędzy. A że dusza wykwintnego dandysa i subtelnego poety wzdrygała się przed tem poniżeniem, wymyślił bajkę najbardziej banalną i szablonową. Dziewczyna, uwiedziona i porzucona przez bogatego lorda. Syn, stojący w obronie ukochanej oko w oko przeciw możnemu panu.— Nie zabijesz go! To twój ojciec!, woła matka. Uwodziciel odchodzi pognębiony. Numa wydziela za Pompilusza. Wymogom najniższego smaku szerokiej publiczności stało się zadość.

Trywialność, intrygi graniczący z bezbrzeżną ironią i pogardą. I widocznem jest, że poecie melodramatyczna historya nie przychodziła z łatwością. W pierwszych dwóch aktach stara się jakby umyślnie opóźnić zawiązek akcyi, strzela fajerwerkami najświetniejszego dowcipu, odurza i upaja narkotykiem błyskotliwych paradoksów, smakuje i rozkoszuje się w pointach przewrotnych, nicuje pojedyncze wartości prawdy, cnoty, honoru, „a poza temi piruetami akrobatyi rymowanej gładzą uchaotycznego nawiązanego na lucyferyczneego chorobliwie przedrażnionego etyk, wejrzący z rozmachanymi skrzydłami wiatraków egoizmu bestyi indiskiej”. (Nowaczyński).

Artyści teatru Rozmaitości, niestety, lepiej umieli odczuć—bajką melodramatyczną, nią wytworny, niezrównany persyflaż poety.

„Ścieżki cnoty” pp. de Flersa i de Caillavet'a należą do rodzaju bardzo wykwintnego i bardzo niemoralnego. Autorzy persyflują cnotę kobiety zamężnej, usiłując dowieść, żejest ona zbędną i brzydka. Czynią to w sposób niezgłębionej głębokiej, ile dowcipny. Prowadzą swoją bohaterkę krok za krokiem do wiarołomstwa i wybuchają śmiechem pogodnym i radosnym, gdy nareszcie spełniły się ich życzenia. Brak wszelkiego poczucia etycznego w tego rodzaju sztukach musi osłaniać urok niezrównanej elegancyi zewnętrznej. W interpretacyi artystów Teatru Małego, z nielicznemi wyjątkami, wytworny salon paryski czynił wrażenie jour-fix'u u pani aptekarzowej z powiatowego miasteczka. K.

Budka dróżnika schroniskiem literatury rewolucyjnej.

W nocy z dnia 8 na 9 b. m., w budce kolei wiedeńskiej przy rogatce Jerozolimskiej, ajent ochrony wraz z wojskiem dokonali ścisłej rewizyi. W podwójnej ścianie, która rozrąbano, znaleziono wiele wydawnictw nielegalnych, kolportażów etc

19

Zatrzymajmy się na chwilę nad skalą zjawiska. Znane jest zestawienie działalności Polskiej Macierzy Szkolnej w 1907 r. Liczba kół w całym Królestwie Polskim wynosiła 781, liczba członków stowarzyszenia 106 613, liczba uczniów 61 908, liczba dzieci w ochronkach 14 401, tomów w bibliotekach prowadzonych przez Macierz było 221 971, w 1907 r. wypożyczono z nich książki 400 544 razy. Zorganizowano 2708 odczytów. Powstało 991 szkół, władze carskie wydały zgodę na działalność 227.

Solidarność w 1980 r. nie wzięła się znikąd – na wiecznym kole pojawiania się i znikania pokazaliśmy wtedy jej inną, wcześniejszą wersję.

Macierz została zawieszona przez carat w 1907 r., a nakazano ją zlikwidować w 1908. Jej majątek – nieruchomości, książki, pieniądze – rozdysponowano oficjalnie wśród innych organizacji polskiego życia półjawnego. Odtąd działano w konspiracji. Część szkół przetrwała. Bojkot trwał. Ugodowe wobec Moskwy środowiska nawoływały do jego zerwania. Spowodowało to odejście części twórców Macierzy od środowiska endecji. Roman

eprasa.pl c7db8fdf58

Dmowski, który dosadnie określił bojkot „syfilisem politycznym", został na ulicy publicznie spoliczkowany przez studenta Janusza Ostrowskiego.

ŚLUB Z ALINĄ

W 1906 r. Wacław znów jedzie do Pułtuska, nie tylko po to, by poprowadzić polską szkołę. Żeni się z Aliną Rau z Kleszewa, bogatą panną z jednego z największych majątków w pułtuskim powiecie, siostrą Emila i Rudolfa Rauów zaangażowanych (także finansowo) we wsparcie strajku i bojkotu szkolnego.

Aby się żenić – taki, zdaje się, był warunek rodziny Aliny – Wacław nie musiał mieć wcale majątku (i chyba go nie miał), musiał porzucić prawosławie i przejść na protestantyzm.

No dobrze – skąd to prawosławie? Z „Wyciągu z genealogii rodu Kniaziów Tuhan Mirza Baranowskich" wynika, że Wacław był wnukiem Bohdana Baranowskiego. Był to „oficer wojsk rosyjskich, w 1863 r. przeszedł do szeregów powstańczych, dowódca samodzielnie działającego oddziału, ciężko ranny na polu walki nie chcąc się dostać do niewoli, zastrzelił się". Jego syn Szymon „po stracie ojca wychowywany przez matkę chrześcijankę porzucił islam i przyjął chrystianizm, ziemianin, właściciel majątków Maniatyn, Hełubne, Hiranowiec i Mokre na wsch. Wołyniu, zm. w 1920 r.". To informacje z pierwszej ręki, bo „»Wyciąg...« był opracowany […] przez Wacława Baranowskiego, dyrektora gimnazjum w Pułtusku w 1924 roku". Czy to słowo „chrystianizm", dla którego porzucił islam Szymon Baranowski, jest właśnie śladem prawosławia? Czy ów powstaniec Bohdan ożeniony był z Rosjanką? Nie wiemy.

A przy okazji – w „Wyciągu" dziadek poety jednoznacznie przecina spekulacje co do swego wykształcenia: Wacław [...] „ukończył historię na Uniwersytecie Kijowskim". Mamy inną zagadkę – skąd właściwie pochodził? Spod Żytomierza – odpowiada zawsze poeta. Ba, panu Mareczkowi w „Rozmowach" dziadek mówi wręcz, że urodził się w Hiranowcu na Wołyniu.

A z aktu ślubu Wiaczesława zawartego z Aliną Rau w 1906 r. w parafii ewangelickiej w Pułtusku wynika, że urodził się w 1880 r. jako syn Szymona (Symeona) Baranowskiego i Stanisławy z Lorensów w miejscowości Włodzimierzówka. To bynajmniej nie pod Żytomierzem, tylko pod Włodzimierzem Wołyńskim. Ta sama Włodzimierzówka jako miejsce urodzenia wymieniona jest w akcie małżeństwa jego młodszej siostry Antoniny, zawartym w Warszawie w 1914 r. Wacław jest tu świadkiem, ślub jest katolicki, a panna młoda, rodzona bądź co bądź siostra Wacława, jest Polką i katoliczką. Oczywiście mogło być tak, że synowie byli w rodzinie prawosławni, córki katolickie – mogło być też tak, że Antonina, przybywszy do brata do Warszawy, porzuciła prawosławie i przeszła na katolicyzm. W każdym razie w tej metryce ślubu z Romanem Kreczmarem, „literatem" (synem Augusta i bratem Michała, twórców jednego ze znanych gimnazjów prywatnych w Warszawie), i Antonina, i Wacław brzmią jak najbardziej po polsku. Oboje po polsku, bez cienia rusycyzmów się podpisują. Znika „Baranowskij", nie ma „Wiaczesława". Jest po prostu – „Wacław Baranowski".

Mamy jeszcze jedno zamieszanie – z nazwiskiem prababki poety, a matki Wacława. W przekazie rodzinnym zapisanym w „Notatkach z rozmów z moją matką" panieńskie nazwisko Stanisławy brzmiało nie Lorens, jak czytamy w metrykach, ale Laurens. I według „Notatek" Stanisława była córką francuskiego guwernera, co do koktajlu krwi w żyłach autora „Samuela Zborowskiego" dodaje nowy element (obok niemieckiego, holenderskiego, litewskiego, tatarskiego, polskiego i rosyjskiego).

Wygląda na to, że Wacław prawosławie porzuca bez kłopotu. Angażuje się w życie parafii ewangelicko-augsburskiej. W 1924 r. odnotowany jest jako członek rady kościelnej w parafii ewangelickiej w Pułtusku. A gdy carat zabrania dalej działać Macierzy Szkolnej i szkołę w Pułtusku trzeba zamykać – Wacław Baranowski znajduje pracę w Warszawie w gimnazjum im. Mikołaja Reja, utworzonym i utrzymywanym przez zbór ewangelicko-augsburski. Z „Księgi pamiątkowej gimnazjum im. Mikołaja Reja" wydanej w 20-lecie istnienia szkoły wynika, że Wacław uczył historii od roku szkolnego 1910/1911 do roku 1916/1917, a po rocznej przerwie jeszcze przez dwa kolejne lata – 1919–1921. Przez jeden rok, 1913/1914, uczył jednocześnie w szkole na Wiejskiej u panien Jadwig – historii powszechnej po rosyjsku oraz historii Rosji. A co w takim razie robił w 1918 r.? Mówiąc zwyczajnie, walczył o Polskę. Bił się, to wiemy, choć nie znamy prócz pojedynczych zdań w opracowaniach historycznych żadnych szczegółów na ten temat. Jest wymieniony jako jeden z pułtuskich nauczycieli „wśród żołnierzy uczestniczących w zbrojnych starciach w ramach polskich formacji militarnych" (Tadeusz Kowalski, „Nauczyciele i młodzież szkolna Pułtuska wobec walki narodu polskiego o niepodległość w latach 1914–1918").

CZAS NIEPODLEGŁOŚCI

W wolnej Polsce znów jest w Pułtusku – zostaje dyrektorem żeńskiego gimnazjum im. Klaudyny Potockiej. Kieruje szkołą przez osiem lat, do śmierci w 1929 r. Wcześniej daje powód wnukowi do spekulacji, że stał się endekiem. Było tak. W Pułtusku stacjonował 13. pułk piechoty pod dowództwem gen. Młota-Fijałkowskiego. Oficerowie pułku byli częstymi gośćmi zarówno w Kleszewie, jak i w należącym do Baranowskich Gnojnie/Świerszczynie. W maju 1926 r. pułk wyruszył na piechotę z Pułtuska ze wsparciem dla marszałka Piłsudskiego. Był to jeden z najszybszych, jeśli nie najszybszy przemarsz w historii pułku. To ci żołnierze uczestniczyli w starciach. Dziadek Baranowski miał powiedzieć żonie: „Ci panowie u nas w domu już bywać nie będą".

W „Kawałku autobiografii" publikowanym w „Arcanach" poeta napisał: „Rauowie, choć z pochodzenia byli Niemcami i ewangelikami, byli dobrymi Polakami. W czasie wojny zaproponowano im podpisanie volkslisty – odmówili. Podobno tak samo (tego dobrze nie wiem) postąpili inni tamtejsi właściciele ziemscy niemieckiego pochodzenia. W odwecie Niemcy, jak opowiadała mi Matka, kazali zaorać cmentarz ewangelicki […]. Ciekawe, jak takie zaorywanie wyglądało? Czy przyjeżdżały pługi, do których były zaprzężone konie (traktorów jeszcze nie było), i wyorywały kości, które potem, wyorane, pozostawiano niezakopane – jako coś w rodzaju niemieckiego ostrzeżenia i pogróżki? Szkoda, że Fryderyk Nietzsche nie żyje – jego zaciekawiłoby to wyorywanie polsko-niemieckich kości, ich odkrywanie i zasypywanie w wiecznym kole pojawiania się i znikania (die ewige Wiederkehr)".

Wśród nich kości kniazia tatarskiego, nazywanego w domu Mynkiem, pochowanego w 1929 r. w rodzinnym grobowcu Rauów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem powstającej książki o Jarosławie Marku Rymkiewiczu.

eprasa.pl c7db8fdf58

Wiesław Chełminiak

Czerwona łódź podwodna

Jean-Luc Godard odmienił oblicze kina. Zamiast do legendy przejdzie jednak do anegdoty

Reduta Dobrego Imienia Francji, gdyby istniała, niechybnie zajęłaby się Michelem Hazanaviciusem. Reżyser przeszedł bowiem na pozycje jawnie antynarodowe. W żywe oczy kpi z człowieka tytułowanego papieżem Nowej Fali – bodaj ostatniej z wymyślonych w paryskich kawiarniach rewolucji kulturalnych.

Paradoksalnie obu panów sporo łączy. Hazanavicius dostał Oscara za „Artystę" – sentymentalną podróż do korzeni kina. Godard to typowy szczur archiwalny, obejrzał chyba wszystko, co nakręcono. Sporo też czytał. Jednak co za dużo, to niezdrowo. Erudycja bardziej mu szkodziła, niż pomagała, gdy od teorii postanowił przejść do praktyki.

WIELKI DEKONSTRUKTOR

Filmy lidera Nouvelle Vague przypominają brudnopisy. Fabularny schemat zwykle brał od Anglosasów (niepokorni gardzili rodzimym „kinem papy"), lecz ochoczo łamał gatunkowe reguły, brnął w dygresje, mnożył literackie i filozoficzne aluzje. Megalomanem był chyba od zawsze. Przypisywał sobie odkrycie, że na ekranie wszystko jest dozwolone. Utrzymywał, że obywa się bez scenariuszy (co nie do końca było zgodne z prawdą). Bohaterowie Godarda żyją chwilą, zachowują się kapryśnie i nielogicznie. Upodobanie reżysera do dekompozycji każe podejrzewać, że w głębi duszy pozostał krytykiem gardzącym twórczością schlebiającą potocznym gustom i przyzwyczajeniom. Popularność z jednej strony mile łechtała jego ego, z drugiej – drażniła, gdyż nie chciał być filarem systemu, który zamierzał posłać na śmietnik historii.

Typowe dla nowofalowców improwizowane dialogi miały zbliżyć kino do prawdziwego życia. Zdaje się, że inspirującą rolę odegrała tutaj muzyka jazzowa. Dla przyszłości branży bardziej brzemienny w skutki okazał się pomysł, by wyjść ze studia na ulicę. Bez atelier, reflektorów, ciężkiego sprzętu oraz armii pomocników można kręcić tanio i szybko (co bardzo spodobało się producentom). Styl Nouvelle Vague zdefiniował pełnometrażowy debiut Godarda „Do utraty tchu" z 1960 r. Pomysł był Truffauta, wykonanie Belmonda, ale to na reżysera spadł splendor. Historia nonszalanckiego przestępcy, romansującego z amerykańską studentką, niezważającego, że ma na karku całą paryską policję, oddawała ducha epoki. Operator był wcześniej fotoreporterem, zdjęcia wyszły mu niedoświetlone i nieostre. W dodatku Godard zmontował materiał w nader oryginalny sposób: w scenie długiej rozmowy na ekranie widać tylko dziewczynę. Ujęcia jej partnera trafiły do kosza.

Dezynwoltura szokująca konserwatystów okazała się jednym z największych atutów filmu. „Do utraty tchu" powszechnie odbierano jako hymn na cześć młodości i wolności (mniejsza o to, że nosicielem tej idei był złodziej i zabójca). Reżyser poszedł za ciosem. W siedem lat nakręcił 13 filmów. Premierę „Małego żołnierzyka" zablokowano, bo wziął na warsztat temat niecenzuralny: wojnę w Algierii. Skandal, tym razem obyczajowy, towarzyszył „Kobiecie zamężnej". Puryści rwali sobie włosy z głów. Godard dekonstruował jeden gatunek po drugim: melodramat, komedię, czarny kryminał, kino wojenne i science fiction. Jajogłowi okrzyknęli go Proustem filmu. Publiczności rozbijanie tradycyjnych struktur narracyjnych podobało się znacznie mniej. Na wychwalany przez kolegów krytyków antymusical „Kobieta jest kobietą" w całej Francji sprzedano zaledwie 65 tys. biletów.

Stara gwardia triumfowała: mądrale z Nouvelle Vague są dyletantami, którzy w gruncie rzeczy nie mają nic do powiedzenia, więc przedrzeźniają innych. Truffaut porównał sytuację własną i kolegów do położenia Żydów podczas okupacji. Co robić, gdy kapryśna widownia odwraca się od rewolucji? „Trzeba narzucać ludziom to, co jest dobre".

DO UTRATY ZŁUDZEŃ

„Ja, Godard" to film przewrotny. Dworuje sobie z nowofalowców, stosując ich własne sztuczki. Napisy informują, co naprawdę myślą bohaterowie. Dłonie już oderwały się od maszyny do pisania, a wciąż słychać stukanie w klawisze. Hazanavicius upatrzył sobie moment, gdy mistrz znalazł się na rozstajach. Inni próbują nadążyć za duchem czasów, on chciałby go wyprzedzić. Tymczasem ostatnie dzieła Godarda dokumentują co najwyżej jego zagubienie. Nakręconą w 1967 r. „Chinkę" – ocierającą się o śmieszność wykładnię maoizmu – nawet towarzysze z ambasady ChRL uznali za gniota.

Na kogoś rozsądniejszego takie fiasko podziałałoby trzeźwiąco. 37-letni Godard jednak nie widzi już świata bożego poza polityką. Wybuch zamieszek w Paryżu umacnia go w przekonaniu, że ma rację: Francja idzie w stronę rewolucji. Maszeruje w pierwszym szeregu antyrządowych demonstracji, skanduje, że de Gaulle to pajac, rzuca nawet kostką brukową w policjantów. Uciekając przed funkcjonariu-

eprasa.pl c7db8fdf58

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

szami, potyka się i w zderzeniu z paryskim brukiem boleśnie tłucze pośladki i traci okulary.

Nieco zniechęcony tym epizodem reżyser postanawia sprawdzić się jako agitator. Pielgrzymuje do studentów okupujących Sorbonę. Zachęca ich, by „stworzyli w sobie Wietnam". Mętna dialektyka nie trafia jednak młodym do przekonania: mistrz zostaje wygwizdany. W dodatku proletariat daje mu do zrozumienia, że od kina zaangażowanego woli rozrywkowe, „bo zmartwień mają dość na co dzień". Robotnicy pytają, kiedy nakręci film z Belmondo lub Brigitte Bardot. Zanim rewolucyjny rok 1968 dobiegnie końca, nasz bohater odniesie tylko jeden sukces: razem z grupką podobnych sobie radykałów zerwie festiwal w Cannes.

U Hazanaviciusa Godard już na pierwszy rzut oka wydaje się żałosną postacią. Sepleniący okularnik z papierosem w zębach, w fatalnym stylu przegrywający wojnę z łysiną. Szybciej mówi, niż myśli. Przeraża go, że się starzeje i traci kontakt ze zbuntowaną młodzieżą. Może dlatego związał się z 19-letnią Anne Wiazemsky, wnuczką noblisty Mauriaca. Wspomnienia zmarłej jesienią ubiegłego roku eksmałżonki papieża Nowej Fali wywarły spory wpływ na kształt scenariusza. Anne, choć zagrała główną rolę w „Chince", polityką się nie interesuje. Jest towarzyska, wesoła i spragniona czułości. Tymczasem sławny reżyser przy bliższym poznaniu okazuje się kabotynem, egoistą i hipokrytą. Jedyny talent, który objawia, to talent do zrażania do siebie ludzi. Ważniejsi od połowicy i przyjaciół są dla niego Mao Zedong, Che Guevara i Malcolm X.

Na początku lat 60. Godard popularnością dorównywał Beatlesom. Oryginalny tytuł filmu „Ja, Godard" – „Le Redoutable" – nawiązuje do francuskich okrętów podwodnych z czasów wojny. Łódź, którą podróżowała czwórka z Liverpoolu, była pomalowana na żółto. Jednostka, której dowódcą ogłosił się reżyser „Szalonego Piotrusia", miała kolor intensywnie czerwony. I było w niej miejsce tylko dla jednego człowieka.

KOPERNIK BYŁ FRANCUZEM

Film Hazanoviciusa przemknął przez polskie ekrany niczym kometa. Należy się cieszyć, że w ogóle do nas trafił, bo szans na komercyjny sukces nie miał żadnych. Kino autotematyczne słabo się nad Wisłą sprzedaje. Poza tym ostatnie pokolenie, dla którego francuska kultura była ważnym punktem odniesienia, jest już na wymarciu.

Bunt siedmiu młodych krytyków związanych z pismem „Cahiers du Cinéma" idealnie wpisał się w tamtejsze tradycje. Godard i spółka rzucili wyzwanie systemowi, tak jak niegdyś impresjoniści Akademii. A to, że bunt szybko się wypalił i panowie już po kilku latach nie chcieli ze sobą gadać ani nawet wspólnie pozować do zdjęć, było normalną koleją rzeczy. Gorzej, że większość filmów spod znaku Nouvelle Vague nie spełniała kryteriów tego, co wówczas nazywano „francuską jakością".

Gdy opadła euforia i wyczerpał się potencjał prowokacji, wyszło na jaw, że cesarz jest nagi. Część rebeliantów dołączyła do mainstreamu, inni oddali się jałowym eksperymentom, o pozostałych słuch zaginął. Francuską kinematografię zamiast odrodzenia czekała zapaść. W ciągu dekady, która minęła od premiery „Do utraty tchu", straciła połowę widzów.

Z tytułowym bohaterem filmu „Ja, Godard" rozstajemy się, gdy on rozstaje się z żoną. Razem z nawiedzonym dziennikarzem Godinem zakłada kolektyw Dziga Vertov. Chce obalić kapitalizm produkcjami z udziałem naturszczyków, rozpowszechnianymi z pominięciem oficjalnych kanałów dystrybucji. Pomstuje na potęgę Ameryki i dolara. O swoich dawnych filmach mówi, że były „gówniane". Wypiera się zwłaszcza „Pogardy", twierdząc, że producent zmusił go do obsadzenia w głównej roli Bardot. Ona zapamiętała to inaczej: to reżyser koniecznie chciał ją mieć w obsadzie. Wcześniej zaś próbował zatrudnić hollywoodzką seksbombę Kim Novak i Franka Sinatrę.

Nie można powiedzieć, że szyderstwa Hazanoviciusa zabijają legendę Godarda. On sam ją konsekwentnie uśmiercał. Fałszywy prorok, pozer i politruk na własne życzenie znalazł się na marginesie kina i jeszcze się tym szczycił, oświadczając, że „zeszyt nie istnieje bez marginesu". Publiczność się od niego odwróciła, lecz krytycy wciąż dostrzegali w twórczości autora „Wiatru ze wschodu" drugie i trzecie dno. Jerzy Płażewski porównywał go do Kopernika. Do inspiracji Nową Falą przyznawało się zaś kolejne pokolenie filmowców.

W 1983 r. łódź wiecznego rewolucjonisty wypłynęła na powierzchnię. „Imię: Carmen", wariację na temat słynnej opery Bizeta, nagrodzono Złotym Lwem w Wenecji. Z ekranu słychać było muzykę Beethovena, reżyser zaś obsadził sam siebie w roli pacjenta szpitala psychiatrycznego. Widzów przyciągnęła do kin nie tyle bełkotliwa fabuła, co wdzięki młodziutkiej Maruschki Detmers, kreowanej na nową BB. Odtąd utarło się, że filmy Godarda funkcjonują w wąskim obiegu festiwalowym. Nie wywołują już skandali. Gdy czerwone sztandary wyblakły, mistrz zaczął skłaniać się ku historii oraz rozliczaniu cywilizacyjnego dorobku ludzkości.

Poza Francją ocena dokonań Nouvelle Vague nie jest jednoznacznie entuzjastyczna. Sceptycy sądzą, że kino i tak zeszłoby z koturnów, ostateczny rozbrat X muzy z teatrem nastąpiłby również bez Godarda i jego kolegów. Mądrale z „Cahiers du Cinéma" proklamowali swoją rebelię w chwili, gdy Zachód dojrzewał do kulturowego i obyczajowego przełomu. Rząd dusz przejmowało młode pokolenie. Paryż jeszcze był stolicą mody, lecz przestał być centrum świata. Scenę muzyczną zdominowali Anglosasi, przyszłość kina wykuwała się w Ameryce. Ideologiczna fiksacja i nieuleczalna skłonność do eksperymentów pogrążyły twórcę „Chinki". Tadeusz Lubelski w wydanej niedawno monografii Nowej Fali najzdolniejszym reżyserom, związanym z tym ruchem, poświęcił osobne rozdziały. Godard się nie załapał.

REŻ. MICHEL HAZANAVICIUS „JA, GODARD" FRANCJA 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

Piotr Gociek

Kasandra i dyktator

„Monachium" to thriller dyplomatyczny, którego zakończenie znamy: Zachód ustępuje Hitlerowi. Robert Harris proponuje jednak własne spojrzenie na to, co się działo za kulisami

FOT. GEOFFREY SWAINE/REX/EAST NEWS

Robert Harris wraca do Niemiec i do Trzeciej Rzeszy. To tam, jak państwo pamiętają, rozpoczęła się jego kariera powieściopisarza. Wcześniej znany był, ale tylko w Wielkiej Brytanii, jako dziennikarz i autor książek non-fiction. Dopiero „Vaterland", historia alternatywna rozgrywająca się w świecie, w którym Hitler wygrał wojnę, przyniosła Harrisowi sławę międzynarodową i pozwoliła na zmianę zawodu – z żurnalisty zamienił się w zawodowego pisarza. Bardzo pomogła ekranizacja „Vaterlandu", w której zagrali Rutger Hauer oraz Miranda Richardson (ta ostatnia za występ w tym telewizyjnym filmie została wyróżniona Złotym Globem).

Od tamtej pory minęło ćwierć wieku literackiej podróży, w trakcie której Harris zaglądał do starożytnego Rzymu („Pompeja", trylogia „Imperium Rzymskie"), do XIX-wiecznej Francji („Oficer i szpieg") oraz XXI-wiecznego Watykanu („Konklawe"), za każdym razem zgrabnie łącząc to, co prawdziwe, z tym, co wymyślone, acz prawdopodobne. Czasem zdarzały mu się kiksy, w tym jeden szczególnie bolesny dla Polaków, bo w popularnej powieści „Enigma" zrobił z polskiego oficera niemieckiego szpiega, który chciał się w ten sposób mścić na aliantach za przemilczenie prawdy o Katyniu. Przyznają państwo, że to dość absurdalna konstrukcja? Najmniej udana okazała się powieść „Archangielsk" rozgrywająca się równolegle w Rosji stalinowskiej i współczesnej.

Najnowsza powieść Harrisa – „Monachium" – mogłaby stanąć na półce wśród innych dzieł literatury popularnej, których akcja rozgrywa się już po dojściu Hitlera do władzy, ale przed wybuchem wojny. Ów czas, kiedy ciemność w Niemczech gęstniała, a poza granicami Rzeszy narastało przekonanie, że

eprasa.pl c7db8fdf58

dramat na wielką skalę jest coraz bliżej, był świetnym tłem dla kryminalnych historii opowiadanych przez Philipa Kerra („Marcowe fiołki") czy Jeffery'ego Deavera („Ogród bestii"). Szczególną uwagę dwóch ostatnich przyciągały niesławne igrzyska olimpijskie roku 1936 w Berlinie. Harris buduje swój thriller wokół innego ważnego wydarzenia tamtej dekady, czyli wokół konferencji monachijskiej, podczas której usankcjonowano zagrabienie przez hitlerowskie Niemcy części terytorium Czechosłowacji. „Przywożę wam pokój" – ogłaszał wracający z Monachium brytyjski premier Neville Chamberlain. Tak naprawdę kupił jedynie trochę czasu, który zresztą i tak został przez europejskie mocarstwa zmarnowany.

KTO ZAWIÓDŁ?

„Monachium" nie jest jednak kryminałem, a jeśli thrillerem, to głównie dyplomatycznym. Zamiast pytania „Kto zabił?" mamy inne – „Kto zawiódł?". Odpowiedź niby jest oczywista. W powszechnej świadomości – tego się przecież uczyliśmy w szkołach, niezależnie od tego, czy program pisali eksperci czasów PRL, czy III RP – zawiodły Anglia i Francja, a Chamberlain i przywódca Francuzów Daladier stali się wręcz symbolami zdrady, głupoty i krótkowzroczności. Zdrady, bo złamali własne sojusznicze gwarancje dla Czechosłowacji. Głupoty, bo dali się okpić Hitlerowi. Krótkowzroczności, bo – jak ujął to w słynnym komentarzu Winston Churchill w Monachium – „mieli do wyboru wojnę lub hańbę, wybrali hańbę, a wojnę będą mieli i tak".

Robert Harris głupoty przywódców Zachodu upatruje nie w tym, że dali się nabrać na blef szaleńca, który ma w kartach same blotki, tylko w tym, że nie docenili rozmachu planów i żelaznej woli Führera. Zdaniem Harrisa Hitler chciał wojny już w 1938 r. Żadna to sensacja dla historyków – wspomnę choćby wywiad, którego udzielił PAP prof. Stanisław Żerko w 2014 r. (75. rocznica wybuchu wojny). „Hitler gotów był rozpętać wojnę już rok wcześniej, we wrześniu 1938 r., gdyby mocarstwa zachodnie nie ustąpiły podczas kryzysu czechosłowackiego" – tłumaczył wtedy Żerko. Brytyjski pisarz idzie jednak dalej i zdecydowanie broni Chamberlaina, który kupił światu rok i sprawił, że Hitler rozpętał piekło w sytuacji mniej dla siebie korzystnej.

To, czego Hitler chciał, to jedno, a to, co wiedzieli i czego spodziewali się Chamberlain z Daladierem, to drugie. I tu wkracza na scenę inwencja powieściopisarza, który opowiada o monachijskiej konferencji z perspektywy dwóch pośledniej urzędników. Niemiec i Anglik, starzy znajomi, sześć lat wcześniej razem studiowali, teraz stoją po przeciwnych stronach, bo jeden robi prasówki z zagranicznych gazet dla Hitlera, a drugi przybył jako mało ważny członek delegacji brytyjskiej. Powieść „Monachium" nie jest historią alternatywną, więc ich wysiłki nie mogą odmienić losów konferencji (i świata), finał dobrze znamy z podręczników. Jednak to nie znaczy, że opowieść musi być pozbawiona emocji. Przypomnijmy sobie, jak trzymał w napięciu „Dzień szakala", klasyk Fredericka Forsytha, w którym śledziliśmy przygotowania do nieudanego ostatecznie zamachu na de Gaulle'a. Anglik przybywa do Niemiec, posiadając wybiórczą wiedzę na temat prawdziwych zamiarów Hitlera, jego przyjaciel próbuje tę wiedzę poszerzyć. Czy ktoś z wielkich tego świata przejmował się jednak kiedykolwiek tym, co mają do powiedzenia nawet całkiem dobrze poinformowani, ale pośledni urzędnicy?

CHWIEJNE DEMOKRACJE

Chociaż akcja „Monachium" rozgrywa się osiem dekad temu, widać w tej książce tę samą pasję, która przenikała Harrisa, gdy pracował nad całkiem współczesnym „Autorem widmem", oraz z czasów, gdy był jeszcze reporterem politycznym. To ogromna ciekawość tego, jak polityka wygląda od podszewki, jak bardzo o epokowych (jak się potem okazuje) wydarzeniach decydują ludzie niedorastający do pełnionych ról. Jednak nie tylko politycy są obiektem jego krytyki. Owszem, łatwo przychodzi nam wytykanie ich błędów, zwłaszcza gdy dysponujemy luksusem spojrzenia z perspektywy dzisiejszych czasów, gdy wiele spraw jest już jasnych, a stosowne dokumenty bez trudu znaleźć można w otwartych archiwach. Za politykami stoją jednak wyborcy – odpowiadamy więc za to, kto stanie na świeczniku, i pośrednio za decyzje wybrańców narodu. Najciekawsze momenty „Monachium" to te, kiedy wspomniani już bohaterowie – Niemiec Paul Hartmann oraz Brytyjczyk Hugh Legat – muszą we własnym sumieniu rozstrzygnąć kwestię: „Czy ja sam jestem w stanie coś zrobić?". Tyle o sobie wiemy, ile nas testowano, nieprawdaż?

Od tych pytań przechodzi Harris na wyższy poziom. Skoro demokracje liberalne słabe są wahaniami tych, którzy są jej tworzywem, to może skazuje je to na wieczną rolę ofiary w konfrontacji z tymi, którzy zasady mają za nic i przedkładają prawo pięści ponad traktaty? „Hitler rozegrał Zachód, bo jego działania wykraczały poza wyobraźnię liberalnych elit?" – dopytywał pisarza Marcin Kube w wywiadzie opublikowanym tydzień temu w „Rzeczpospolitej". A Harris odpowiadał: „Demokracja ze swojej natury jest chwiejna i powolna. Chamberlain, który ją uosabiał, doprowadzał popędliwego Hitlera do szaleństwa. On chciał działać zdecydowanie, tu i teraz, zmieniać historię. To zawsze będzie problem demokracji, że wydają się łatwe do rozegrania przez reżimy niedemokratyczne. Jednak na razie nie ma lepszej alternatywy".

NOWY STYL

Pisarstwo 61-letniego dziś Roberta Harrisa wciąż ewoluuje. Jego ostatnie powieści („Konklawe" i „Monachium") są dużo prostsze od tych pierwszych, z lat 90. Z korzyścią dla czytelnika i dla stylu, który momentami przypominać zaczyna niektóre książki Johna le Carré. Jeśli chodzi o miłość do detali, precyzję researchu, zgrabne wplatanie tego, co fikcyjne, w tkaninę prawdziwych wydarzeń, jest bez wątpienia uczniem wspomnianego już Fredericka Forsytha. Od Forsytha różni Harrisa to, że nie miewa tak zaskakujących pomysłów, od le Carré jest po prostu słabszym pisarzem. W hierarchii współczesnych dostarczycieli niegłupiej rozrywki i tak sytuuje się jednak bardzo wysoko. Nic więc dziwnego, że z jego 12 powieści cztery zekranizowano, a dwie inne były o krok od tego (co ciekawe, obydwie chciał adaptować Roman Polański, a chodzi o „Pompeje" oraz „Oficera i szpiega"). Prędzej czy później ekranizacji doczeka się pewnie i „Monachium", na razie fanów Harrisa ekscytuje wieść, że powstanie nowa wersja „Vaterlandu". Już w przyszłym roku.

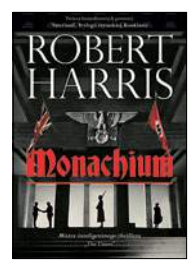

★★★★☆☆
ROBERT HARRIS „MONACHIUM" ALBATROS 2018

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Lara Croft – pierwsza krew

★★★☆☆☆

REŻ. ROAR UTHAUG
„TOMB RAIDER"
USA 2018

wyst. Alicia Vikander, Dominic West, Walton Goggins

Relaunch" – to słówko zrobiło w ostatnich latach prawdziwie hollywoodzką karierę. Rzucić na rynek odświeżoną wersję wyeksploatowanego formatu, rozbić bank, zagospodarować nowe pokolenie widzów – marzą grube ryby z branży rozrywkowej. Udało się z Bondem, „Gwiezdnymi wojnami" i Mad Maksem. Czemu więc nie spróbować z „Tomb Raiderem"? Co prawda, nakręcone na początku wieku dwa filmy z Angeliną Jolie zawiodły pokładane w nich nadzieje, lecz gry o przygodach mądrej i wygimnastykowanej pani archeolog wciąż sprzedają się świetnie. Warner i MGM wyłożyły więc prawie 100 mln na film pomyślany jako prequel całej serii.

Lara jest tu zbuntowaną smarkulą, która zamiast mieszkać w pałacu i studiować na Oksfordzie, trenuje boks i zadaje się z londyńskim plebsem. Wkrótce jednak wyruszy na Daleki Wschód, bo „Craftowie mają obowiązki i zadania". Wcześniejsze filmy o awanturach Lary były bombastycznymi, ociekającymi efektami specjalnymi widowiskami z rachityczną fabułą. Twórcy komputerowej strzelanki, która 20 lat temu zachwyciła nastolatków, zrobili z panny Croft wykapaną wnuczkę Indiany Jonesa. Autorzy nowego „Tomb Raidera" zapożyczyli się u Spielberga jeszcze bardziej. Od strony realizacyjnej trudno filmowi coś zarzucić, ale rozbudowany ponad miarę wątek ojca spycha całość w okolice kina familijnego.

Indy miał na pieńku z nazistami. Lara zmaga się z enigmatyczną Trójcą, organizacją pragnącą przejąć władzę nad światem. Tak się jednak składa, że szef zbirów, bezczeszczących grób królowej Himiko, nosi niemieckie nazwisko. Na śmiałków czyhają liczne pułapki, krew w żyłach mrożą legendy o Otchłani Dusz i Armii Tysiąca Pokojówek. Scenarzyści nie ulegli pokusie podpierania się siłami nadprzyrodzonymi i chwała im za to. Szkoda, że przy okazji zgubili gdzieś poczucie humoru – „Tomb Raider" jest śmiertelnie poważnym filmem.

Dekadę temu przepis na Larę był prosty: warkocze plus dwa pistolety, plus wydatny biust. Nadeszły jednak nowe czasy: niebezpieczne kobiety są przyszłością kina akcji, ale superbohaterka nie musi już (a nawet nie powinna) epatować seksapilem. Kłopot w tym, że warta grzechu Angelina Jolie stanowiła dla serii wartość dodaną, natomiast chłopięca Alicia Vikander jest zaledwie poprawna. Bóg jeden wie, dlaczego Hollywood hołubi tę Szwedkę (Oscar, którego dostała za „Dziewczynę z portretu", nie jest wystarczającym wyjaśnieniem). W zeszłym roku media obiegła wieść, że Vikander została żoną swego partnera z planu, Michaela Fassbendera, bodaj najbardziej przereklamowanego aktora XXI w. No cóż, dobrali się jak w korcu maku. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PIOTRUŚ KRÓLIK"

Nowa adaptacja bajek Beatrix Potter kosztowała 50 mln dol. (zarobiła już cztery razy tyle). Literacki oryginał pochodzi z początków XX w., wersja kinowa przenosi akcję w czasy współczesne (co wzbudziło protesty części fanów i krytyków), a Piotruś Królik i jego przyjaciele zmagają się z niemiłym farmerem (Domhnall Gleeson), nowym strażnikiem pełnego warzyw ogrodu, który hołduje dziwnemu przesądowi – uważa, że dzikie zwierzęta nie powinny grasować po jego grządkach. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Piotruś Królik", reż. Will Gluck, wyst. James Corden, Fayssal Bazzi, Domhnall Gleeson, Wielka Brytania/Australia 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Nigdy cię tu nie było", reż. Lynne Ramsay, USA/Wielka Brytania 2017*** *(nasza recenzja na sąsiedniej stronie)*
- ***„Życzenie śmierci", reż. Eli Roth, USA 2018***
- ***„Znikasz", reż. Peter Schønau Fog, Dania 2017***
- ***„Ciche miejsce", reż. John Krasinski, USA 2018***

eprasa.pl c7db8fdf58

Koniec przemocy?

Europa uwielbia reżyserów, którzy zaliczyli czołowe zderzenie z amerykańskim przemysłem filmowym. Dlatego nie zdziwiła mnie wieść, że najnowsze dzieło Lynne Ramsay na festiwalu w Cannes oklaskiwano na stojąco (choć pokazała wersję roboczą). Cokolwiek by sądzić o snobach ze Starego Kontynentu, „Nigdy cię tu nie było" to film frapujący. Okrucieństwo miesza się w nim z niewinnością, weryzm z halucynacją, eksperymenty z aluzjami do klasyki kina. Trudno uniknąć porównań do „Taksówkarza" i „Leona zawodowca", jest też cytat z „Psychozy" Hitchcocka.

Główny bohater, pokryty bliznami weteran wojenny, dźwiga na karku niejedną traumę. Wyrywa strony z czytanych książek. Nerwy ma ze stali, z drugiej strony jest nabuzowany agresją. Masakruje młotkiem złych ludzi, za co płacą mu inni źli ludzie. Prawdę powiedziawszy, Joe przy życiu trzyma tylko konieczność opieki nad zniedołężniałą matką. Aż do dnia, gdy rozprawa z szajką pedofilów okaże się czymś więcej niż rutynowym zadaniem.

★★★★★☆
REŻ. LYNNE RAMSAY
„NIGDY CIĘ TU NIE BYŁO"
WIELKA BRYTANIA/FRANCJA/USA 2017

wyst. Joaquin Phoenix, Judith Roberts, John Doman

To jeden z filmów, w których ważniejsze od tego, co się opowiada, jest to, jak się opowiada. Joaquin Phoenix gra przetrąconego kilera całym sobą. Dzielnie wspierają go Thomas Townend (zdjęcia) i Jonny Greenwood (muzyka). Bez nich Ramsay nie odwinęłaby się tak zgrabnie siepaczom z USA.

©℗ ***Wiesław Chełminiak***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SKANDYNAWSKI SPLEEN

Nie do wiary: tak wiele jest dobrych rzeczy w tym filmie, a w jakże przeciętną całość się składają. Niezły jest pomysł, by w roli detektywa Harry'ego Hole'a (bohatera serii powieści Jo Nesbø) obsadzić Michaela Fassbendera. Kapitalne są cudownie filmowane norweskie krajobrazy, świetna jest muzyka, mamy też sporo ciekawych aktorów na drugim planie. Cała ta hollywoodzka wystawność nie przystaje do niespecjalnie zajmującej intrygi. Główny bohater jest zadziwiająco jednowymiarowy (a przecież Harry Hole był wielkim atutem powieści), akcja posuwa się niemrawo, a scenariusz (po wielu przeróbkach) nie sprzedaje intrygi w przykuwający uwagę sposób. Wiele scen nie klei się ze sobą, kilka wątków zostało rozpoczętych, lecz niezamkniętych. Mógł to być klasyk nordic noir w klimacie prozy Thomasa Harrisa, wyszło rozczarowanie. Jest atmosfera, nie ma filmu. Będzie kontynuacja?

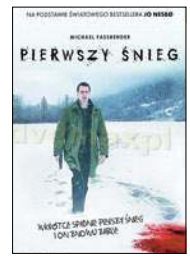

wyst. Michael Fassbender, Rebecca Ferguson, Charlotte Gainsbourg

★★☆☆☆☆
REŻ. TOMAS ALFREDSON
„PIERWSZY ŚNIEG"
WIELKA BRYTANIA/USA 2017, FILMOSTRADA

BARDZO PŁASKA LINIA

Oryginalnym, inteligentnym thrillerem nazwał amerykański krytyk Roger Ebert film Joela Schumachera z 1990 r. Był tam też element fantastyki i przede wszystkim świetna obsada: Julia Roberts, Kevin Bacon, Oliver Platt, William Baldwin, Kiefer Sutherland. Ten ostatni powrócił (już w innej roli) w remake'u, który w odróżnieniu od oryginału ześlizguje się w standardowy horror. W dodatku aktorzy są gładcy i płascy jak własne makijaże. Wszystko jest tu nowocześnie eleganckie i gładkie, ale tkwi w tym jeden kłopot – właściwie niemal od samego początku jakoś niespecjalnie się całą historią przejmujemy. Grupka studentów wprowadzających się celowo w stan śmierci klinicznej, by sprawdzić, „co jest po tamtej stronie", robi wrażenie rozwydrzonych dzieciaków, a morał całej opowieści (wybacz sobie sam) nie robi już żadnego wrażenia.

©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

wyst. Ellen Page, Diego Luna, Nina Dobrev, Kiefer Sutherland

★★☆☆☆☆
REŻ. NIELS ARDEN OPLEV
„LINIA ŻYCIA" („FLATLINERS")
USA 2017, IMPERIAL

GRA TYGODNIA: „SURVIVING MARS"

★★★★☆☆

Na Księżyc prędko nie wrócimy, a od misji na Marsa dzielą nas dekady. Co zrobić, jeśli ktoś nie możne jednak żyć bez dreszczyku eksploracji? Zawsze można sięgnąć po strategię ekonomiczną „Surviving Mars". Dzieło bułgarskich programistów to solidnie wykonana, choć przewidywalna w swojej strukturze symulacja zakładania samodzielnej kolonii na Czerwonej Planecie. Gra oferuje możliwość wyboru sponsora naszej operacji, który określi akcenty działalności (nauka czy czysty biznes?). Dalej wszystko jak w kanonie – konstruowanie kolejnych elementów naczyń połączonych, które uczynią Mars drugim domem.

©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Haemimont Games/Paradox*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *7+*

eprasa.pl c7db8fdf58

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Powrót Jana Rybowicza

W Polsce można być wybitnym poetą czy pisarzem z Krakowa, Gdańska, ostatecznie z Warszawy, a najlepiej z Paryża czy Nowego Jorku. Jednak z Lisiej Góry? Wykluczone. Miejsce zamieszkania, które stało się też miejscem jego wiecznego spoczynku, miało zdeterminować życie i twórczość Jana Rybowicza, autora ciekawych, oryginalnych opowiadań i wierszy. Zmarł w roku 1990 w wieku 41 lat. Zanim zapił się na śmierć, zdążył opublikować cztery zbiory opowiadań i trzy tomy poetyckie.

W wierszu „Życiorys" pisał:

Zacząłem umierać
26 maja 1949 roku w Koźlu,
o trzynastej z minutami
prawdopodobnie w niedzielę.
Urodziłem się
18 listopada 1976 roku w Krakowie
na łamach „Gazety Krakowskiej".
Moim ojcem jest William Faulkner.
Moją matką jest Maria Jasnorzewska-
-Pawlikowska.
Ojcem chrzestnym Willy Szekspir,
zresztą nieżyjący już od około
trzystu lat.
Moi bracia
odkąd zostali poetami,
zadzierają nosa.
Mimo to
znoszę ich.

To ostatnie przychodziło mu z trudem. Józefa Barana, bliskiego mu przecież poetę (a wielu takich nie było), spostponował w wierszu „Moja kochana miłość":

Poeta Józef Baran nadal uważa,
że nie umiem pisać wierszy,
ale pierdolę to,
on też nie umie.

Zrażał do siebie ludzi także swoją instynktowną wiarą w znaczenie tego, co pisze, w przeświadczenie, że jest to dobre. Że jest to więcej niż dobre, o czym możemy się obecnie przekonać z lektury tomu „Zwariować z życia", na który złożyły się opowiadania ze zbioru „Wiocha Chodaków" wzbogacone o opowiadanie tytułowe i, mające swoją legendę, „Listy do Elżbiety".

FOT. ARCHIWUM

Wcześniej już znalazła swoich odbiorców, i to liczonych w tysiące, poezja Rybowicza, a to dzięki Krzysztofowi Myszkowskiemu i zespołowi Stare Dobre Małżeństwo, który nagrał trzy płyty ze śpiewanymi wierszami twórcy „Być może to". Dwie inne płyty z tekstami Rybowicza firmuje The Gruz Brothers Band.

W Lisiej Górze pod Tarnowem, gdzie Rybowicz mieszkał, miał więcej wrogów niż przyjaciół. Sąsiadom nie podobało się, że przedstawiał ich w swoich – dla nich czytelnych – opowiadaniach bez retuszu, pokazując takimi, jakimi byli naprawdę. Nie doceniano, nie szanowano pisarza bez pieniędzy, za to często pijanego, bo zalkoholizowanego od lat młodzieńczych. I nieprzypadkowo artystyczne zjazdy na cześć Jana Rybowicza odbywały się w sąsiednim Śmignie, a nie w Lisiej Górze nazywanej przez autora „Zwariować z życia" „wiochą Chodaków".

Na takim zjeździe w 2007 r., wspomina we wstępie do wydanej właśnie przez PIW książki Józef Baran, „zajrzeliśmy do starego domu, ogołoconego przez śmierć z rodziców Janka, którzy też przenieśli się za synem do »lepszego świata«. Izdebka pisarza – pusta i zagrzybiona. Raz po raz wpadaliśmy w dziury przegniłej dykty podłogowej. Zdanie, które powiedział wtedy lider Starego Dobrego Małżeństwa, zapamiętam na zawsze: »Nie jest to salon Agnieszki Osieckiej«, ale właśnie dlatego uważam, że większą sztuką będzie przywrócenie Rybowicza jako poety niż dopisywanie mu legendy w stylu Osieckiej".

Był twórcą niepokornym w całym tego słowa znaczeniu, przy tym nieskończenie naiwnym. Zabiegał o druk w pismach zarządzanych przez partyjny aparat, ale w korespondencji do redakcji ozdabiał listy hasłami w rodzaju: „PZPR do psychiatry!". W efekcie po 13 grudnia 1981 r. został internowany w Załężu koło Rzeszowa. O dziwo, był z tego zadowolony: miał papierosy i pieniądze na „wypiskę", czytał książki z więziennej biblioteczki, nie pił i dobrze sypiał, utwierdzając się w przekonaniu, że – jak pisał w liście z ośrodka dla internowanych – „żadna WOJNA nie trwa wiecznie. Nie siedzimy nadaremno, na pewno!".

W rozmowie z Józefem Baranem opowiadał swoją ulubioną anegdotę o pewnej nobliwej pani, która przed portretem swego eksmęża, z pewnością bandyty, tłumaczy stojącemu obok młodzieńcowi, być może bratankowi: „Patrz, twój wujek wyróżnił się jednym. Zostawił świat o wiele gorszy, niż go zastał". „– Rozumiesz? – pytał Rybowicz. – No, ja nie chciałbym zostawić świata gorszego, niż go zastałem. Trzeba coś dla kogoś zostawić. Dobrego".

Nie wiedział, biedak, że to nie tylko od niego zależy. Że może od niego będzie to zależało w najmniejszym stopniu. ©℗

★★★☆☆☆
JAN RYBOWICZ „ZWARIOWAĆ Z ŻYCIA"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 2018

eprasa.pl c7db8fdf58

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W krajach urojonych

Warto tę książkę przeczytać już dla jednego rozdziału, w którym polski reporter dociera w Odessie do rodziny Igora Iwanowa, aktywisty Prawego Sektora, który został zastrzelony przez prorosyjskich prowokatorów. Najprawdopodobniej miał to być początek operacji na wzór tej z Ługańska i Doniecka, a pretekstem do buntu „separatystów" – rzekome zbrodnie „ukraińskich faszystów". Rzeczywiście do przelewu krwi doszło, bo po zabójstwie Iwanowa prorosyjscy działacze Antymajdanu zostali zaatakowani, a budynek, w którym się zabarykadowali, został obrzucony koktajlami Mołotowa. Propagandyści ze Sputnika do dziś lansują teorię: „Bandyci mordowali bezbronnych obywateli", rozmówcy Grzywaczewskiego opowiadają, jak próbowano ratować ludzi z pożaru (40 ofiar śmiertelnych). A opowieść o Iwanowie z kolei nie potwierdza żadnych stereotypów, bo wcale z niego nie był „banderowiec" czy „faszysta".

Życie codzienne w Naddniestrzu, opowieść o Abchazji, w której „wszyscy się znają", paradoksy konfliktu w Donbasie i podwójnych, a może po prostu rozszczepionych tożsamości, wpływ polityki na życie uczuciowe i towarzyskie oraz prywatnych sentymentów na działania polityczne. Osetia Południowa i Górski Karabach, który kiedyś zajmował tak wiele miejsca w czołówkach serwisów informacyjnych, a dziś jest zapomniany. Grzywaczewski wędruje przez „państwa nieuznawane", które powstały po upadku sowieckiego imperium wskutek dziwacznych skurczów porodowych powołujących do życia twory absurdalne, skazane – zdawać by się mogło – na natychmiastową śmierć, a mimo to wciąż istniejące.

„Wszystkie te narody żyjące w państwach nieuznanych są więc z jednej strony przedmiotem imperialnej rozgrywki, z drugiej – zakładnikami swoich obsesji nacjonalistycznych" – mówił w wywiadzie dla portalu Krytyka Polityczna, zauważając jednocześnie, że owe obsesje podsycane są przez Moskwę i że innym ważnym spoiwem jest dla tych „krajów urojonych" (to już mój termin) nostalgia za Związkiem Sowieckim. Czyni to z mieszkańców Naddniestrza ofiary dwóch imperializmów: tego minionego, czerwonego, i tego współczesnego, putinowskiego. Dla tego ostatniego są tylko użytecznymi pionkami w geopolitycznych rozgrywkach. Dla polskiego reportera – ludźmi z krwi i kości, których spotkał w swoich peregrynacjach, fascynującymi bohaterami, często ofiarami cudzych wojen. To ważna książka. Zawsze ciekawa, a czasem także rozdzierająco smutna. ©℗

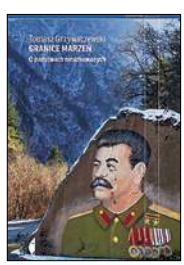

★★★★★☆
TOMASZ GRZYWACZEWSKI
„GRANICE MARZEŃ"
CZARNE 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Podtytuł mówi wszystko: „Jak dobrze żyć z zaburzeniem afektywnym dwubiegunowym". Tym, co czyni tę książkę naprawdę ciekawą, jest to, że jeden z autorów to pacjent opisujący własne zmagania z chorobą.

PIOTR BUCKI, WOJCIECH PĄCZEK
„ZŁAP RÓWNOWAGĘ"
SMAK SŁOWA

Dlaczego często błądzimy, podejmując decyzje? Dlaczego uważamy coś za oczywiste, skoro dane podpowiadają coś innego? Autor „Moneyball" opowiada o narodzinach teorii perspektywy (Nobel z ekonomii dla Kahnemana w 2002 r.).

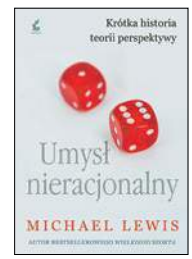

MICHAEL LEWIS
„UMYSŁ NIERACJONALNY"
SONIA DRAGA

Operację desantową „Market Garden" znamy z książki i filmu „O jeden most za daleko". Kershaw pokazuje ją z perspektywy niemieckiej, opowiadając, jak zbieranina rozbitych oddziałów stawiła opór elitarnym jednostkom alianckim.

ROBERT KERSHAW
„WE WRZEŚNIU NIE PADA ŚNIEG"
REPLIKA

Wznowienie książki zmarłego w 1996 r. astronoma i popularyzatora nauki, autora słynnej powieści „Kontakt". Sagan kreśli wizję kolonizacji Układu Słonecznego i przekonuje, że to konieczność dla gatunku ludzkiego. Klasyka. ©℗

poleca Piotr Gociek

CARL SAGAN
„BŁĘKITNA KROPKA"
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Małgorzata Musierowicz „Ciotka zgryzotka" (Akapit-Press) – 22. już tom cyklu „Jeżycjada", jedynego w swoim rodzaju fenomenu literackiego.***
2. ***Remigiusz Mróz „Testament" (Czwarta Strona) – siódmy tom kryminalnego cyklu, którego bohaterem jest Joanna Chyłka.***
3. ***Remigiusz Mróz „Nieodnaleziona" (Filia) – ukochana Damiana pojawia się 10 lat po zaginięciu. Kto stoi za tą zagadką?***
4. ***Adam Bielecki „Spod zamarzniętych powiek" (Agora) – znany i kontrowersyjny himalaista (akcja pod Broad Peak) opowiada o swoich dokonaniach.***
5. ***Anne Applebaum „Czerwony głód" (Agora) – autorka „Gułagu" opowiada o ludobójstwie dokonanym na ludności Ukrainy przez Stalina w latach 1931–1933.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Bookszpan)

eprasa.pl c7db8fdf58

Polki z grupy Tulia przypadły do gustu nawet brytyjskiemu zespołowi Depeche Mode FOT. TULIA/FACEBOOK

Folk ze Szczecina podbija świat

Cztery urocze, młode Polki z grupy Tulia nie dają o sobie zapomnieć. W ubiegłym roku podbiły światowy Internet wykonaniem „Enjoy the Silence" Depeche Mode i serca muzyków tej brytyjskiej grupy. Kobiety ubrane w ludowe stroje, odmalowane jak typowe Słowianki, bujające biodrami w rytm wygrywany przez skrzypce i harmonię brawurowo, pod folkową nutę, zinterpretowały chyba najbardziej rozpoznawalny kawałek Depeche Mode. YouTube zrobił swoje, nagranie obejrzeli członkowie zespołu i pochwalili się nim na swojej oficjalnej stronie na Facebooku. Ponad pół miliona wyświetleń skłoniło panie do nagrania profesjonalnego teledysku coveru, który zyskał jeszcze większy rozgłos i był oglądany ponad milion razy.

Kolejny cover „Nieznajomego" Dawida Podsiadły w wykonaniu grupy ze Szczecina, udostępniony pod koniec lutego, obejrzano już ponad 3 mln razy. Wśród lawiny pochlebnych komentarzy warto przytoczyć opinię samego Dawida Podsiadły: „Pięknie hipnotyzujący ten cover. Ogromny szacunek za wideo. Widać, że poświęcono temu mnóstwo pracy i pasji, i to ogromnie doceniam. Efekt jest wspaniały; bardzo poruszające i po prostu piękne. Przyjemnie posłuchać takiego »Nieznajomego«. Tulia, wysyłam dużo dobrej energii. Magia".

I rzeczywiście – chwalić należy nie tylko folkowe serce zespołu, lecz także robiące wrażenie klipy oraz świetną jakość nagrań. W najbliższych tygodniach zespół wyda debiutancką płytę, na której będą i produkcje własne, i podbijające serca również zagranicznych odbiorców covery. Na płycie usłyszymy utwory np. Metalliki, Kate Bush, Leonarda Cohena czy Coldplay. Takie klasyki w tak niecodziennym wykonaniu i głosy młodych, ale doświadczonych już wokalistek (Joanny Sinkiewicz, Dominki Siepki, Patrycji Nowickiej i Tulii Biczak) mogą sprawić, że zespół podbije nie tylko polski rynek. Aż trudno uwierzyć, że wszystko zaczęło się w październiku 2017 r. od wrzucenia amatorskiego nagrania na YouTube. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Trzy kolory elektroniki

Igor „Boxx" Pudło jest weteranem sceny elektronicznej znanym m.in. z dokonań Skalpela. „Fyodor", piąty album solowy Igora, inspirowany jest twórczością Fiodora Dostojewskiego.

Autor początkowo pracował nad muzyką do spektaklu na podstawie „Zbrodni i kary". Po upadku przedsięwzięcia stworzył concept album oparty na wątkach i postaciach z książek rosyjskiego pisarza. Na koniec niektórych bohaterów prozy zastąpił postaciami z muzycznej popkultury, takimi jak Ian Curtis, John Lennon, Syd Barrett, Brian Eno czy zespoły Velvet Underground i Chemical Brothers. Jeden z utworów zawiera nawet odniesienia do gry komputerowej „House of the Dead". Wszystkie te zawiłości można odczytać z tytułów kompozycji i dźwiękowych zapożyczeń, bowiem album zawiera wyłącznie muzykę instrumentalną.

Pudło na starcie wsamplował w nowoczesne bity chóry prawosławne. Następnie poniosła go wyobraźnia. To nie jest łatwa muzyka. Różnorodność środków wyrazu odzwierciedla bogactwo tematów literackich.

Utwory przesycają emocje, a niektóre z nich przypominają muzyczny lot epileptyka. Chwile dźwiękowego wytchnienia obrazują mistyczną stronę twórczości Dostojewskiego.

Współczesna, ambitna elektronika ma dziś wiele wspólnego z poważną muzyką współczesną. Jednocześnie dzięki transowemu charakterowi sprawdza się na tanecznych parkietach. ©℗

★★★★★

IGOR BOXX
„FYODOR"
TOOLBOXX

★★★★

JB DUNCKEL
„H+"
SONY

20 lat temu francuski duet Air oczarował swoją wersją „łatwo słuchalnej" elektroniki. Na solowym albumie JB udanie nawiązuje do „Moon Safari". Piosenki tak pięknie kołyszą, że natychmiast odpływamy w sferę galaktyczno-melancholijnych marzeń. ©℗

★★★

LINIA NOCNA
„ZNIKAM NA CHWILĘ"
AGORA

Warszawski duet mieszany płynie między późnonocną dyskoteką a porannymi miłosnymi rozterkami. Mikołaj za mocno „bituje", a Monika za monotonnie cierpi. Ratunkiem byłaby wysublimowana produkcja, choćby w stylu Air. Laptop to za mało. ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

XXIV TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

XXIV TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

12 – 15 kwietnia 2018

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

ARKADY KUBICKIEGO

Nagroda FENIKS 2018

Informacje i zgłoszenia

swk@swk.pl www.swk.pl

Patron medialny:

DO RZECZY

ORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE WYDAWCÓW KATOLICKICH

WSPÓŁORGANIZATOR

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl c7db8fdf58

FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl c7db8fdf58

Z dr. Piotrem Dardzińskim, wiceministrem nauki i szkolnictwa wyższego
rozmawia Stefan Sękowski

Koniec socjalistycznego feudalizmu

STEFAN SĘKOWSKI: Rząd przyjął Ustawę 2.0. Są jednak wątpliwości, czy parlament ją uchwali.

DR PIOTR DARDZIŃSKI: Z czego wynikają te wątpliwości?

Że nie złamiecie oporu grupy starszych profesorów i ich środowiska.

Myśli pan, że starsi profesorowie i ich środowisko powinni rozstrzygać o tym, czy przeprowadza się reformę szkolnictwa wyższego?

Nie powinni, ale czasem rozstrzygają. A krytyka była surowa.

A kogo jest więcej – starszych profesorów czy młodych, ambitnych pracowników naukowych? I kto jest przyszłością polskiej nauki?

To wywiad ze mną czy z panem?

(śmiech).

Oczywiście młodszych jest więcej, ale zastanawiam się, kto ma więcej szabel w Sejmie i większy wpływ na prezesa.

Przekornie podpytywałem, bo polityka polityką, ale powinniśmy się kierować dobrem i interesem całego szkolnictwa wyższego. Czy system ma służyć „nadzwyczajnej kaście", jakby powiedzieli złośliwi, czy powinien służyć wszystkim? Uprawianie nauki z natury rzeczy jest hierarchiczne, ale pytanie brzmi: Czy ta hierarchia opiera się na skostniałym systemie stopni i tytułów, który jest treningiem pokory oraz grzeczności, czy na dorobku naukowym, zdolności budowania zespołów badawczych i realizowania ambitnych projektów? Powinniśmy myśleć o dobrych warunkach pracy dla wszystkich, a nie tylko tych, którzy są na szczycie hierarchii.

145 ludzi nauki napisało w liście do ministra Gowina, że „profesura dydaktyczna to wskrzeszenie żałosnej funkcji »starszego wykładowcy«, znanej z doby PRL. Wykładać na uniwersytecie może tylko ktoś, kto sam prowadzi pracę badawczą".

Wśród sygnatariuszy listu znajdują się wybitni naukowcy, których bardzo szanuję, ale wydaje mi się, że zanadto kierują się emocjami. Pod listem podpisało się 145 osób, a ministerstwo ma na piśmie poparcie wszystkich instytucji, które są ustawowo uprawomocnione do reprezentowania szkolnictwa, czyli Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych, Konferencji Państwowych Szkół Zawodowych, ustawę popierają także środowisko mniejszych i średnich uczelni, Parlament Studentów, Niezależne Zrzeszenie Studentów. W konsultacjach uczestniczyło 7 tys. osób. Mówię to po to, żeby pokazać skalę – tu list stu kilkudziesięciu naukowców, tam tysiące osób popierających.

Są też tacy, którzy się nie podpisali pod listem, a mimo to go popierają.

Oczywiście pewnie liczba nieujawnionych sceptyków jest większa, ale jestem przekonany, że zdecydowanie więcej naukowców jest za zmianami, a nie za obroną status quo. Musimy podnieść jakość pracy naukowej i poziom studiów. Ustawa rzeczywiście wprowadza nową ścieżkę kariery dydaktycznej, bo dydaktyka jest jedną z podstawowych misji uczelni wyższych. Jednym z priorytetów jest właściwy sposób uprawiania dydaktyki, a nawet przywrócenie jej doskonałości po czasach, gdy kształciliśmy masowo. Studenci mają prawo do tego, by uczyli ich ludzie, dla których dydaktyka jest nie tylko pasją, lecz także procesem badawczym. Wiem, że wielu wykładowców nie może sobie tego wyobrazić, bo wykłada od 30 lat z tych samych karteczek. Pan redaktor na pewno spotkał naukowców, którzy pisali świetne książki, ale nie byli mistrzami dydaktyki…

… albo wyręczali się doktorami. I takich, którzy byli świetnymi nauczycielami, ale bez habilitacji wylatywali z uczelni.

Każdy naukowiec musi prowadzić badania, ale jest pytanie o proporcje. Stąd tworzymy trzy ścieżki rozwoju – naukową, dydaktyczną i wdrożeniową. Ta ostatnia jest dla tych, którzy mają świetne wyczucie życia wokół uczelni, np. badają kwestie uzależnień, problemów osób niepełnosprawnych czy kwestię smogu. I nie piszą wielkich monografii, ale ich badania mają wpływ na decyzje np. instytucji publicznych albo przedsiębiorców.

W jaki sposób dydaktycy będą zachęcani do rozwoju?

Dydaktyk powinien mieć świetne oceny ewaluacyjne od studentów, którzy często bardzo brutalnie oceniają, czy wykłady są dobre, czy złe.

Często też niesprawiedliwie.

Od tego jest mądry przełożony, by to wyważyć. Są też inni koledzy dydaktycy. Dydaktyk powinien się cały czas uczyć. Ministerstwo uruchamia polską

eprasa.pl c7db8fdf58

wersję MOOC – platformy edukacyjnej, na której wykładowcy mogą udostępniać swoje kursy on-line i promować dorobek swoich uczelni. Można wymagać od nich, by byli tam obecni lub żeby wykładowcy uruchamiali kursy odpowiadające na potrzeby studentów i wyzwania, które nas otaczają. Dzisiaj zmuszamy wybitne jednostki, by prowadziły proste zajęcia. Z perspektywy kogoś, kto ociera się o Nobla, prowadzenie kursu na trzecim roku licencjatu jest powtarzaniem abecadła. Lepiej, żeby taki profesor prowadził seminaria doktoranckie i swoje zespoły badawcze, a nie bił się o godziny do pensum. Ustawa umożliwia osobom, które organizują strukturę i kulturę uczelni, odpowiednie dobieranie pracowników instytutów, żeby byli tam i dobrzy naukowcy – bo dzięki nim otrzymają wysoką dotację, i dydaktycy – bo dzięki nim będą się pojawiać studenci.

Niektórzy profesorowie twierdzą, że rektorzy są za tą ustawą, bo ona wzmocni ich władzę na uczelni.

Prawdą jest, że chcemy wzmocnić rolę rektora, ale za tym idzie zwiększenie jego odpowiedzialności. Chcemy dać szansę działania ambitnym rektorom, którzy mają związane ręce. Dzisiaj, gdy dzieje się coś złego, to rektor mówi, że on nie jest odpowiedzialny, tylko dziekani. Ci zaś mówią, że oni są odpowiedzialni tylko za swój wydział. Nie ma kogo rozliczać z odpowiedzialności za całą uczelnię.

Dzisiaj o środki walczą katedra filozofii przyrody ożywionej z tą od filozofii przyrody nieożywionej, a gdy przeniesie się spór wyżej, walczyć ze sobą będą całe wydziały.

Debaty i spory są naturalne, żeby jednak kończyły się zgodą, konieczne są jasne i transparentne zasady. Nasz system szkolnictwa wyższego w zdecydowanej części finansowany jest ze środków publicznych. Ministerstwo musi dbać o to, by te pieniądze były wykorzystywane we właściwy sposób, dlatego konieczna jest ocena tych, którzy je wydają. Dzisiaj oceniamy wydziały, czyli części uczelni, i do nich trafiają środki, stąd te wojny wewnętrzne. Nowy system ewaluacji będzie powodował, że debata przeniesie się z poziomu „mój wydział – moje księstwo" na „moja dyscyplina – mój dorobek naukowy". Jeśli będą się budowały jakieś sojusze, to wokół tych, którzy będą mieli największy dorobek. Żeby zdobywać większe środki, trzeba będzie robić postępy, mieć świetny dorobek naukowy albo wdrożenia, albo dydaktykę.

Po co choćby filologowi polskiemu publikacje za granicą, jeśli nawet nie jest w stanie ich mieć?

Rozumiem, że to pytanie to prowokacja, bo na serio nie da się pomyśleć, że nikogo na świecie nie interesuje język polski. Skoro na polskich uczelniach mamy filologie obce, czasami bardzo egzotyczne, to język polski wydaje mi się co najmniej równie ważny, by nim zainteresować środowisko międzynarodowe. Trudno mi sobie wyobrazić, że filolodzy mogą nie być zainteresowani jednym z podobno najtrudniejszych języków na świecie. Już to nas wyróżnia i czyni ciekawym przedmiotem badań! Jednak żeby zainteresować innych nauką o naszym ojczystym języku, musimy publikować o nim w innych językach. Zresztą w międzynarodowych bazach Scopus i Web of Science, które będą jednym z elementów oceny dorobku naukowego, jest kilkanaście czasopism poświęconych językowi polskiemu, takich jak wydawany po polsku „Język Polski" Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego lub polsko-angielskie „Teksty Drugie" Instytutu Badań Literackich.

Ministerstwo obudowuje się poparciem organizacji młodzieżowych i studenckich. Mam wrażenie, że przedstawiacie to jako spór pokoleniowy.

Spór pokoleniowy czasami polega na tym, że w miejsce jednych koterii przychodzą inne, młodsze. Nam chodzi o coś zupełnie innego, o zmianę zasad, tak by nowy system promował najlepszych bez względu na wiek. Dzisiaj mamy coś na kształt socjalistycznego feudalizmu, w którym wierzy się, że za pomocą ustawy można ludzi zmusić do pracy i kazać im, by co osiem lat byli mądrzejsi i bronili kolejne stopnie. W takim razie czemu nie ustalić, że sześć lat po profesurze ma być Nagroda Nobla? Mielibyśmy pełno noblistów w Polsce! Nauki nie da się organizować za pomocą administracyjnych nakazów. Obecnie trzeba ludzi zmuszać do tego, by się rozwijali, bo często najlepsi odeszli z uczelni, a ci, którzy zostali, nauczyli się, że nie należy się wychylać, tylko grzecznie czekać. Niejeden doktor usłyszał, że jest za młody na habilitację. W nowym systemie jeśli uczelnia uzna, że potrzebuje doktora, który jest świetnym dydaktykiem albo odnajduje się w zespole badawczym, to nie będzie go zmuszać do robienia habilitacji, ale rozliczać z najnowszego dorobku. Właściwie w żadnym zachodnim kraju nie ma habilitacji w takim kształcie jak u nas. Dzisiaj, patrząc po stopniach i tytułach, wszystkie nasze uczelnie są lepsze od Harvardu, tylko że oni mają więcej noblistów. Dzięki nowej ustawie na polskich uczelniach, podobnie jak na tych najlepszych, liczyć się będzie jakość pracy, a nie papier.

W Sejmie będzie pewnie ostra walka o ustawę. O co nie dacie jej ociosać?

Żadna z wprowadzanych zmian nie może zmienić istoty tej ustawy. Podmiotem mają być uczelnie, ewaluacja zachodzi w dyscyplinach, uczelnie mają mieć samodzielność w ustalaniu swojej struktury. Nie chcielibyśmy odejścia od parametru doskonałości, należy jednak zwrócić uwagę, że w ustawie są mechanizmy, które wspierają nie tylko tych, którzy już dzisiaj są wysoko w rankingach, lecz przede wszystkim tych, którzy się będą najszybciej rozwijać.

Nie chcielibyście. Jednak jeśli posłowie przycisną? Opór jest duży.

Mamy do czynienia z oporem niewielkiej grupy naukowców, którzy – jestem przekonany – po dokładniejszym poznaniu ustawy są w stanie się przekonać do proponowanych rozwiązań, a szczególnie gdy zobaczą, jak one działają.

Najpierw trzeba ją uchwalić.

Proszę pamiętać, że to okręt flagowy ministra i wicepremiera w rządzie, za którym stoi koalicja Zjednoczonej Prawicy, której częścią jest Porozumienie Jarosława Gowina. Porozumienie solidarnie popierało wszystkie, często bardzo trudne reformy, teraz wprowadzamy projekt, który realizuje program Zjednoczonej Prawicy, i jesteśmy przekonani, że możemy liczyć na podobną solidarność.

Uchwalenie Ustawy 2.0 jest warunkiem dalszego trwania koalicji?

Nie ma dylematu: ustawa czy koalicja, bo ona jest dzisiaj de facto wspólnym projektem.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Piotr Dardziński
– politolog, polityk, wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, doktor nauk politycznych

eprasa.pl c7db8fdf58

Marek Gróbarczyk

Autostrady rzeczne to konieczność

Z nieskrywaną przyjemnością przeczytałem tekst w tygodniku „Do Rzeczy” (13/2018) pt. „Zapomniana autostrada” autorstwa pana Adama Zubka. Chciałbym podziękować za niezwykle interesujące przypomnienie roli, którą Wisła odgrywała niegdyś w gospodarce naszego kraju. Tekst ten przywołuje piękną historię naszej największej rzeki i jej walorów transportowych. Chciałbym zapewnić, że wkładamy dużo wysiłku, by proces wieloletniego zapominania o tej autostradzie odwrócić.

Tak naprawdę żaden rząd po 1989 r. nawet nie próbował podjąć tego tematu. Z jednej strony nie ma się czemu dziwić, ponieważ wieloletnie zaniedbania w dziedzinie żeglugi śródlądowej powodują, że trzeba się zmierzyć z dużym wyzwaniem. Jednakże z drugiej strony stopień trudności zagadnienia nie powinien zniechęcać instytucji państwa. Kto bowiem, jeśli nie one, powinny się mierzyć właśnie ze sprawami trudnymi?

Warto przypomnieć, że jako pierwsze od bardzo wielu lat z kwestią żeglugi śródlądowej postanowiło się zmierzyć Prawo i Sprawiedliwość. Znalazło to swoje odzwierciedlenie w programie wyborczym z 2014 r., w którym podkreślono znaczenie żeglugi śródlądowej jako elementu strategii rozwoju transportu multimodalnego, czyli wykorzystującego jednocześnie kilka metod przewożenia towaru. Znaczenie tej dziedziny transportu dla nowego rządu zostało też podkreślone nazwą Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej.

Rzeczny transport jako element spójnej wizji transportowej Polski znalazł swoje miejsce także w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, w przyjętych przez Radę Ministrów w czerwcu 2016 r. założeniach na lata 2016–2020, z perspektywą do roku 2030. Dodatkowymi atutami są fakt przejęcia w tym roku przez MGMiŻŚ działu administracji rządowej dot. gospodarki wodnej i powołanie Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie, co w jednej instytucji skupia zarządzanie wszystkimi wodami w naszym kraju.

Cieszę się, że pan Zubek wspomniał o ratyfikowaniu przez Polskę ONZ-owskiej konwencji AGN, która zobowiązuje nasz kraj do poprawy żeglowności polskich rzek. Dokument ten daje też możliwość ubiegania się o unijne środki na inwestycje rzeczne. Jest to o tyle ważne, że przez nasz kraj przebiegają aż trzy międzynarodowe drogi wodne: E30 łącząca Dunaj z Morzem Bałtyckim, E40 łącząca Bałtyk z Morzem Czarnym oraz E70 łącząca belgijską Antwerpię z litewską Kłajpedą.

Autostrady rzeczne są niezbędne dla polskich portów, które co roku biją rekordy w ilości przeładowanych towarów. Plany rozbudowy dodatkowo zwiększają zapotrzebowanie na rozwój infrastruktury, która będzie w stanie wywieźć z Wybrzeża coraz większą ilość towarów. Rzeki są więc trzecią arterią, poza drogami i koleją, i są one na tyle istotnym rozwiązaniem, że porty same finansują tzw. studia wykonalności, czyli analizy, które dadzą odpowiedź na to, jakie inwestycje należy przeprowadzić, by polepszyć żeglowność rzek. Odpowiednio dla Odry jest to port Szczecin-Świnoujście, a dla Wisły – port Gdańsk.

Niestety, duża część polityków wciąż nie docenia możliwości, które niesie ze sobą mądre wykorzystanie polskich rzek. Doskonałym przykładem braku całościowej polityki wodnej jest działanie naszych poprzedników, którzy – by regulować rzeki – realizowali jedynie budowę wałów, a zbiorniki retencyjne odgrywały rolę zbiorników suchych. W taki sposób nie ma możliwości regulacji poziomu wody na rzekach, co jest istotne nie tylko dla żeglugi, lecz także dla zabezpieczenia przed suszą czy powodzią. Dopiero zmiana tej koncepcji i przebudowa zbiorników na tzw. zbiorniki mokre otwiera możliwości przed rozwojem tego transportu.

Aby doprowadzić do regularnej żeglugi, na rzekach w najbliższych latach powstaną stopnie wodne pełniące jeszcze kilka ważnych funkcji, takich jak np. ochrona przeciwpowodziowa. Ponadto każdy stopień wodny to elektrownia wodna i przeprawa przez rzekę, z których będą korzystać przede wszystkim lokalne społeczności. To oraz rozbudowa portów śródlądowych to szansa na dodatkowy impuls rozwojowy dla wielu regionów naszego kraju. Warto tu także zaznaczyć, że regularna żegluga rzeczna działa już np. na Kanale Gliwickim, gdzie od lipca 2017 r. barki regularnie przewożą węgiel ze śląskich kopalni do elektrociepłowni we Wrocławiu.

Autor tekstu o „zapomnianej autostradzie” pisze także o „dzikiej Wiśle” i „kapryśnych polskich rzekach”. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że taki stan rzeczy to w głównej mierze efekt braku wizji wykorzystania tych rzek i w konsekwencji pozostawienie ich samym sobie. To także argument ekologów, którzy twierdzą, że żegluga śródlądowa zagraża rzekom. Nic bardziej mylnego, ponieważ obecnie ten rodzaj transportu jest najbardziej ekologiczny, emituje pięć razy mniej gazów cieplarnianych niż auta, wywołuje mniej hałasu, a jedna barka może przewozić ładunek o wielkości 30 tirów. Potwierdzają to dokumenty Unii Europejskiej, m.in. Biała Księga Transportu, która zaleca, by do 2030 r. 30 proc. transportu przenieść na rzeki lub ewentualnie kolej, a do 2050 r. połowa całego transportu ma się odbywać wodami śródlądowymi lub na szynach. Ponadto w XXI w. istnieją rozwiązania budowlane, które pozwalają nie szkodzić faunie i florze, która żyje w pobliżu rzek.

W temacie żeglugi czerpiemy także doświadczenia z innych krajów europejskich, gdzie od wielu lat żeglugę śródlądową wykorzystuje się jako element transportu multimodalnego. Warto zdać sobie sprawę, że dzięki Wiśle i Odrze Polska też ma taką możliwość. Użeglugowienie polskich rzek to zadanie na kilka lat, jednak odpowiedzialny rząd musi podejmować działania już teraz po to, by za jakiś czas nie okazało się, że rozwój gospodarczy kraju wyhamował przez niewystarczające tempo inwestycji infrastrukturalnych. Autostrady rzeczne są więc szansą, by do tego nie dopuścić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ministrem gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej.

eprasa.pl c7db8fdf58

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nie hodujmy najemników

Niedawno spotkałem się z pewną dziennikarką, którą wywalono z TVP. Nie byłoby w tym nic ciekawego, bo ciągle kogoś skądś wywalają. Wywalali i będą wywalać. Interesujące jest to, że personalne przetasowanie na Woronicza rykoszetem uderzyło w dziecko tejże dziennikarki.

Otóż chłopiec, uczęszczający do szkoły podstawowej, przygnębiony przyniósł do domu informację o satysfakcji, którą wśród jego rówieśników wywołało zwolnienie mamy. Jak można się domyślić, 10-latkowie mają raczej w nosie, albo nawet i w innych częściach ciała, kogo zatrudnia, a kogo się pozbywa prezes Jacek Kurski. To ich rodzice radośnie celebrowali zwolnienie dziennikarki. A że byli mało dyskretni, a może nawet jakoś inspirowali swoje pociechy, te podzieliły się z kolegą informacjami o tym, jaka to okropna jest jego mama, jak to dobrze, że straciła pracę, i jak to świetnie, że będzie teraz głodować.

Z kolei parę miesięcy temu na Facebooku mój – wydawałoby się normalny, bez rzucających się w oczy cech zwyrodnialca – znajomy pochwalił się rozmową, którą odbył z synem. Otóż syn ów chodzi do klasy czy szkoły z dzieckiem Krzysztofa Ziemca. Znajomy, który nie ma najlepszego zdania o TVP oraz „Wiadomościach", wyjaśnił dziecku, że… nie powinno się zadawać z kolegą, którego ojciec jest „reżimowym" dziennikarzem. Kiedy to czytałem, nie byłem pewny, czy dobrze zrozumiałem wpis. Niestety, ile razy wgłębiałem się w niego ponownie, tylekroć chodziło w nim o to, że ojciec zabrania dziecku zadawać się z kolegą z powodów politycznych. Dodatkowo ojciec był dumny ze swego posunięcia oraz syna, który podobno zrozumiał jego racje. I obiecał nie zadawać się z młodym Ziemcem.

Jako dziennikarz rzadko o cokolwiek apelowałem, bo wiem, że medialne apele nie mają najmniejszego sensu. Jednak tym razem zrobię wyjątek, bo histeria polityczna sięga poziomu, którego jeszcze niedawno nie byłbym sobie w stanie wyobrazić. Apeluję zatem: nie mieszajmy w polityczne rozgrywki naszych dzieci. Nie przenośmy naszych konfliktów w świat 7-, 8-, 9- i 10-latków. Przecież normalnych dzieciaków w tym wieku one nie interesują i interesować nie powinny. Nie mówię, żeby z młodymi nie gadać o polityce. Nie mam też nic przeciw temu, żeby zabierać latorośle na marsze KOD, zebrania Klubów „Gazety Polskiej" czy wybory. Jesteśmy rodzicami, mamy prawo kształtować nasze dzieci. Jednak, do licha, nie szczujmy jednych dzieci przeciw innym!

Niech dzieciaki jak najdłużej żyją poza polityką. Ona i tak w końcu je pochłonie. Kiedyś dorosną i będą toczyć własne wojny. Ale nie róbmy z nich najemników w naszych. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Na skróty

Wiele jest rzeczy, które lubię w starym kinie amerykańskim, ale szczególnie fascynująca jest pochwała struktur i demokratycznych procedur. Jeden z mych najukochańszych obrazów – „Dwunastu gniewnych ludzi" Sidneya Lumeta – opowiada o posiedzeniu ławy przysięgłych, mającej osądzić chłopaka, który najprawdopodobniej zabił własnego ojca.

Sprawa wydaje się bezdyskusyjna, wszyscy się spieszą i chcą to mieć jak najszybciej za sobą, a jednak jeden z przysięgłych, osamotniony, w imię procedur i domniemania niewinności proponuje dyskusję. W jej wyniku chłopak nie zostaje skazany. Nie dlatego, że jest niewinny, jednak istnieje wystarczająco dużo wątpliwości, aby zasądzić karę śmierci.

Akceptacja państwa prawa zaczyna się od przyjęcia reguł

Pokusa chodzenia na skróty, stosowania reguł uproszczonych jest tak stara jak ludzkość. Ile rzeczy można by rozwiązać prędzej, efektywniej, taniej, skuteczniej? Pytanie tylko, czy byłaby to jeszcze demokracja.

Demokracja ze żmudnym procesem uzgadniania, dogadywania, kompromisu bywa okropna, mało wydajna, sprzyja popisom krasomówczym, uruchamia całe pokłady ambicji, głupoty i zabiera mnóstwo czasu. A jednak nikt niczego lepszego nie wymyślił. Zwłaszcza gdy chodzi o stanowienie prawa, i to nie z powodów doraźnych, ale na lata.

Ostatnie kontrowersje wywołane przez weta prezydenta dowodzą, że podchodząc emocjonalnie do określonych rozstrzygnięć, tracimy z oczu istotę, którą jest pełna poprawność prawna. Czy oznacza to, że sprzeciwiam się degradacji Jaruzelskiego i Kiszczaka? Ależ skąd! Uważam, że w latach 1989 lub 1990 należało ich osądzić pospołu z Urbanem i kto wie, czy nie zastosować obowiązującej jeszcze wówczas kary głównej. Podobnie mierzi mnie tolerancja wobec byłych esbeków, którzy po ćwierćwieczu transformacji mają się dużo lepiej niż bohaterowie opozycji. Tylko czy można zapewnić sprawiedliwość dziejową jedną ustawą? Potraktować wszystkich bez względu na rozmiar win identycznie? Czy nie sprawiedliwsza byłaby jakaś Komisja Prawdy i Pojednania, rozpatrująca każdy przypadek indywidualnie, tłumacząca wątpliwości na korzyść obwinionych czy wreszcie dopuszczająca niezbywalne w naszej cywilizacji prawo do obrony?

Wiem, że to byłoby kosztowne, długotrwałe, ale innego wyjścia nie ma. Akceptacja państwa prawa zaczyna się od przyjęcia reguł gry. Nawet jeśli przychodzi grać nam z szulerami.

Spokój, stanowczość, konsekwencja i cierpliwość w dłuższym dystansie czasowym dają więcej niż bieg na skróty. Zwłaszcza gdy potem przychodzi wycofywać się po własnych śladach. ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

PIĄTEK 13 KWIETNIA | 18:45 | TORWAR | WARSZAWA
DUMNI Z WAMI
RAJEWSKI · CELIŃSKI · JENEL · BISZCZAK · KASPERSKI
MIĘDZYNARODOWY MECZ K1
POLSKA VS ROSJA
DSF KICKBOXING CHALLENGE 14
BILETY NA WWW.DSF14.COM
DSF KICKBOXING CHALLENGE
Grupa DSF SERWIS PROFESJONALNY
SYMBO SPORTWEAR
RED IS BAD™
eprasa.pl c7db8fdf58

Towarzysz Kosmonauta

Sławomir Cenckiewicz

Mirosław Hermaszewski lubi budować mit pilota i kosmonauty przypadkowo wykorzystanego przez komunistów. Liczne dokumenty ukazują brutalną prawdę o jego komunistycznym zaangażowaniu i tajnej współpracy z WSW

Nie mam zamiaru wchodzić w prawne spory z prezydentem Andrzejem Dudą na temat kształtu tzw. ustawy degradacyjnej i podniesionych przez niego niedostatecznych gwarancji odwoławczych. Nie będę ukrywał, że nie tylko popierałem projekt przygotowany przez MON, lecz także osobiście służyłem wiedzą i pomagałem legislatorom w przygotowaniu ustawy. Taka też była rola Wojskowego Biura Historycznego. Mam więc do tej ustawy stosunek osobisty, który w związku z wetem prezydenckim i moim rozczarowaniem mógłby zostać odczytany jako emocjonalny.

Skupię się zatem na warstwie historycznej, w dużej mierze sprowadzonej przez prezydenta do obrony „względnie młodych" członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego z gen. Mirosławem Hermaszewskim na czele. Jak stwierdził prezydent Duda, uzasadniając swoje weto, Hermaszewski i pozostali pułkownicy LWP „prawdopodobnie" „bez swojej zgody" i na „rozkaz" mieli publicznie firmować „związek przestępczy o charakterze zbrojnym", jakim była WRON.

„DOBRA" I „ZŁA" WRON

Doszło tym samym do bezprecedensowej i dość niebezpiecznej interpretacji działalności WRON w latach 1981–1983, z której wynikać może, że w ramach owego „związku przestępczego o charakterze zbrojnym" istniały niejako dwie równoległe struktury personalno-organizacyjne i intencjonalno-wykonawcze: „zła" z gen. Wojciechem Jaruzelskim na czele i „dobra", w gruncie rzeczy przypadkowa i pasywna, której przewodził siłą wciągnięty do WRON pilot kosmonauta, ppłk Mirosław Hermaszewski. Ta nowatorska interpretacja okoliczności powstania i funkcjonowania WRON, choć za sprawą głównego zainteresowanego – Hermaszewskiego – znana i propagowana od lat,

eprasa.pl c7db8fdf58

Mirosław Hermaszewski z gen. Wojciechem Jaruzelskim i Edwardem Gierkiem FOT. WBH

nie ma jednak podstaw źródłowych ani naukowych. Dlatego też nie znalazła ona zrozumienia nawet wśród elit rządzących Polską w latach 2007–2015, które tzw. ustawą dezubekizacyjną z 2008 r. pozbawiły przywilejów emerytalnych wszystkich członków WRON (inną sprawą jest to, w jaki sposób pozwolono im na omijanie litery prawa i zapisów ustawy).

„Dobrych" i z „rozkazu" wpisanych członków WRON nie dostrzegł także wymiar sprawiedliwości III RP, którego nie sposób przecież posądzić o wolę prawnego rozliczenia z komunizmem. W wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 16 marca 2011 r. znajdujemy obszerne uzasadnienie nieważności dekretu o stanie wojennym, a więc także nielegalności WRON, bez wchodzenia w dywagacje na temat sposobu dobierania jej członków. Jeszcze istotniejszy dla tej kwestii jest wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie z 12 stycznia 2012 r., z którego jednoznacznie wynika, że WRON w całości była kolejną (obok Sekretariatu Komitetu Obrony Kraju) formą organizacyjną „związku przestępczego o charakterze zbrojnym". „Faktycznym motywem działania członków związku przestępczego mającego na celu nielegalne wprowadzenie stanu wojennego – czytamy w uzasadnieniu sądu – było zachowanie obowiązującego systemu ustrojowego i osobistej pozycji w hierarchii aparatu państwa i partii, tym bardziej że z materiału dowodowego zebranego w niniejszej sprawie wynika, że władze państw Układu Warszawskiego, a w szczególności Związku Radzieckiego, oczekiwały uspokojenia sytuacji w Polsce polskimi rękoma i dla osiągnięcia tego podejmowały również działania zmierzające do zmian personalnych w polskich władzach partyjnych oraz państwowych i wprowadzenia na najwyższe stanowiska konkurentów politycznych ekipy gen. W. Jaruzelskiego".

To właśnie jednoznaczność powyższych orzeczeń w praktyce nie dawała degradacyjnemu ustawodawcy możliwości wpisania do ustawy jakiegokolwiek trybu odwoławczego w przypadku członków WRON, którzy automatycznie, z mocy ustawy, tracili stopnie oficerskie.

FAŁSZYWA POLITYKA

Kiedy o tym wszystkim przypominam, często słyszę: nie uważasz chyba, że Hermaszewski był równy Jaruzelskiemu?! Te słowa ukazują całą fałszywość obecnej dyskusji na temat WRON, bo czynią z historii oręż fałszywej polityki. Nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdzi, że WRON nie miała swojej wewnętrznej hierarchii, w której Jaruzelski z Kiszczakiem byli najważniejsi i wszystkim pozostałym narzucali swoją wolę. Nikt rozsądny nie powie także, że Zofia Grzyb i Albin Siwak byli w systemie przemocy równymi Jaruzelskiemu i Kiszczakowi członkami Biura Politycznego KC PZPR w latach 1981–1986. Nikt jednak też nie powie, że towarzyszka robotnica Grzyb i towarzysz murarz Siwak zostali zmuszeni do członkostwa w Biurze Politycznym i nie tworzyli z resztą towarzyszy przestępczej szajki kierownictwa PZPR. Samo uczestnictwo w tak znaczącym organie władzy PRL, nawet jeśli było ono bierne i mimowolne, dopóki nie zostało publicznie oprotestowane i zakwestionowane, dopóty obwarowane jest domyślną i praktyczną zgodą oraz pozostaje na zawsze partycypacją w systemie zbrodni. Świetnym przykładem jest przypadek Ryszarda Reiffa, który nie godząc się na wprowadzenie stanu wojennego, publicznie zaprotestował, przez co usunięto go z szeregów Rady Państwa PRL.

Ahistoryzm politycznych debat rozliczeniowych zazwyczaj prowadzi na manowce. Nagle, niczym z kapelusza, wyskakują postaci, które stają się punktami odniesienia i autorytetami, choć ze względu na uwikłanie w dawny reżim nie powinny w ogóle funkcjonować w przestrzeni publicznej. Tak jest właśnie z gen. Mirosławem Hermaszewskim, który od lat, ale zwłaszcza w ostatnich tygodniach, dość umiejętnie ociepla swój wizerunek i funkcjonuje w mediach, na salonach (także części prawicy) jako przykładny oficer emeryt, utalentowany pilot i kosmonauta, który rozsławił imię Polski, a do tego ocalały z rzezi wołyńskiej z marca 1943 r. dobry ojciec i dziadek, z którym od czasu do czasu brutalnie obchodzi się historia.

Można odnieść wrażenie, że Hermaszewski to utalentowany samorodek, żyjący w PRL wyłącznie pasją podbijania przestworzy, stroniący od polityki i aktywności społecznej, o którym przypomnieli sobie komuniści dopiero 13 grudnia 1981 r., chcąc go cynicznie wykorzystać i mieć po własnej stronie, czego teraz ponosi on niesprawiedliwe konsekwencje. I tak Hermaszewski został jednoosobowym dowodem na rzekomą zbrodniczość i absurdalność ustawy degradacyjnej, po który sięgają wrogie rządowi media, politycy (choć ci z PO nie chcą pamiętać własnej ustawy dezubekizacyjnej z 2008 r. i pozbawienia wszystkich członków WRON przywilejów emerytalnych) i – jak się okazuje – również prezydent Duda.

PO LINII I PO BAZIE

W rzeczywistości gen. Mirosław Hermaszewski zawdzięcza wszystko swoim oportunistycznym życiowym wyborom, konkretnym ludziom aparatu władzy PRL i przychylności Sowietów, którzy w 1978 r. zadecydowali o jego misji kosmicznej, a Rada Najwyższa ZSRS nadała mu tytuł Bohatera Związku Radzieckiego i przyznała Order Lenina z medalem „Złotej Gwiazdy". Jego kosmiczna wyprawa nie była zresztą czymś wyjątkowym, bo przed lotem Hermaszewskiego i później Sowieci zabierali w Kosmos niemal wszystkich: Czechów, Węgrów, Rumunów, Niemców z NRD, Bułgarów, Mongołów, Kubańczyków, Afgańczyków…

Droga do tych zaszczytów była mało wyboista, bo Hermaszewski od

eprasa.pl c7db8fdf58

najmłodszych lat życie swoje związał z komunizmem. Już w Liceum Ogólnokształcącym w Wołowie został w 1959 r. aktywistą Związku Młodzieży Socjalistycznej, gdzie pełnił funkcję przewodniczącego komisji rewizyjnej. Działał także w licealnym Kole Młodzieży Wojskowej.

Po wstąpieniu do LWP i przyjęciu do Oficerskiej Szkoły Lotniczej im. Janka Krasickiego w Dęblinie w 1961 r. st. szer. pchor. Hermaszewski dał się poznać jako szczególnie „aktywny uczeń na zajęciach politycznych i zebraniach żołnierskich". Kończąc tę szkołę w 1964 r. z wynikiem bardzo dobrym (ogólny nalot – 470 godzin, z czego 300 godzin na samolotach odrzutowych), był już od roku „samokrytycznym" członkiem PZPR (którym pozostał do 1990 r.), zaangażowanym „w życie polityczne i społeczne".

INFORMATOR „DŁUGI"

Entuzjastyczne opinie i charakterystyki z początkowego okresu służby w LWP nie były przypadkowe. Pracowitość, talent pilotażu i zaangażowanie polityczne przypieczętowane zostały dodatkowo tajną współpracą z Wojskową Służbą Wewnętrzną, o której przez lata zgodnie milczano. Likwidacja zbioru zastrzeżonego IPN odsłoniła smutną prawdę. Już na pierwszym roku studiów w Dęblinie wojskowa bezpieka wytypowała Hermaszewskiego do werbunku w celu kontroli środowiska podchorążych „pod kątem ich przydatności" oraz „walorów moralnych i politycznych". Dla jaczejki WSW w Dęblinie było oczywiste, że tak zaangażowany i „politycznie wyrobiony" podchorąży „wyrazi zgodę na współpracę z organami kontrwywiadu wojskowego". Formalnego werbunku Hermaszewskiego w „charakterze informatora na uczuciach patriotycznych" dokonali 9 lutego 1962 r. kpt. Janusz Wiąk i mjr Franciszek Kwiatkowski z Oddziału WSW Szkół Lotniczych. Hermaszewski sporządził własnoręczne zobowiązanie, w którym zgodził się pomagać WSW „w walce z wrogą działalnością" i przyjął pseudonim Długi.

Po dwóch latach współpracy (15 marca 1964 r.), w związku z przyjęciem do PZPR, Hermaszewski został wyeliminowany z aktywnej sieci agenturalnej WSW. W charakterystyce informatora o ps. Długi jego stały opiekun z WSW (kpt. Wiąk) napisał: „Chętnym do współpracy był. Najczęściej wykonywał zadania związane z charakterystykami podchorążych, co robił dość dobrze. Wadą informatora »Długi« było to, że nie zawsze zauważał zachodzące w środowisku podchorążych zmiany. Naprowadzony na interesujące nas zagadnienia potrafił rzeczowo omówić dany fakt lub osobę. […] Inf. »Długi« wykazał się szczerym i prawdomównym współpracownikiem".

Kapitan Janusz Wiąk z WSW, oficer prowadzący Hermaszewskiego FOT. IPN

Na koniec dwuletniej współpracy Hermaszewski podpisał kolejne zobowiązanie – tym razem do zachowania w tajemnicy swoich związków z WSW (21 marca 1964 r.). Z opinią lojalnego informatora WSW mógł się piąć po szczeblach wojskowej kariery.

DŁUGIE TRWANIE „DŁUGIEGO"

Współpraca agenturalna Mirosława Hermaszewskiego z WSW jest zaledwie kolejnym potwierdzeniem z trudem skrywanej prawdy o skali agenturalnej penetracji korpusu oficerskiego LWP przez kontrwywiad wojskowy. Warto w tym kontekście podkreślić, że system kontrwywiadowczej ochrony armii Polski Ludowej polegał przede wszystkim na brutalnej lojalizacji żołnierzy, dokonywanej poprzez łamanie charakterów, zbieranie „komprmateriałów" i zmuszanie do donosicielstwa na kolegów, a nierzadko również na najbliższą rodzinę. Bez tego nie sposób było myśleć o jakiejkolwiek poważnej karierze wojskowej w LWP.

Hermaszewski świetnie zdawał sobie z tego sprawę. I tak jak większość kadry oficerskiej nastawionej na robienie kariery chciał dobrze żyć z wszechpotężną WSW. Znajduje to swoje odbicie nawet w jego charakterystykach z lat 80., kiedy był już legendarnym „pierwszym Polakiem w Kosmosie", byłym członkiem WRON i wydawałoby się, że nie utrzymywał jakichkolwiek kontaktów z WSW. A jednak w 1983 r. WSW uznała za istotne wskazać, że płk Hermaszewski „do organów WSW ustosunkowany [jest] pozytywnie", mimo że jest „wiceprzewodniczącym krajowym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej", „jest zaangażowanym członkiem partii" (był delegatem na VIII i X Zjazd PZPR) oraz „utrzymuje kontakty z kosmonautami radzieckimi, wyższymi oficerami WP oraz innymi znanymi osobistościami". Z kolei krótko przed awansem generalskim (we wrześniu 1988 r.) płk Kazimierz Brzozowski z WSW pisał jeszcze dobitniej: „Płk Hermaszewski do organów KW WSW od dłuższego czasu odnosi się pozytywnie. Z analizy posiadanych materiałów wynika, że we wcześniejszych okresach odnosił się obojętnie. Aktualnie wobec szefa organu daje wyraz szczerości i lojalności tak w sprawach służbowych, jak również osobistych. Właściwie reaguje na przekazywane przez nas informacje. Postanowienia Statutu WSW przestrzega bez żadnych zastrzeżeń. Wymieniony oficer w negatywnym zainteresowaniu organów KW nigdy nie pozostawał. […] Z posiadanego przez nas rozeznania wynika, że płk Hermaszewski odcina się od spraw dotyczących jego brata gen. Władysława Hermaszewskiego. W rozmowach z kierownictwem tut. Oddziału WSW wyrażał obawy, czy z powodu zastrzeżeń do jego brata nie będzie miał osobistych przeszkód w karierze wojskowej".

TOWARZYSZ PILOT

Biorąc pod uwagę cały kontekst historyczny, rolę WSW i osobiste zaangażowanie gen. Wojciecha Jaruzelskiego w proces doboru kadr oficerskich LWP w latach 1967–1990, nie ulega wątpliwości, że ppłk Mirosław Hermaszewski nie był postacią przypadkową we WRON. Oczywiście zaważyły na tym bezpośrednio jego kariera lotnicza i lot w Kosmos, ale nawet to zawdzięczał Hermaszewski partii i osobiście Jaruzelskiemu. W archiwach WBH znajduje się sporo dokumentów poświadczających osobistą protekcję Jaruzelskiego. To właśnie on po raz pierwszy zgłosił na forum Biura Politycznego KC PZPR w listopadzie 1976 r. kandydaturę mjr. Hermaszewskiego (i ppłk. Zenona Jankowskiego) do lotu kosmicznego. Lot Polaka w Kosmos był dla Jaruzelskiego swoistą idée fixe, bo już w 1974 r. przedstawił kierownictwu partii i rządu projekt zdynamizowania badań kosmicznych w PRL. Po tym, jak w lipcu 1976 r. w Moskwie podpisany został protokół włączenia obywateli krajów satelickich do sowieckich lotów kosmicz-

eprasa.pl c7db8fdf58

nych w ramach „Interkosmosu", Jaruzelski przekonał Edwarda Gierka, by zgłosił Sowietom propozycję szkolenia w ZSRS przyszłych polskich kosmonautów. Z grona 71 oficerów wojska MON wspólnie z Sowietami wytypowali dwóch kandydatów: mjr. Hermaszewskiego i ppłk. Jankowskiego. Sowieci autoryzowali obu kandydatów i wprowadzili do tajnych ośrodków szkoleniowych. Jaruzelski osobiście interesował się postępem ćwiczeń (w Polsce i ZSRS) wytypowanych pilotów, nawet podczas urlopów poświęcał im swój czas, zachęcał, odznaczał i nagradzał, a także przekonywał Sowietów, by zgodzili się na kosmiczny lot któregoś z Polaków (chodziło też o to, by nie wyprzedził reprezentanta PRL przedstawiciel innego kraju socjalistycznego).

Ciekawy jest propagandowy kontekst przygotowywanej wyprawy, na który od samego początku zwracał Jaruzelski uwagę sekretarzowi Gierkowi, premierowi Jaroszewiczowi i swoim podwładnym w MON. Zresztą nieprzypadkowo jednym z głównych negocjatorów w sprawie lotu Polaka w Kosmos był szef Głównego Zarządu Politycznego gen. Włodzimierz Sawczuk (wspierany przez wiceszefa GZP gen. Józefa Baryłę, wiceszefa MON gen. Józefa Urbanowicza i gen. Zygmunta Zielińskiego z Departamentu Kadr MON). W rozmowach z Sowietami podkreślali oni przede wszystkim przypadającą na 1978 r. rocznicę powstania LWP, jego drugi co do wielkości w Układzie Warszawskim potencjał bojowy, rolę w inwazji na Czechosłowację i trwałe związki z Armią Czerwoną. Wyprawa Polaka w Kosmos miała być więc swoistym hołdem złożonym LWP! Ostatecznie w maju 1978 r. Sowieci poinformowali gen. Baryłę, że skłaniają się bardziej ku kandydaturze Hermaszewskiego (osiągnął lepsze wyniki szkolenia), który poleci w Kosmos jako „pomocnik" lub „konsultant" dowódcy statku powietrznego – płk. Piotra Klimuka.

Sowieci narzucili polskim komunistom najdrobniejsze szczegóły – tytuł „kosmonauty", jakim będzie mógł posługiwać się Hermaszewski, jakie odznaczenia ZSRS i PRL otrzymają piloci, w jaki sposób będzie informowana polska i światowa opinia publiczna o locie Polaka w Kosmos, a nawet treść telegramów Gierka do Breżniewa, listę propagandowych gadżetów zabranych w Kosmos (m.in. portrety Breżniewa i Gierka, herby miast wojewódzkich PRL, Manifest PKWN, Konstytucję PRL, ziemię z pól bitewnych Lenino i Warszawy, proporczyki PZPR, ZBoWiD i TPPR), sposób przechowywania i publicznej prezentacji skafandra kosmonauty…

Z KOSMOSU DO WRON

Jaruzelski słusznie uznał się za ojca propagandowego sukcesu, choć nie był szczęśliwy, że to „Czechosłowak" (Vladimír Remek), a nie Polak był pierwszym niesowieckim pilotem w Kosmosie. Po 126-krotnym okrążeniu Ziemi w ciągu ośmiu dni (27 czerwca–5 lipca 1978 r.) powracający z Kosmosu mjr Mirosław Hermaszewski stał się marionetką w machinie propagandowej PRL i ZSRS. Obsypany odznaczeniami polskimi i sowieckimi, a później także niemieckimi (NRD), czechosłowackimi, kubańskimi i wietnamskimi stał się jednym z najbardziej znanych ludzi w PRL. Awansowany do stopnia podpułkownika wylądował na dwa lata w przygotowującym plany ataku LWP na Zachód Zarządzie I Operacyjnego Sztabu Generalnego (gdzie pracował w tym czasie płk Ryszard Kukliński), aby w 1980 r. wyjechać na dwuletnie studia do Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRS im. Klimienta Woroszyłowa.

Po 13 grudnia 1981 r. zasiadł w Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego, w której spotkał dobrze mu znanych generałów – protektorów jego wyprawy w Kosmos: Jaruzelskiego, Baryłę i Zielińskiego, którzy 14 grudnia powierzyli mu ważny odcinek roboty politycznej związanej z kontrolą organizacji młodzieżowych przy wsparciu GZP. Od tej pory ppłk Hermaszewski będzie na bieżąco informowany o skali represji i szczegółach przedsięwzięć podjętych przez szeroko rozumiane władze PRL oraz aparat przemocy w stosunku do ludzi Solidarności (zachowały się załączniki do protokołów z posiedzeń WRON z listą adresatów, na których widnieje nazwisko Hermaszewskiego). Towarzysz Kosmonauta musiał zresztą na jakiś czas pauzować na studiach w Sowietach, skoro w dokumentach z okresu stanu wojennego jest mowa o jego wielkim zaangażowaniu, inicjatywach i spotkaniach wyjaśniających „decyzje partii i rządu". Reżim po raz kolejny docenił swojego pupila. Najpierw w lipcu 1982 r. gen. Florian Siwicki awansował Hermaszewskiego na pułkownika, a we wrześniu 1988 r. do stopnia generała brygady, który z dumą prezentował na generalskim mundurze swoje sowieckie odznaczenia.

Tak przetrwał nasz „Bohater Związku Radzieckiego" do 1989 r. Funkcjonował dalej na prawach bohatera (choć nie akcentował już Związku Sowieckiego), ale kiedy powstał rząd Jana Olszewskiego, a szefem MON został Jan Parys, „podziękowano" za służbę wszystkim ludziom WRON. Hermaszewski dramatyzował, że znalazł się w dyspozycji MON, by w lutym 1993 r. wrócić do gry pod skrzydłami duetu Onyszkiewicz-Komorowski. Jednak nawet z nimi popadł w konflikt, chociaż mimo różnych perypetii przetrwał w armii aż do 2001 r.

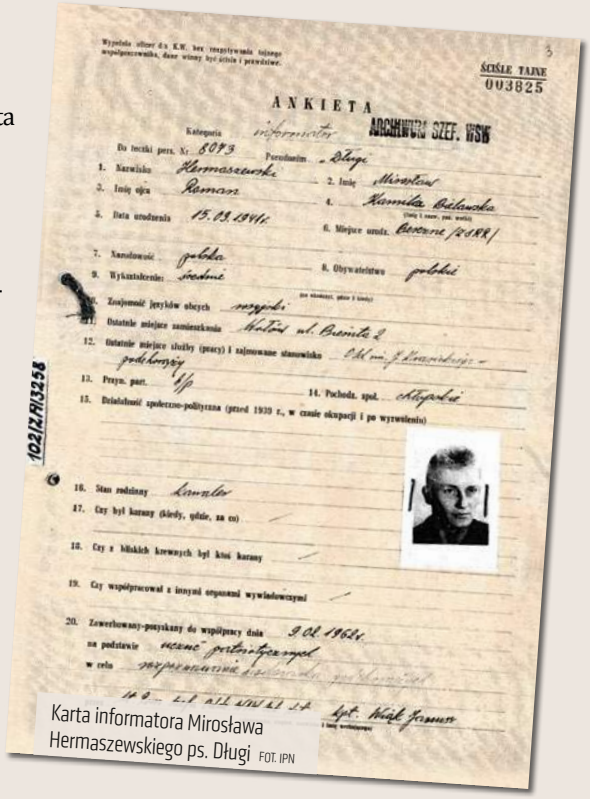
ŚCIŚLE TAJNE
003825
ANKIETA
ARCHIWUM SZEF. WSW
Kategoria informator
Do teczki perz. Nr 8093 Pseudonim Długi
1. Nazwisko Hermaszewski
2. Imię Mirosław
3. Imię ojca Roman
4. Kamila Bielawska
5. Data urodzenia 15.09.1941r.
6. Miejsce urodz. Bocianowo /Gdańsk/
7. Narodowość polska
8. Obywatelstwo polskie
9. Wykształcenie: średnie
10. Znajomość języków obcych rosyjski
11. Ostatnie miejsce zamieszkania Wołów ul. Brzozowa 2
12. Ostatnie miejsce służby (pracy) i zajmowane stanowisko Dowódca Jednostki Wojskowej
13. Przyn. part. b/p
14. Pochodz. społ. chłopskie
15. Działalność społeczno-polityczna (przed 1939 r., w czasie okupacji i po wyzwoleniu)
16. Stan rodzinny kawaler
17. Czy był karany (kiedy, gdzie, za co) –
18. Czy z bliskich krewnych był ktoś karany –
19. Czy współpracował z innymi organami wywiadowczymi –
20. Zewerbowany-pozyskany do współpracy dnia 9.01.1964r.
na podstawie osobiste porozumienie
w celu [illegible]
102/Z/R/3258

Karta informatora Mirosława Hermaszewskiego ps. Długi FOT. IPN

W 2018 r. informator „Długi" ponownie został obsadzony w roli kosmonauty-parawanu, za którym ludzie dawnego reżimu realizują swoje niepolskie interesy, sprzeciwiając się zapoczątkowanej w 2015 r. reformie Wojska Polskiego i wyrwaniu go z sideł „długiego ramienia Moskwy". Wygrali już dwie bitwy – obronili przywileje emerytalne dla ludzi wojskowej bezpieki i wywiadu, a teraz ustrzegli się przed degradacją, ale ostateczną wojnę przegrają, bo – jak powiedział minister Mariusz Błaszczak – „Wrona Orła nie pokona"!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

WRON od kulis

Posiedzenie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (14 grudnia 1981 r.) FOT. EAST NEWS

Sebastian Ligarski

Grzegorz Majchrzak

Jaką rolę w czasie stanu wojennego odgrywała Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego?

W powszechnej opinii Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, która miała powstać w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r., była fasadowym tworem, który nie miał wpływu na rzeczywistość stanu wojennego. Podobne zdanie wyrażają niektórzy historycy, wskazując, że centrum decyzyjne w tym czasie stanowiło kilku decydentów tworzących tzw. dyrektoriat, czyli Wojciech Jaruzelski, Florian Siwicki, Czesław Kiszczak, Mieczysław F. Rakowski, Kazimierz Barcikowski, Mirosław Milewski i Stefan Olszowski.

W opinii Sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej wydanej w 1996 r. WRON to „ciało doraźne i pozakonstytucyjne", bez „żadnych istotnych cech organu państwowego", a także „żadnych kompetencji władczych wobec innych organów państwowych". Mogła zaś „wyrażać opinie lub też formułować zalecenia dla swoich członków". W 2012 r. niektórzy członkowie WRON oskarżeni o udział w związku przestępczym o charakterze zbrojnym, który doprowadził do wprowadzenia stanu wojennego, zostali skazani przez Sąd Okręgowy w Warszawie na kary więzienia z warunkowym zawieszeniem. Czym więc była WRON?

Andrzej Paczkowski dotarł do niepublikowanej uchwały o utworzeniu WRON z 12 grudnia 1981 r., mówiącej, że powstała ona w wyniku decyzji „zespołu oficerów Ludowego Wojska Polskiego" zebranych pod przewodnictwem Wojciecha Jaruzelskiego, z inicjatywy Rady Wojskowej MON. Jej stworzenie ogłosił w swoim przemówieniu radiowo-telewizyjnym jej przewodniczący. Jak zakomunikował Jaruzelski rankiem 13 grudnia 1981 r., oficjalnym celem działania Rady było „zniweczenie kontrrewolucyjnego zamachu na socjalistyczne państwo – usunięcie groźby upadku Polski i utraty suwerenności, ochrona porządku prawnego i zapewnienie spokoju wewnętrznego oraz bezpieczeństwa kraju, stabilizowanie sytuacji społeczno-politycznej".

Według rozpowszechnionej wersji ciało to było klecone na bieżąco, w pośpiechu, bez planu. Tadeusz Tuczapski

eprasa.pl c7db8fdf58

wspomniał, że choć był doskonale zorientowany w planach wprowadzenia stanu wojennego, to o tym, że „mam wejść w skład WRON, dowiedziałem się z rozmowy telefonicznej, jaką odbyłem z gen. Siwickim w dniu 13 grudnia, kiedy trwał już stan wojenny. Na pytanie, czy się zgadzam zostać członkiem WRON, odpowiedziałem, że oczywiście". Inni wojskowi dopowiadali, że w ten sam sposób trafili do tego gremium i nawet nie zawsze pytano ich o zdanie, o swym członkostwie w nim dowiadując się z mediów. Tak m.in. w wielu wywiadach wspominał Mirosław Hermaszewski. Jednak o tym, że jakieś gremium powstanie, wspominał już Mieczysław F. Rakowski w swoich dziennikach, pod datą 7 grudnia 1981 r. pisząc, że I sekretarz KC PZPR myślał o stworzeniu ciała, które nazywałoby się „Radą Wojskowo-Rewolucyjną". A zatem powstanie takiej „instytucji" było w konkretnych planach. Generał Florian Siwicki w rozmowie z marszałkiem Wiktorem Kulikowem 11 grudnia 1981 r. mówił z kolei o „Wojskowo-Rewolucyjnej Radzie Ocalenia Ojczyzny". 12 grudnia powiadomił go, że będzie to Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego.

PRÓBA POROZUMIENIA?

Niewątpliwie spore znaczenie w powstaniu WRON miała nieudana misja stworzenia Rady Porozumienia Narodowego, o której Jaruzelski rozmawiał z przewodniczącym NSZZ „Solidarność" Lechem Wałęsą oraz prymasem Polski Józefem Glempem w czasie ich spotkania 4 listopada 1981 r. Twórcami nazwy „Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego" byli: Wojciech Jaruzelski, Michał Janiszewski, Czesław Kiszczak i Florian Siwicki. Kiszczak pytany o ten fakt przez Witolda Beresia i Jerzego Skoczylasa stwierdzał: „Każda nazwa byłaby zła. Rozmawiałem potem z paroma literatami, którzy też mówili: Dlaczego nie zwróciliście się do mnie, ja bym coś wymyślił. To pytałem: A co szanowny towarzysz wymyśliłby? Zwykle nic nie mieli do zaproponowania albo podawali nazwy, które również można było ośmieszyć. […] Każdą nazwę można ośmieszyć, jeżeli się czegoś nie lubi".

Członkowie WRON spotykali się regularnie, przynajmniej raz w miesiącu, nie tylko planując konkretne działania i zlecając je do wykonania, lecz także dzieląc się wiedzą o ich wdrożeniu i wykonaniu oraz podsumowując dotychczasowy przebieg stanu wojennego. Z zachowanych protokołów posiedzeń wynika, że od 14 grudnia 1981 r. do 29 grudnia 1982 r. odbyło się 14 posiedzeń. Do tej pory nie udało się ustalić, ile spotkań odbyło się w 1983 r., z całą pewnością jednak do ostatniego z nich doszło 18 lipca 1983 r., a więc tuż przed formalnym zniesieniem stanu wojennego.

PROPAGANDA POJEDNANIA

WRON miała być kolegialnym organem politycznym wydającym akty „w celu stabilizowania sytuacji politycznej w kraju, podniesienia efektywności gospodarowania, ochrony prawa oraz zapewnienia sprawnego funkcjonowania organów państwowych w okresie obowiązywania stanu wojennego". Były one podawane „w miarę potrzeby" do publicznej wiadomości lub przekazywane do zainteresowanych instytucji czy jednostek, na mocy decyzji jej przewodniczącego ogłaszane też w „Dzienniku Urzędowym" i „Monitorze Polskim".

Nigdy nie zadbano o umocowanie prawne WRON, legalizację jej działań. Była nie tylko poza prawem, lecz także – jak pisał Andrzej Paczkowski – wręcz „ponad nim". Na pierwszym posiedzeniu 14 grudnia 1981 r. oprócz podsumowania sytuacji w kraju i wysłuchania raportów pełnomocników Komitetu Obrony Kraju w poszczególnych resortach i instytucjach wyznaczono konkretne cele do zrealizowania przez poszczególnych wojskowych. I tak dowódcy okręgów mieli odpowiadać za wprowadzenie stanu wojennego na swoich terenach, z kolei Hermaszewski (przy wsparciu Głównego Zarządu Politycznego WP) – za stabilizowanie sytuacji i egzekwowanie prawa stanu wojennego w organizacjach młodzieżowych. Z kolei Roman Leś miał wytypować spośród oficerów rezerwy tych mogących objąć funkcje w administracji terenowej, a Tadeusz Tuczapski koordynować działania „sił porządkowych i oddziałów (pododdziałów) wojska". Na tym posiedzeniu mianowano też wojskowych wojewodami w Koszalinie, Katowicach, Elblągu i Radomiu.

Na kolejnych posiedzeniach planowano m.in. powołanie na stanowiska szefów Wojewódzkich Komitetów Obrony oficerów WP (szefami WKO byli wojewodowie, nie zawsze będący wojskowymi, np. we Wrocławiu czy w Szczecinie), organizowano spotkania z członkami tworzonych w kraju komitetów odrodzenia narodowego oraz robotnikami i przedstawicielami innych grup społecznych, np. szeroko komentowane i propagowane było spotkanie z kobietami. Specjalnie wytypowani wcześniej przedstawiciele tych grup zadawali członkom WRON pytania, które potem były kierowane do poszczególnych instytucji czy nawet zakładów pracy. Odpowiedzi z nich, nierzadko bardzo szczegółowe i specjalistyczne, były przez sekretariat WRON przesyłane do konkretnych osób. Ten zabieg socjotechniczny miał na celu pokazanie sprawności funkcjonowania państwa w nowej rzeczywistości, wolnej od „kontrrewolucyjnych burd" wywoływanych przez NSZZ „Solidarność".

Niezwykle ciekawie brzmiały zadania z kwietnia 1982 r., skierowane do szefa GZP. Mianowicie nakazano mu utworzenie „koła" księży – byłych żołnierzy (!) – oraz (wzorując się na 1966 r.) przeprowadzenie rozmów z proboszczami przez wojsko. W czerwcu wymyślono, aby dacie 13 grudnia nadać barwę ocalenia narodowego (czyli biało-czerwoną), a odpowiednie barwy (nie sprecyzowano jakie) poszczególnym datom miesięcznym. Tego typu propagandowe zabiegi były stałym elementem prawie każdego posiedzenia WRON. Już na początku stanu wojennego pisano w propozycjach na posiedzenie 23–24 grudnia 1981 r.: „Szczupłość informacji oraz brak zaufania społeczeństwa do wiadomości podawanych przez RTV powodują rozszerzanie się zjawiska słuchania audycji wrogich nam radiostacji zachodnich. Wynika z tego potrzeba zwiększenia wiarygodnych informacji oraz uaktywnienia »sztampowej« propagandy poprzez zastosowanie bardziej skutecznych metod jej oddziaływania. W procesie tym dążyć do pełnego ujawniania (na podstawie materiałów faktograficznych) celów i mechanizmów działania ośrodków kontrrewolucyjnych". I kontynuowano: „W działalności

Nigdy nie zadbano o umocowanie prawne WRON, legalizację jej działań. Była nie tylko poza prawem, lecz także wręcz „ponad nim"

eprasa.pl c7db8fdf58

propagandowej zmienić język. Nie należy przemawiać w taki sposób jak ostatnio gen. Michta w TV. Większość kadry nie aprobuje takiej praktyki. Przynosi ona więcej szkody niż korzyści. Język propagandy i publicystyki powinien być konkretny, przekonywający i niepodważalny".

Na każdym spotkaniu zapoznawano się z aktualną sytuacją polityczno-społeczną, wdrażając niektóre rozwiązania i decyzje oraz wskazując, na co należało położyć nacisk. Nieraz były to bardzo szczegółowe wytyczne do realizacji. Rada odpowiadała też i reagowała na listy, które wpływały do sekretariatu (w ciągu 1982 r. było ich ponad 6,5 tys.).

WALKA Z WROGIEM WEWNĘTRZNYM

Na posiedzeniach WRON bez owijania w bawełnę podawano konkretne rozwiązania taktyczne w walce z wrogiem wewnętrznym: „Stosować celnie, punktowo, wszystkie środki, w tym represyjne, ale dominować musi aktywność polityczna, czyny i działania przekonywające". W innym miejscu wskazywano: „Prowadzić zdecydowanie i przy pomocy wszystkich dostępnych środków walkę ze zdeklarowanym, aktywnym politycznie przeciwnikiem. Jednocześnie budować cały system porozumienia narodowego na gruncie uznawania zasad ustrojowych, pozyskiwania ludzi chwiejnych, jeszcze wątpiących, oraz neutralizowaniu ludzi niechętnych. W ramach tego działania uwzględnić zwłaszcza utrzymującą się jeszcze nieufność i duże uwrażliwienie znacznej części społeczeństwa, trudności gospodarcze oraz adaptowanie przeciwnika do nowej sytuacji".

NIEDOSTATECZNE REZULTATY

Z kolei po protestach w rocznicę porozumień sierpniowych (30 i 31 sierpnia1982 r.) stawiano zdecydowane tezy: „Zainspirowane przez polityczne podziemie manifestacje, które w licznych przypadkach przeradzały się w agresywne zajścia uliczne, atakowanie sił porządkowych, niszczenie wozów straży pożarnej, autobusów i samochodów (Warszawa, Wrocław, Lublin, Trójmiasto), nie miały nic wspólnego z politycznym protestem. Były burdami chuligańskimi". I dodawano ewidentnie życzeniowo: „Nie zyskały poparcia klasy robotniczej. Stanowiły swoisty marsz pogrzebowy ekstremy »Solidarności« i ostateczny akt samozniszczenia się »Solidarności« jako związku zawodowego". A nawet grzmiano: „Jeszcze raz niejako zaświadczyły o nieskorzystaniu przez kierownictwo tego związku ze stworzonej mu szansy włączenia się do działalności na rzecz odrodzenia narodowego. Na wielokrotne propozycje władzy, między innymi zgłoszone w czasie posiedzenia Sejmu PRL w dniu 21.07. br. – »Solidarność« – jej podziemie – odpowiedziało szeroką dywersją polityczną, próbą sabotażu oraz montowania grup terrorystycznych". I konkludowano: „Polityczne podziemie, podejmując szerokie i wszechstronne przygotowania, mając różnorodne wsparcie z zagranicy, sprzyjającą – wobec trudności gospodarczych – społeczną sytuację wewnętrzną oraz poparcie części kleru – przegrało ostatnią szansę o obronę »Solidarności«". Nakazywano w tej sytuacji: „Wskazywać, że obecnie pod szyld »Solidarności« chronią się już nawet elementy chuligańskie, męty społeczne i wszelkie szumowiny".

Podsumowując rok 1982, uznano, że kampanię tego roku wygrało socjalistyczne państwo. „Przeciwnik nie został jednak rozgromiony ostatecznie, a partia i władza nie pozyskały jeszcze w pełni – na rzecz interesów państwa – szerszych kręgów społeczeństwa", dlatego należało „rozgromić politycznego przeciwnika, uczynić go słabym, niezdolnym do destrukcyjnego działania, nieszkodliwym w stwarzaniu dokuczliwych zagrożeń". Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego zakończyła działalność 21 lipca 1983 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W skład WRON wchodzili:

- **gen. armii Wojciech Jaruzelski** (1923–2014) – premier, przewodniczący Komitetu Obrony Kraju, I sekretarz KC PZPR, przewodniczący WRON, minister obrony narodowej;
- **admirał Ludwik Janczyszyn** (1923–1994) – dowódca Marynarki Wojennej;
- **gen. broni Eugeniusz Molczyk** (1925–2007) – główny inspektor szkolenia, wiceminister obrony narodowej;
- **gen. broni Zbigniew Nowak** (ur. 1926) – główny inspektor techniki, wiceminister obrony narodowej;
- **gen. broni Florian Siwicki** (1925–2013) – szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wiceminister obrony narodowej;
- **gen. broni Tadeusz Tuczapski** (1922–2009) – główny inspektor obrony terytorialnej, wiceminister obrony narodowej;
- **gen. dyw. Józef Baryła** (ur. 1924) – szef Głównego Zarządu Politycznego WP, wiceminister obrony narodowej;
- **gen. dyw. Tadeusz Hupałowski** (1922–1999) – minister administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska;
- **gen. dyw. Czesław Kiszczak** (1925–2015) – minister spraw wewnętrznych;
- **gen. dyw. Tadeusz Krepski** (1920–1988) – dowódca Wojsk Lotniczych;
- **gen. dyw. Longin Łozowicki** (1926–2013) – dowódca Wojsk Obrony Powietrznej Kraju;
- **gen. dyw. Włodzimierz Oliwa** (1924–1989) – dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego;
- **gen. dyw. Czesław Piotrowski** (1926–2005) – minister górnictwa i energetyki;
- **gen. dyw. Henryk Rapacewicz** (1926–1991) – dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego;
- **gen. dyw. Józef Użycki** (ur. 1932) – dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego;
- **gen. dyw. Zygmunt Zieliński** (ur. 1925) – sekretarz WRON, szef departamentu kadr MON;
- **gen. bryg. Michał Janiszewski** (1926–2013) – szef Urzędu Rady Ministrów;
- **gen. bryg. Jerzy Jarosz** (ur. 1931) – dowódca 1. Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej;
- **płk Tadeusz Makarewicz** (1924–2006) – dowódca Jednostki Wojskowej 2144
- **płk Kazimierz Garbacik** (ur. 1927) – Wojewódzki Sztab Wojskowy w Łodzi;
- **płk rez. Roman Leś** (1924–1988) – Związek Byłych Żołnierzy Zawodowych;
- **ppłk Mirosław Hermaszewski** (ur. 1941);
- **ppłk Jerzy Włosiński** (ur. 1943) – dowódca kompanii 1. Mazowieckiej Brygady Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

(Kolejność na liście według dokumentów archiwalnych)

eprasa.pl c7db8fdf58

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Moc Jagiellonów

Początki nie były łatwe. Kiedy orszak Władysława Jagiełły zmierzał w stronę Krakowa, królowa Jadwiga wysłała mu naprzeciw zaufanego posłańca. Posłaniec ów otrzymał osobliwe zadanie. Miał dokładnie przyjrzeć się Jagielle, ocenić jego wygląd zewnętrzny i maniery. Według krążących w Koronie opinii litewski książę miał bowiem być skrzyżowaniem człowieka z niedźwiedziem. Nieokrzesanym, na wpół dzikim barbarzyńcą, którego cała skóra pokryta była twardą szczeciną. Wiedząc o tych pogłoskach, Jagiełło zaprowadził posłańca królowej do łaźni. I tam pokazał mu się na golasa. Posłaniec pospiesznie powrócił na Wawel i natychmiast zdał Jadwidze szczegółową relację z tego, co zobaczył. Królowa odetchnęła z ulgą.

Anegdotę tę przytoczył w książce „Pierwsze stulecie Jagiellonów" prof. Wojciech Fałkowski, jeden z najwybitniejszych znawców epoki. Historia ta znakomicie oddaje obawy, jakie wielu koroniarzy odczuwało w momencie zawarcia unii z Litwą. Dla sporej części ówczesnych Polaków Wielkie Księstwo Litewskie było jakąś dziką krainą zamieszkaną przez wilkołaki.

A jednak! Związek, który wydawał się wówczas tak egzotyczny, przetrwał pięć stuleci. A w pewnym sensie trwa do dzisiaj. Bo przecież autor tej krótkiej notki pisze ją po polsku, a nie po litewsku czy rusku. Tych bowiem języków używali moi przodkowie.

Wróćmy jednak do książki prof. Fałkowskiego. To zbiór szkiców poświęconych najwybitniejszej dynastii w dziejach obu naszych państw. I najwybitniejszej dynastii ówczesnej Europy. Jagiellonowie. To pod ich panowaniem Polska wypłynęła z ciasnej zatoki Europy Środkowej na szerokie wody Wschodu. I stała się imperium.

Z perspektywy czasu ta historia oszałamia. Wielkością zamierzeń, planów, ambicji. I dokonań. Chociaż niestety – jak pisze prof. Fałkowski – wielu celów i zamierzeń Jagiellonom zrealizować się nie udało. Historia tej dynastii to nie tylko historia wielkiej polityki. To także historia wielkich indywidualności. Ludzkich namiętności, sporów i uraz. Sukcesów i błędów.

Pasjonująca książka. ©℗

★★★★★★

WOJCIECH FAŁKOWSKI
„PIERWSZE STULECIE JAGIELLONÓW"
AVALON

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dorpat i dorpatczycy

Początki słynnego uniwersytetu w Dorpacie (obecnie estońskie Tartu) sięgają 1583 r., gdy Stefan Batory założył ośrodek jezuicki, przekształcony później w kolegium. Miasto jednak (podobnie jak reszta Inflant) stało się obiektem rywalizacji polsko-szwedzkiej, a ostatnim wodzem, który odzyskał je dla Rzeczypospolitej, był Jan Karol Chodkiewicz (13 kwietnia 1603 r.). Ostatecznie Dorpat został przyłączony do Szwecji, a w 1632 r. Gustaw Adolf II utworzył tam Academię Dorpatensis.

> **Określenie „dorpatczyk" oznaczało w Polsce osobę znakomicie i wszechstronnie wykształconą**

Uczelnia posiadała znaczną autonomię, którą uszanowały nawet władze rosyjskie po opanowaniu Inflant. Swobodnie dobierano kadrę naukową i programy kształcenia, utrzymywano nawet policję uczelnianą, dzięki czemu ograniczono dostęp carskich służb. Gdy po powstaniu listopadowym zlikwidowano uniwersytety w Warszawie i Wilnie, uczelnia w Dorpacie stała się głównym miejscem studiów Polaków z terenu zaboru rosyjskiego. Językiem wykładowym był niemiecki, poziom nauczania wywindowano bardzo wysoko, a władze uczelni przychylnie traktowały naszych rodaków. Łącznie studiowało tutaj blisko 2,5 tys. Polaków.

Określenie „dorpatczyk" oznaczało w Polsce osobę znakomicie i wszechstronnie wykształconą, o wysokiej kulturze osobistej. Dorpatczycy cieszyli się powszechnym poważaniem i szacunkiem.

Nie zmienia to jednak faktu, że polscy studenci uchodzili w Dorpacie za ludzi obdarzonych prawdziwie ułańską fantazją. Niejaki Michał Karboniewicz wynalazł „karboniewiczsznaps" – mieszaninę różnego rodzaju nalewek, likierów i wódki oraz „turka", w skład którego wchodziły: arak, żółtka kurze i likier różany. Oba wynalazki zwalały z nóg nawet największych birbantów uczelnianych, a wesołe zabawy kończyły się czasami naśladownictwem Wilhelma Tella (zanotowano jeden wypadek śmiertelny). Nie zawsze jednak było tak tragicznie, pewien polski student chciał kiedyś wjechać na swoją kwaterę konno (mieszkał na drugim piętrze), następnego dnia trzeba było rozebrać część budynku, aby wypuścić przerażone zwierzę…

Zdarzali się też geniusze: niejaki Kacper Mikulski opanował materiał studiów z teologii przez rok i pomyślnie zdał egzaminy. Na drugim biegunie znalazł się Edward Heinrich, który na tym samym wydziale studiował przez 49 semestrów. Następnie przeniósł się na wydział ekonomiczny, aby ostatecznie zostać nauczycielem religii w Łodzi. Pozostał jednak rekordzistą w długości studiów, i to nie tylko w Dorpacie. ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

Twardy kurs Boltona

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Tomasz Wróblewski

Dla ludzi uważających, że tworzenie instytucji zapewnia porządek świata, mianowanie Johna Boltona na stanowisko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego jest gorsze od bomby atomowej

Donald Trump po raz kolejny wymienił doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Tym razem wywołał autentyczną panikę, zarówno w establishmencie demokratów, jak i w części republikańskiej, od lat monitorującej politykę zagraniczną. Nawet polscy lewicowi komentatorzy dołączyli do chóru wieszczących koniec epoki bezpieczeństwa nuklearnego. Tak jak Trump był czarnym snem liberałów, tak Trump w duecie z Johnem Boltonem ma być spełnieniem przepowiedni katastrofistów od zarania dziejów.

John Bolton był ambasadorem przy Organizacji Narodów Zjednoczonych za czasów prezydenta Busha. Nominowany wbrew ogromnej opozycji senatu należał do najostrzejszych krytyków ONZ-owskiej biurokracji i marnotrawstwa w całej historii tej organizacji. Doświadczenie w dyplomacji zdobywał, zasiadając w rozlicznych ciałach negocjacyjnych, w tym biorąc udział w procesie rozbrojenia nuklearnego po 1990 r. Bolton ma na swoim koncie kilka głośnych publikacji o strategii bezpieczeństwa. Od lat jest ukochanym chłopcem do bicia lewicowych mediów w Ameryce. Jego wartki, dobitny styl pozwala na wyciąganie głębokich wniosków z pojedynczych cytatów, bez odnoszenia się do głównej tezy tekstu. Im bardziej pogłębiony i analityczny materiał, tym łatwiej o płytkie konkluzje na podstawie pojedynczych słów czy wyrwanych z kontekstu zdań.

W dniu jego nominacji „The New York Times" przypomniał w zasadzie jedno zdanie z Boltona opublikowane w „The Wall Street Journal": „Żaden obcy rząd, nawet nasz najlepszy sojusznik, nie ma prawa powstrzymywać Ameryki przed użyciem broni nuklearnej przeciwko Kim Dzong Unowi".

Do polskich mediów Bolton trafił w jeszcze zwięźlejszej formie – bo „Gazeta Wyborcza" sprowadziła cytat z „NYT" do: „Nawoływał do ataku nuklearnego na Koreę", choć w oryginalnej wersji zdanie brzmiało tak: „W pierwszym rzędzie Ameryka powinna szukać porozumienia z Japonia i Koreą co do wspólnych działań. Kiedy to się nie powiedzie, to...".

Zmanipulowany cytat poszedł w świat, co pewnie skłoniło „WSJ" do wywieszenia na swojej stronie wszystkich publikacji Boltona i zachęcenia do wnikliwszej lektury jego tekstów, a przy okazji lepszego zrozumienia źródeł autentycznej paniki środowisk lewicowych. Paniki wychodzącej daleko poza zwykły atak na kolejnego nominata Trumpa, który wypowiada politycznie niepoprawne zdania.

KRYZYS KONCEPTU SOLIDARNOŚCI

Bolton od lat pisze o tym samym. Czy to jest Korea Północna, Iran, czy putinowska Rosja – on wytyka, jak nieadekwatne stały się współczesne narzędzia w polityce zagranicznej. Jak Zachód, w tym Ameryka, zatraciły tradycyjną zdolność dostosowywania się do nowych globalnych zagrożeń. Pisał o tym, jak zużyła się postzimnowojenna doktryna multilateralnej polityki – wielonarodowych sojuszy tworzonych w celu niedopuszczenia bandyckich państw do broni nuklearnej. Multilateralny porządek rzeczy oparty na Traktacie o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej z 1968 r. zakładał, że świat można uratować przed katastrofą dzięki ścisłej współpracy w ramach ONZ. Za sprawą dyplomatycznych, ekonomicznych i wojskowych narzędzi odpowiedzialne państwa są w stanie uniemożliwić dalsze rozprzestrzenianie broni masowej zagłady.

Koncept międzynarodowej solidarności na rzecz utrzymywania równowagi i bezpieczeństwa nuklearnego był niemal doskonały w latach zimnej wojny i chwilę po upadku Związku Sowieckie-

eprasa.pl c7db8fdf58

go. Rozwój technologii i globalny chaos zacierający granicę między odpowiedzialnymi rządami a rządami szaleńców spowodowały, że dziś nie sposób ani panować nad rozprzestrzenianiem się broni nuklearnej, ani stwierdzić, kto powinien mieć do niej dostęp, a kto nie. Zmieniła się też definicja samej wojny. Hybrydowe i cyberwojny, ekologiczne, wojny gospodarcze, w których coraz trudniej też ustalić, kto jest po czyjej stronie. Nic też dziwnego, że rządy coraz bardziej skoncentrowane są na własnym bezpieczeństwie i nie zawracają sobie głowy sojusznikami. Kraje ze znaczną islamskią mniejszością nie chcą twardo opowiadać się przeciwko Iranowi czy po stronie Izraela. Kraje, w których duże wpływy zachowuje Rosja, mimo że uważają się za część Zachodu, w tym i kraje NATO, nie odważyły się poprzeć Londynu i wydalić kilku rosyjskich dyplomatów. Angela Merkel jednego dnia jest w Warszawie i deklaruje współpracę, a dzień później jej rząd wydaje zgodę na budowę gazociągu Nord Stream 2. Kiedy Stany Zjednoczone ogłaszają swoje sankcje na import stali i aluminium z możliwością poszerzenia pakietu towarów objętych podwyższonym cłem, Paryż podejmuje indywidualne negocjacje z Białym Domem, a niemiecki minister leci do Waszyngtonu, żeby dwa tygodnie później ogłosić, iż Niemcy liczą na porozumienie przed 8 maja – datą ultimatum Trumpa. Ani w oświadczeniu Macrona, ani Merkel nie ma słowa o umowach z UE. Każdy w popłochu negocjuje na własną rękę, żeby później wrócić do Brukseli i opowiadać o potrzebie dalszej integracji i spójnej polityce handlowej.

Nikt nie może już liczyć na globalną solidarność, każdy, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, według Boltona powinien polegać na sobie. Unilateraliści (czy jak wolą inni – współcześni wyznawcy Hobbesa) uważają globalistów bądź multilateralistów za poczciwych idiotów, odpowiednik pacyfistów z początków XX w., ginących masowo na liniach frontu w I wojnie światowej.

FAŁSZYWE BEZPIECZEŃSTWO

Stąd też twarde przekonanie Boltona, że większość międzynarodowych umów nie chroni już Zachodu przed zagładą, ale wręcz tworzy dodatkowe zagrożenie – fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Przekonanie, że NATO ochroni Europę, pozwoliło Niemcom na rozbrojenie swojej armii i zmniejszenie wydatków na obronność. Włoska czy grecka armia nie są w stanie chronić własnych granic. Francja nie potrafi obronić swoich wpływów w Afryce. Słabość zachodnich armii staje się zachętą do brawurowych i agresywnych zachowań Rosji, nuklearnego zagrożenia ze strony Iranu czy Korei Północnej.

Potężne instytucje w stylu ONZ czy UE stały się sposobem na komfortowe życie dla tzw. globalnych elit oderwanych od codziennego życia. Wpływowi politycy i urzędnicy realizują tu własne wizje świata i walczą z wydumanymi przez siebie zagrożeniami. Bywa, że ich aktywność sprowadza się do ochrony uprzywilejowanego statusu kierowanych przez nich instytucji. Bolton od lat zwalczał ONZ-owski elitaryzm i kpił z unijnej biurokracji, nie z uwagi na samą specyfikę życia w międzynarodowych instytucjach, ale na zagrożenie, które tworzyły swoją ucieczką od realnych problemów.

Bolton, którego Trump od lat podziwia i podziela jego do bólu realistyczne widzenie świata, przekonany jest, że etap multilateralnego rozwiązywania problemów świata przeszedł do historii. To nie John Bolton doprowadził bowiem Półwysep Koreański na krawędź wojny nuklearnej, to nie Bolton kazał Rosji rozpylać broń chemiczną w Londynie, Syrii i zniewalać Ukrainę. To nie on uzbroił Iran w broń nuklearną zagrażającą dziś bezpieczeństwu całego Bliskiego Wschodu. To właśnie lata jałowego multilateralizmu z jego nieefektywnymi globalnymi instytucjami doprowadziły nas tu, gdzie jesteśmy.

To zapowiedź ostrej zmiany, która może oznaczać twardą politykę wobec Iranu oraz Chin i blokowanie dalszych agresywnych zachowań Rosji

Powrót do twardego unilateralizmu, gdzie każdy naród liczy tylko na siebie, jest trudny do zaakceptowania dla progresywistów dominujących dziś w międzynarodowych strukturach. Dla wszystkich przekonanych, że wielkie instytucje są wyższym etapem rozwoju cywilizacji, powrót do egoizmu narodowego jest cofnięciem się do epoki czarnego nacjonalizmu. Z punktu widzenia liberalnej demokracji Traktat o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej, który Bolton chce teraz rozmontować, był fundamentem naszej cywilizacji. To swoisty manifest założycielski współczesnych globalistów – multilateralistów. Kolejne pokolenia dorastały w przekonaniu, że za pomocą światowych instytucji można doprowadzić do budowy idealnego i bezpiecznego świata. Skoro można nas ocalić od broni nuklearnej za pomocą multilateralnych instytucji, takich jak ONZ, to równie dobrze można nas ocalić od wszelkiego zła tej planety. Wystarczy stworzyć odpowiednie globalne instytucje i powierzyć pieczę nad nimi urzędnikom.

Od epidemii i chorób cywilizacyjnych może nas uratować WHO, od głodu i brudnej wody – UNICEF, kobiety od prześladowania ratuje unijna dyrektywa o zwalczaniu przemocy wobec kobiet. Misje pokojowe mogą trzymać z dala od siebie zwaśnione arabskie czy afrykańskie narody. A z czasem te same czy pączkujące z nich instytucje i globalne normy mogą zbawiać ludzkość od palenia tytoniu, nadmiaru samochodów, ograniczeń w dostępie do aborcji, zakazów małżeństw jednopłciowych, napojów gazowanych, od obsesji religijnych czy narodowych.

LICZYĆ NA SIEBIE

Bolton w rzeczy samej mówi nam, że cały światowy porządek musi ulec przebudowie, razem ze swoimi instytucjami. Dla środowisk liberalnych to gorsze niż perspektywa zrzucenia bomby atomowej na Koreę Północną.

Nominowanie Boltona jest drugą tak fundamentalną zmianą w Białym Domu. Razem z Mikiem Pompeo w Departamencie Stanu jest zapowiedzią ostrej zmiany kursu, która prawdopodobnie będzie oznaczać ograniczenia amerykańskich działań zbrojnych na Bliskim Wschodzie, przy twardej polityce i sankcjach wobec Iranu oraz Chin i blokowaniu dalszych agresywnych zachowań Rosji wszędzie tam, gdzie imperialne zapędy Putina zagrażają interesom Ameryki. Zmiany wcześniej czy później dosięgną też multilateralne instytucje na rzecz ścisłych zadaniowych sojuszy. Czy Bolton na długo zagrzeje miejsce w Białym Domu? Tego nie wiemy, ale jego interpretacja procesów społeczno-politycznych pozostanie z nami na pewno dłużej niż ONZ czy UE w obecnym kształcie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

Przywódca sekty, Shōkō Asahara, łączył ze sobą bez ładu i składu elementy jogi, buddyzmu i hinduizmu, a nawet przepowiedni Nostradamusa i ewangelikalnych wizji profetycznych

FOT. HITOSHI KATANODA/POLARIS/EAST NEWS

Radykalnie inna Japonia

epresa.pl c7db8tdf58

Tomasz P. Terlikowski

Trzynastu sprawców zamachów na metro w Tokio prawdopodobnie zostanie straconych w najbliższych dniach. Sprzeciw wobec tej kary jest dla Japończyków kompletnie niezrozumiały

Już wkrótce Japonia wykona wyrok na 13 członkach sekty Aum Najwyższa Prawda, którzy 20 marca 1995 r. przeprowadzali zamachy w tokijskim metrze. Zginęło w nich 12 osób, a kilka tysięcy zostało poszkodowanych. Nie wiadomo i nie będzie wiadomo do momentu, gdy egzekucje zostaną wykonane, gdzie i dokładnie kiedy zostały one przeprowadzone, a sami skazani dowiedzą się o tym zaledwie kilka godzin przez wyrokiem. Jednak fakt, że więźniów przewieziono do więzień poza Tokio, sprawił, iż japońskie media coraz otwarciej spekulują na temat możliwej zbiorowej egzekucji. Ostatni tego rodzaju zbiorowy wyrok został wykonany w roku 2008. Wyrokowi śmierci sprzeciwiają się liczne organizacje międzynarodowe, ale w samej Japonii kara nie wywołuje większych emocji społecznych. Aż 80 proc. Japończyków wspiera bowiem jej wykonywanie, a w tym przypadku nie ma najmniejszych wątpliwości co do winy i odpowiedzialności skazanych na śmierć.

PRZYSPIESZONA APOKALIPSA I PRAGMATYCZNA RELIGIA

Ataki na metro za pomocą gazu bojowego, sarinu, zostały przeprowadzone, by przyspieszyć przepowiadany przez „mistrza duchowego" i założyciela sekty Aum Najwyższa Prawda koniec świata. Atak w metrze miał zapoczątkować przewrót polityczny, który doprowadziłby do wprowadzenia w Japonii teokracji. Przywódcą państwa zostałby wtedy założyciel organizacji Shōkō Asahara (naprawdę nazywał się Chizuo Matsumoto). Ten ociemniały na skutek jaskry mężczyzna, specjalista od akupunktury i medycyny chińskiej, w 1987 r. założył sektę religijną, której nauczanie opierało się na hinduizmie, buddyzmie, jodze i dziwacznie zinterpretowanej apokaliptyce protestanckiej, ale której głównym – jeśli nie jedynym – celem było zarabianie ogromnych pieniędzy i prowadzenie działalności politycznej, która ukierunkowana była na przejęcie władzy za pomocą środków terrorystycznych. Liczba jej wyznawców systematycznie rosła i wcale nie ograniczała się tylko do Japonii, bowiem sekta miała ich także w Rosji, Australii, na Sri Lance, w Niemczech, Jugosławii, na Tajwanie oraz w Stanach Zjednoczonych. Jednoczył ich kult przywódcy, a także przekonanie, że proponowane przez niego metody osiągnięcia „oświecenia" są jedyną drogą do zbawienia.

Japońscy wyznawcy sekty wcale nie byli wykluczonymi czy pozbawionymi szans na rozwój pariasami, którzy w sekcie szukali odmiany życia, ale w większości świetnie wykształconymi specjalistami, którzy szukali dla siebie możliwości rozwoju duchowego. Dlaczego akurat w kierowanej przez paranoika sekcie? Odpowiedzi trzeba szukać w specyfice japońskiej religijności. Nie, nie chodzi o laicyzację czy ateizm, ale o specyfikę japońskiej religijności. Inaczej niż w Europie niemal nie spotyka się tam ateistów czy agnostyków, a także trudno o jasną deklarację, jakiego wyznania jest Japończyk. Najczęstszą odpowiedzią – nieco tylko żartobliwą – jest stwierdzenie, że urodził się szintoistą, ślub brał jako chrześcijanin, a umrze buddystą. I nie jest to nieprawda. Tak się bowiem składa, że dziecko po narodzinach niesione jest do świątyni shintō, gdzie otrzymuje błogosławieństwo, ślub najczęściej brany jest u protestantów (bez konieczności chrztu, za to w ładnym zborze i z salą przystosowaną do bankietów), a specjalistami od pogrzebów są mnisi buddyjscy, którzy przygotowują cały ceremoniał nad zmarłymi. Kłopot z tym religijnym biznesem jest tylko taki, że… oznacza on, iż w istocie Japończycy niczego na poważnie nie praktykują. Szintoizm w ich życiu ogranicza się do kilku w roku wizyt w świątyni, gdzie dzwonią dzwonkami, odbierają rozmaite „błogosławieństwa" i proszą o wsparcie w biznesach. Buddyzm, choć istnieją oczywiście w Japonii starożytne i zasłużone klasztory zen (czy innych szkół), w większości mniejszych klasztorów (nazwa może być myląca, bo większość kapłanów czy mnichów to ludzie żonaci, a przewodnictwo świątyń dziedziczone jest z ojca na syna) ogranicza się do odmawiania modlitw za zmarłych i kasowania za to odpowiednich opłat. Jeśli ktoś sądzi, że doświadczy w nich satori czy otrzyma koan, którego medytowanie będzie go prowadzić ku oświeceniu, to jest w głębokim błędzie. Nic z tych rzeczy.

Chrześcijaństwo też zresztą nie ma się jakoś zasadniczo lepiej. Obejmuje ono mniej więcej pół procent mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni i – choć szkoły oraz uniwersytety katolickie są bardzo cenione – nie zdobywa nowych wyznawców. Gdy rozmawiałem z księdzem z parafii w Akita (miejsce objawień Matki Bożej, a także 500-tysięczne miasto), ten opowiadał mi, że… w ciągu roku odprawił 14 pogrzebów, ochrzcił trzy osoby (w tym jedno dziecko) i nie udzielił ani jednego ślubu. Jednym słowem… słabo. I nic nie wskazuje na to, by coś miało się zmienić. Dlaczego? Być może dlatego, że chrześcijaństwo w katolickim wydaniu wymaga od swoich wiernych zaangażowania, chodzenia do kościoła, praktyk, a zarówno pobieżnie praktykowany szintoizm, jak i ludowy buddyzm – nie. Japończycy nie są więc przyzwyczajeni do praktyk czy do traktowania religijności inaczej niż jako pomocy w codzienności. Jedynym kultem traktowanym w miarę poważnie jest… kult przodków, ale i to – inaczej niż w Chinach – niesięgający daleko wstecz, a jedynie do rodziców i dziadków, czyli krewnych, których jeszcze się pamięta.

EKSTRAWAGANCKA RELIGIJNOŚĆ I WALKA Z SYSTEMEM

Jeśli więc ktoś szuka religijności bardziej angażującej, a jednocześnie bliskiej myśleniu i odczuwaniu Japończyków, to musi albo poświęcić się studiowaniu zen (co wcale nie jest proste ani szczególnie dostępne dla pracujących non stop mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni), albo… szukać szczęścia i oświecenia w rozmaitych buddyjskich sektach. Aum Najwyższa Prawda doprawiła ów buddyzm w sposób specyficzny, ale… nie była w tym szczególnie odosobniona, bowiem japońska religijność w ogóle często przybiera dziwne formy (tyle że zazwyczaj nie oznacza to „zbrodnicze"). I tak japoński buddyzm milczy niemal zupełnie o reinkarnacji, która została zastąpiona świadomością ostatecznego rozpłynięcia się w szintoistycznym kami, sacrum, a japońskie chrześcijaństwo… przybiera często parabuddyjskie czy szintoistyczne formy.

Pomieszanie z poplątaniem właściwe religijności w Japonii doskonale widać też w pseudoreligii stworzonej przez Shōkō Asaharę. Ten rzekomy mistyk łączył ze sobą – bez ładu i składu –

eprasa.pl c7db8fdf58

Japończycy dziecko po narodzinach niosą do świątyni shintō (na zdjęciu), ale ślub często biorą już u protestantów FOT. FOTOLIA

nie tylko elementy jogi, buddyzmu i hinduizmu, lecz także… przepowiedni Nostradamusa i ewangelikalnych wizji profetycznych. W efekcie przewidywał wybuch ostatecznej wojny między Stanami Zjednoczonymi a Japonią, która miała zniszczyć globalne społeczeństwo i wynieść do władzy sektę. A żeby ją przyspieszyć, to – tak jak żydowscy radykalni mesjaniści czy islamistyczni mahdyści – uznawał za konieczne wywołanie wojny za pomocą gromadzonego przez sektę arsenału broni chemicznej i biologicznej. Ostatnią szansą na powstrzymanie ataków miało być zwycięstwo w wyborach do japońskiego parlamentu. Jednak, jako że jeden z prawników ujawnił materiały sekty, a ona zemściła się na nim, mordując nie tylko jego, lecz także całą jego rodzinę, to media zwróciły się przeciwko sekcie i przegrała ona z kretesem, uzyskując niespełna 2 tys. głosów spośród miliona możliwych. To miał być sygnał, że armagedon trzeba wywołać przemocą, a zwyczajni ludzie nie są godni zbawienia. I właśnie to doprowadziło do zamachów. Atak na metro wcale nie był jednak pierwszym. „Walka z systemem" zaczęła się wcześniej – a konkretniej 27 czerwca 1994 r., gdy z ciężarówki ustawionej pod supermarketem w mieście Matsumoto zaczęto rozpylać gaz sarin. W efekcie zginęło siedem osób, a 58 trafiło do szpitala. Wtedy jednak władze ukręciły sprawie łeb, sugerując, że… był to wypadek spowodowany przez lobbystę, który chciał przetestować działanie pestycydów. Absurd? Jasne, że tak, ale w Japonii nie ma zwyczaju kwestionowania opinii władzy, więc został on kupiony i dopiero opublikowany dwa miesiące później list sekty sprawił, że działanie grupy stało się jawne, ale i to nie sprawiło, że zaczęto ją jakoś surowiej traktować.

Warto też sobie uświadomić, z jakim to systemem walczyli członkowie zbrodniczej sekty. Nie chodzi tylko o kapitalizm czy rynek ograniczający prawa jednostki, lecz także o jego specyficznie japoński charakter, w którym feudalizm, ścisły podział klasowy i rodowy łączą się z bardzo silnymi elementami kultu pracy. Tutaj nie bierze się urlopów (choć niektórzy je mają), bo nie wypada, a odpoczywa się na emeryturze. I biada temu, kto chciałby się z tego wyłamać. Skutki takiej decyzji poniósłby nie tylko on, lecz także jego bliscy, ci, którzy polecali go w pracy (a w Japonii, żeby trafić do pracy, trzeba mieć kogoś, kto nas poleci i kto – jeśli zawiedziemy – poniesie konsekwencje takiej swojej decyzji). Wolność jest tu więc mocno ograniczona, a zależność od rodziny, firmy, a także miejsca w społeczeństwie ogromna. Kto zawiedzie (zwłaszcza jeśli zawiedzie kilkukrotnie), ten musi ponieść tego konsekwencje.

Co to oznacza? Japonia jest krajem, w którym każdy ma pracę, a przynajmniej każdy może ją mieć. Jednak już to, jaka to jest praca, zależy od koligacji rodzinnych, znajomości i tego, jak zachowywaliśmy się w szkole. Nieoficjalnie wszyscy przyznają, że istnieją zbiory dokumentów, w których zapisuje się zachowanie, działanie oraz zdolności dziecka i w zależności od tego, jakie one są, takie miejsce będzie mógł zająć człowiek w strukturze społecznej. Jeśli ktoś w szkole rozrabiał, wagarował, nie przywiązywał wagi do nauki (nawet wakacje trwają w Japonii o wiele krócej, a o młodych ludziach, którzy mają studiować na Uniwersytecie Tokijskim, mówi się, że „codziennie muszą uczyć się tyle godzin, ile mają lat plus trzy"), to nie zrobi później kariery (chyba że należy do elity społecznej). Brak też charakterystycznego dla postchrześcijańskiego (ale wciąż przecież przesiąkniętego Ewangelią) Zachodu przekonania o konieczności miłosierdzia wobec tych, którym się nie udało. Ci, którzy nie budują Japonii, nie mają prawa do jej opieki ani do szacunku. A ci, którzy Japonię niszczą… nie mają prawa do miłosierdzia.

Z tej perspektywy nie powinno zaskakiwać, że dla sprawców zbrodni (nawet jeśli sprzeciw wobec przemocy wcale nie należy do najważniejszych elementów moralności japońskiej) nie mają oni wielkiego miłosierdzia i nie uznają ich za godnych odpuszczenia win. Kara śmierci jest naturalną konsekwencją ich czynów, a podejście do śmierci jest w Japonii odmienne niż w krajach europejskich. Tutaj godna śmierć, przyjęcie jej w postawie wojownika jest czymś absolutnie naturalnym, a uznanie swojej winy i godne stanięcie wobec konieczności poniesienia odpowiedzialności za swoje czyny pozostaje wpisane w kodeks moralny Japonii i w pewnym stopniu zmywa hańbę (która jest kategorią ważniejszą niż wina).

Takie podejście, czego trudno nie dostrzec, sprawia, że akurat w tej kwestii Japończycy zdają się traktować skazańców jak ludzi dorosłych, odpowiedzialnych za swoje czyny, podczas gdy świat zachodni traktuje ich jako niedojrzałe, nieodpowiedzialne dzieci. Może także dlatego, a nie tylko z powodu legendarnej pracowitości, Japończycy są w stanie odnosić takie sukcesy? Może, ale ja w każdym razie nie chciałbym być Japończykiem. To nie jest społeczeństwo dla Europejczyków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI

"TAM, GDZIE URODZIŁ SIĘ ORFEUSZ"

"LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI"

Cena: 151 zł

Oszczędność: 113zł

+

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303

KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł

Oszczędność: 289zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c7db8fdf58

Teresa Stylińska

Czy to możliwe, by 20. rocznica zawarcia porozumienia z Wielkiego Piątku, które utorowało drogę do zakończenia krwawego konfliktu w Irlandii Północnej, była ostatnią obchodzoną w pokoju i spokoju?

Dwadzieścia lat

Trudno sobie wyobrazić powrót walk i zamachów – a jednak taki właśnie obraz wyłania się z wypowiedzi przeciwników brexitu, zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i, jeszcze bardziej, w Irlandii i Unii Europejskiej. Wieszczą oni zgodnie, że jeżeli Wielka Brytania twardo odetnie się od Unii granicą, która oddziela Irlandię Północną od Republiki Irlandii, to porozumienie pokojowe nieuchronnie legnie w gruzach, to zaś oznacza powrót terroru. Jest to, jak sądzę, raczej straszak niż realna groźba, niemniej argument sam w sobie jest bez wątpienia nośny. Któż bowiem życzyłby sobie powrotu do czasów, gdy w Belfaście i całej Irlandii Północnej – a w mniejszym stopniu także w Irlandii i Wielkiej Brytanii – zamachy terrorystyczne były codziennością?

Porozumienie, znane także pod nazwą porozumienia z Belfastu, Irlandia, Wielka Brytania i osiem północnoirlandzkich partii zawarły w Wielki Piątek, który w 1998 r. przypadał 10 kwietnia. Stało się to późnym popołudniem, pod presją czasu i niemal w desperacji, bo mało kto już wierzył w powodzenie trwających od blisko dwóch lat rozmów, burzliwych i bardzo trudnych. Być może bliskość Świąt Wielkanocnych podziałała na uczestników mobilizująco, bo w historii zmagań Irlandczyków z Brytyjczykami mają one miejsce szczególne: w 1916 r. wybuchło powstanie wielkanocne, które zostało wprawdzie krwawo stłumione, ale otworzyło drogę do powstania Wolnego Państwa Irlandzkiego.

ODCIĘCI OD OJCZYZNY

Konflikt północnoirlandzki to ostatni etap prawdziwie dramatycznej historii, która przeciwstawiła małą Irlandię potężnej Anglii. Dla Anglików są to dzieje podboju i dominacji, dla Irlandczyków – opresji i rozpaczliwego oporu. Przyjazna współpraca obu narodów to kwestia ostatnich zaledwie 30, może 40 lat. Królowa Elżbieta II po raz pierwszy odwiedziła Irlandię dopiero w 2011 r., w stulecie wizyty swego dziadka Jerzego V. Wcześniej było to niemożliwe nie tylko ze względów bezpieczeństwa, lecz także z uwagi na nieprzychylną atmosferę. Zbyt wielka była wrogość społeczeństwa irlandzkiego do wszystkiego, co brytyjskie, a do monarchii w szczególności.

Przez ponad 200 lat, od końca XVII w., gdy klęska Irlandczyków w bitwie nad Boyne przypieczętowała podbój dokonany przez Anglię, do roku 1922, gdy powstało Wolne Państwo Irlandzkie, wspólne dzieje to historia walki o wyzwolenie. Obfitowała ona w wiele zrywów niepodległościowych, wyłącznie przegranych, a także dramatycznych wydarzeń natury ekonomicznej i społecznej, takich jak wielki głód, który wyniszczył Irlandię w połowie XIX w. i dał początek zapaści ludnościowej: zmarły setki tysięcy ludzi, równie wiele w geście rozpaczy wyemigrowało, głównie do Ameryki. Strat demograficznych z owego czasu Irlandia nie odrobiła do dzisiaj.

Powstanie wolnej Irlandii oznaczało spełnienie marzeń wielu pokoleń, ale zarazem otwarcie nowego, nieoczekiwanego pola konfliktu. W nowym państwie znalazło się bowiem tylko 26 z 32 istniejących na wyspie hrabstw. Sześć hrabstw północy, wchodzących w skład Ulsteru, dawnej krainy historycznej, pozostało w ramach Zjednoczonego Królestwa. Wydzielono je z uwagi na strukturę wyznaniową: w tych sześciu hrabstwach dwie trzecie mieszkańców stanowili protestanci, podczas gdy reszta Irlandii jest niemal w stu procentach katolicka. Od tej pory idea wyzwolenia spod władzy brytyjskiej została zastąpiona przez ideę zjednoczenia obu części Irlandii.

Podział wyspy według kryterium wyznaniowego mógłby nasuwać podejrzenie, że konflikt północnoirlandzki ma charakter religijny. Nic bardziej mylnego. Jest to w istocie konflikt narodowościowy, bo religia determinuje w Irlandii poczucie przynależności narodowej. Protestanci nie wyobrażają sobie, by Ulster (tej nazwy najchętniej używają) przestał być częścią Zjednoczonego Królestwa. Katolicy natomiast czują się Irlandczykami i boleśnie przeżywają to, że zostali odcięci od państwa irlandzkiego, które w 1937 r. stało się republiką.

WSPÓLNA SPRAWA

Nie wiadomo, co bawi dwóch dżentelmenów uwiecznionych na słynnym zdjęciu, ale widać, że śmieją się z całego serca i że w swym towarzystwie bardzo dobrze

eprasa.pl c7db8fdf58

Zamach bombowy przeprowadzony przez IRA w Belfaście 6 listopada 1971 r. FOT. LEIF SKOOGFORS/CORBIS/GETTY IMAGES

spokoju

się czują. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że parę lat wcześniej nie tylko nie utrzymywali kontaktów, lecz także serdecznie się nienawidzili. Stali przecież po przeciwnych stronach barykady: Martin McGuinness był szefem sztabu Irlandzkiej Armii Republikańskiej, a pastor Ian Paisley – liderem Demokratycznej Partii Unionistycznej (DUP) i niekwestionowanym przywódcą północnoirlandzkich protestantów, twardym i nieprzejednanym. „Oceniał mnie pewnie równie źle jak ja jego" – zauważył kiedyś McGuinness.

Owo zdjęcie zatem znakomicie ilustruje drogę, jaką przebyła Irlandia Północna i obie zamieszkujące ją społeczności po zawarciu porozumienia. W Ulsterze zwykło się o nim mawiać, że choć nie przyniosło trwałego pokoju, to dało prowincji upragniony spokój. Nadal nie ma tu mowy o prawdziwej zgodzie i pojednaniu. Katolicy i protestanci żyją we własnych, oddzielonych wysokimi murami dzielnicach, ich dzieci chodzą do różnych szkół, ich zmarli chowani są osobno. Jednak w Belfaście i innych miastach nie wybuchają już bomby, z rzadka tylko dochodzi do starć i zamieszek, a z ulic zniknęły wszechobecne niegdyś patrole wojskowe. To wcale niemało jak na miejsce, w którym w ciągu 30 lat terror pochłonął ponad 3,5 tys. ofiar.

Na porozumienie składa się szeroki pakiet postanowień dotyczących najróżniejszych dziedzin. Odnotujmy przede wszystkim powstanie samorządu – lokalnego parlamentu i rządu. Decyzje przez nie podejmowane muszą mieć zapewnioną aprobatę obu społeczności, co znakomicie służy poczuciu sprawiedliwości, ale nierzadko powodowało poważne konflikty i paraliżowało pracę władz. Powołano także instytucje wiążące Irlandię Północną z republiką oraz Irlandię z Wielką Brytanią – co można potraktować w kategorii otwartej deklaracji, że wszystko, co dotyczy Irlandii Północnej, jest wspólną sprawą obu krajów. W wymiarze praktycznym zdecydowano np., że mieszkańcy prowincji będą mogli posiadać dwa paszporty – brytyjski i irlandzki. Wcześniej też było to możliwe, ale tylko z mocy prawa Irlandii.

Prawdziwie przełomowe czy wręcz rewolucyjne są jednak te punkty porozumienia, które dotyczą przyszłości Irlandii Północnej. Kwestię jej przynależności państwowej rozwiązano bowiem w sposób, który dla wielu, i to po obu stronach granicy, stał się prawdziwym wstrząsem. Oto Irlandia zrezygnowała z roszczeń do jurysdykcji nad całą wyspą, natomiast Wielka Brytania zaakceptowała ewentualność oderwania Ulsteru i przyłączenia go do republiki, pod warunkiem że zjednoczenie obu części Irlandii zaakceptuje większość mieszkańców prowincji. Dla pastora Paisleya, którego partia jako jedyna zbojkotowała rozmowy, było to równoznaczne ze zdradą. „Największą, jakiej kiedykolwiek doświadczyli unioniści" – oświadczył.

Katolicy na ogół zapatrywali się na to bardziej przychylnie. Nie bez powodu: proporcje ludnościowe w prowincji powoli zmieniają się na ich korzyść. Odsetek ludności katolickiej, przez lata wynoszący ok. jednej trzeciej mieszkańców, przekroczył już 40 proc.

GRANICA POD OSTRZAŁEM?

Dla perspektyw prowincji fundamentalne znaczenie miały postanowienia dotyczące bezpieczeństwa – trudne do uzgodnienia, a jeszcze trudniejsze do wprowadzenia w życie. Kwestią kluczową było rozbrojenie paramilitarnych organizacji terrorystycznych: po stronie katolickiej przede wszystkim IRA i Irlandzkiej Armii Wyzwolenia Narodowego (INLA), po stronie protestanckiej wielu mniejszych, ale groźnych grup, takich jak Stowarzyszenie Obrony Ulsteru (UDA) czy Ochotnicze Siły Ulsteru (UVF). Było oczywiste, że jeżeli terroryści nie zgodzą się na oddanie broni, to zarysowujący się pokój będzie kruchy i niepewny, a Irlandia Północna pozostanie prawdziwą beczką prochu.

Z drugiej strony dla terrorystów posiadanie broni stanowiło zrozumiałą gwarancję zachowania siły i znaczenia. Chociaż więc porozumienie wielkopiątkowe zyskało w społeczeństwie aprobatę, bo uznano je za jedyną realną szansę na pokój (w referendum, które odbyło się w maju 1998 r., poparło je 71 proc. mieszkańców Ulsteru), to sprawa rozbrojenia ciągnęła się jeszcze długo. IRA ostatecznie ujawniła i oddała swe arsenały dopiero w 2005 r., a organizacje lojalistów protestanckich ociągały się jeszcze dwa lata dłużej. Gdyby zachowały broń, przeciwnicy brexitu mieliby z pewnością argumenty znacznie bardziej ważkie niż te, po które obecnie sięgają.

Tok ich argumentacji przedstawia się bowiem mniej więcej tak: przez 20 ostatnich lat granica między Ulsterem i republiką właściwie się zatarła. Mieszkańcy obu części Irlandii mają pełną swobodę jej przekraczania, bo nie ma posterunków ani kontroli. Mogą bez przeszkód pracować, handlować czy uczyć się po drugiej stronie. Jeżeli Wielka Brytania po opuszczeniu Unii zechce granicę przywrócić, to powrócą punkty kontrolne i obserwacyjne, a to może sprowokować terrorystów, niezadowolonych, że Irlandia znowu się dzieli.

Czy jest to rozumowanie słuszne? Obawy, że przywrócenie granicy ograniczy mieszkańcom nadgranicznych rejonów szanse na pracę i zarobek, nie są całkiem bezpodstawne. Trudno też zaprzeczyć, że brexit raczej oddali obie części Irlandii od siebie, nawet jeśli, jak obiecał rząd Theresy May, mieszkańcy Ulsteru nie stracą irlandzkich paszportów. Od tego jednak daleka jest droga do powrotu terroru. Jak mówi David Trimble, współtwórca porozumienia, nagrodzony za nie Pokojową Nagrodą Nobla, „mniemanie, że brexit je zniweczy, to kompletna bzdura". Trimble popiera brexit – ale wierzy w pokój.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

SZEWACH WEISS

Sępy nad Syrią

Ubiegłotygodniowy szczyt liderów trzech mocarstw – prezydenta Rosji Władimira Putina, prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğana oraz prezydenta Iranu Hasana Rouhaniego – przypominała inne znane z historii konferencje, na których spotykali się światowi przywódcy i tworzyli nową mapę świata czy regionu. Tak zwane Państwo Islamskie nie istnieje, ale ideologia jego twórców przetrwała. Rosji i w pewnym stopniu Iranowi udało się w tym trudnym okresie doprowadzić do utrzymania u władzy Baszara al-Asada, kosztem siedmioletniej tragedii i setek tysięcy ofiar, w tym ponad 200 tys. młodych ludzi i dzieci. Jak wygląda sytuacja z punktu widzenia każdego z prezydentów uczestniczących w szczycie?

Dla Rosji, Turcji i Iranu Syria stała się polem, na którym mogły działać według własnych interesów. Umożliwiła im to polityka amerykańska wobec tego kraju. Ani Barack Obama, ani Donald Trump nie mieli interesu gospodarczego czy jakiegokolwiek innego związanego z Syrią. To biedny kraj, nie posiada zasobów ropy naftowej, więc Stany okazały bierność. Rosja, Turcja i Iran mogły realizować swoje interesy, które nie są zbieżne. Liderzy trzech mocarstw spotkali się, by je pogodzić, a szczyt ten będzie miał ogromny wpływ na przyszłość Syrii, Syryjczyków i być może całego Bliskiego Wschodu.

Najważniejszą korzyścią, a może jedyną, do której dąży Turcja, jest oddalenie zagrożenia ze strony Kurdów. Właśnie w tym celu okupuje północno-zachodnią część Syrii w rejonie Afrin i tworzy tam tymczasową administrację, na której czele obsadza swoich urzędników. Iran cały czas trzymał stronę Baszara al-Asada i razem z ruchem terrorystycznym Hezbollah wsparł go w walce z powstańcami. Rosja zaś wykorzystała wojnę w Syrii i brak zaangażowania Amerykanów, by wrócić na Bliski Wschód. I tak się stało. Z punktu widzenia strategicznego, politycznego i psychologicznego zwycięzcą wojny w Syrii jest Władimir Putin.

Czy wobec różnych motywów przywódcy dojdą do porozumienia? Zobaczymy. Nie warto prorokować, bo dynamika polityczna jest nieprzewidywalna, ale posuwając się do spekulacji politycznej opartej na doświadczeniu, można zwrócić uwagę na kilka kwestii. Po pierwsze, Turcja nie zostanie sojusznikiem Iranu ani w sprawach syryjskich, ani ogólnie jako państwo. Będzie dokładnie odwrotnie, bo oba kraje walczą o to, by grać pierwsze skrzypce na Bliskim Wschodzie i w świecie muzułmańskim. Po drugie, Iran zrobi wszystko, by mieć totalny wpływ na syryjski reżim i jego politykę, używając Baszara al-Asada jako politycznej kukiełki. Z kolei Rosja będzie musiała wypracować z Turcją jakiś modus vivendi, Turkowie bowiem raczej nie marzą o utrzymaniu władzy przez Baszara al-Asada, ale może zgodzą się na kompromis, mając nadzieję, że jego reżim będzie pod wpływem rosyjskim i irańskim, a w tej sytuacji Turcja zachowa wpływy w tej części Syrii, która teraz jest pod jej władzą.

Czy do Syrii wrócą uchodźcy? Miliony Syryjczyków żyją w Jordanii, Arabii Saudyjskiej i w różnych krajach w Europie. Jak będzie wyglądała odnowiona Syria terytorialnie, demograficznie i politycznie – tego nikt dziś nie wie, ale samodzielna na pewno nie będzie. Jaki ustrój będzie w niej panował? Być może „demokracja" – na podobieństwo tej rosyjskiej, tureckiej czy irańskiej.

Jaka jest w tym wszystkim sytuacja Izraela? Syria jest razem z Hezbollahem historycznym wrogiem. Hezbollah w dalszym ciągu ma wpływ w południowym Libanie na granicy z Izraelem, jest najgroźniejszym wrogiem z północy. Czy w najbliższej przyszłości z tej strony może się pojawić realne zagrożenie dla Izraela? Może. Jak to będzie wyglądało, z jakiej przyczyny – nie wiadomo. Może mieć nawet związek z sytuacją w Strefie Gazy, która w ostatnich tygodniach jest bardzo napięta i grozi szerszymi działaniami wojskowymi. Nigdy nie było łatwo być premierem Izraela czy Izraelczykiem, a z takimi niepokojami na Bliskim Wschodzie i takimi sąsiadami z północy jest jeszcze trudniej.

Jeśli istnieje jeszcze nadzieja na jakąkolwiek umowę pokojową, to tylko z udziałem Stanów Zjednoczonych. Na ostatnim spotkaniu z udziałem prezydenta Donalda Trumpa i Adila ibn Ahmada ad-Dżubajra, ministra spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej, faktycznym nowym liderem tego kraju, wzmocniła się idea dawnego planu pokojowego Arabii Saudyjskiej. Żyjemy zatem w Izraelu w obliczu codziennego zagrożenia z północy i południa, ale jednak z ciągłą nadzieją na osiągnięcie trwałego pokoju. ©℗ *oprac. raw*

„Do Rzeczy" poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną,** by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.

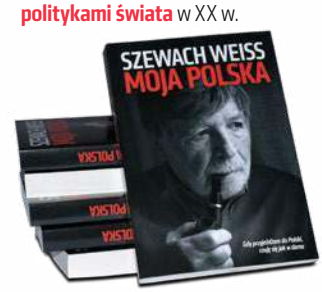

Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

eprasa.pl c7db8fdf58

FOT. FOTOLIA

Kompromis w sprawie hodowli drobiu i trzody chlewnej jest możliwy

W debacie publicznej coraz częściej przedstawia się duże fermy jako szkodliwe inwestycje, które przynoszą niewiele korzyści społeczeństwu, są natomiast zagrożeniem dla środowiska naturalnego i zdrowia. Organizacje drobiarskie stworzyły porozumienie, zawiązane przez Krajową Izbę Producentów Drobiu i Pasz oraz Ogólnopolski Związek Producentów Drobiu „Poldrób", aby pokazać głos rolników i przedsiębiorców, zajmujących się produkcją zwierzęcą oraz interesu gospodarczego państwa.

FERMA – SPOŁECZEŃSTWO VS JEDNOSTKA?

Gdy mówi się o dużych fermach, zwykle przedstawia się je jako inwestycję pojedynczego rolnika, przedsiębiorcy, który kosztem lokalnej społeczności osiąga gigantycznie zyski. Tymczasem budynki inwentarskie są kluczowym ogniwem sektora mięsnego. Sam tylko polski rynek drobiowy wart jest dziś 2,1 mld euro. Bez ferm sektor ten nie mógłby się rozwijać. Stabilna i wysokojakościowa baza surowcowa jest niezbędna, aby rodzime przedsiębiorstwa przetwórcze mogły rywalizować z firmami na świecie.

CZY EKOLODZY MAJĄ RACJĘ?

Niektóre organizacje ekologiczne twierdzą, że duże fermy są szkodliwe dla środowiska i zdrowia. Tymczasem, jak pokazują organizacje branżowe, dzięki nowoczesnym technologiom duże fermy – w przeliczeniu na ptaka – produkują mniej obornika, mniej ścieków oraz zużywają mniej wody niż w przypadku chowu tradycyjnego. To najbardziej efektywny dla środowiska sposób zapewniania ludziom białka zwierzęcego. Duże fermy objęte są restrykcyjnymi normami środowiskowymi. Muszą również dbać o dobrostan zwierząt, gdyż złe warunki chowu bezpośrednio przekładają się na mniejsze zyski.

WIEŚ TO OBSZAR PRODUKCJI ROŚLINNEJ I ZWIERZĘCEJ

Wbrew pozorom powyższe stwierdzenie nie jest w dzisiejszych czasach tak oczywiste jak jeszcze niedawno. Wieś obecnie przyciąga bardzo wielu ludzi, którzy szukają spokoju i bliskości natury. Czasami zdarza się, że na wieś przeprowadzają się też osoby, które chcą prowadzić zdrowy tryb życia. Niekiedy fermom przeciwni są ludzie, którzy zrezygnowali z działalności rolniczej i pozostając na wsi, znajdują zatrudnienie w mieście. To paradoks, gdyż tereny wiejskie to jedyne możliwe obszary lokowania ferm.

POWODY ZŁEJ SŁAWY FERM

Niechęć części mieszkańców i samorządów nie wynika wyłącznie ze zmiany sposobu postrzegania wsi czy względów ludzkich. Wiele konfliktów społecznych, których teraz jesteśmy świadkami, wynika z niewłaściwych działań samych rolników i przedsiębiorców. Budują oni fermy zbyt blisko zabudowań lub w miejscach do tego niedostosowanych. Pojedyncze praktyki tego typu rzutują na całą branżę.

SZANSA NA KOMPROMIS

W Danii i w Holandii, które są znacznie gęściej zaludnione niż Polska, udało się wypracować kompromis. Rolnicy bez przeszkód inwestują, gdyż rolnictwo jest siłą napędową całej gospodarki. Polska ma znacznie lepsze warunki, aby rozwijać produkcję zwierzęcą i być światowym liderem nie tylko w produkcji drobiu, lecz także trzody chlewnej. Wsparcie administracyjne w postaci kodeksu urbanistyczno-budowlanego, nad którym toczą się prace, uwzględniającego potrzeby hodowców z jednej strony, jak też dbałość o dobre i uczciwe relacje z mieszkańcami sąsiadującymi z fermami hodowlanymi oraz lokowanie ferm we właściwych odległościach od zabudowań pozwoliłyby urzeczywistnić ten cel.

eprasa.pl c7db8fdf58

FOT. FOTOLIA

CZESI CHCĄ ZMIENIĆ HYMN

Czeski Komitet Olimpijski (COV) zaproponował zmianę hymnu narodowego. Nie chodzi tu o jakieś poprawnościowe poprawki, takie jak w Kanadzie, gdzie Boga należało uczynić rodzajem nijakim. COV podszedł do hymnu pragmatycznie i stwierdził, że po prostu trwa za krótko (45 sekund), by sportowcy po zwycięstwach mogli nacieszyć się ceremonią. Zaproponowano cztery nowe wersje hymnu autorstwa Milosza Boki. Co do sekund – 75 – jest zgoda, ale Czesi dyskutują jeszcze o nowej treści.

UKARANY ZA DZIURĘ W DRODZE

Pewien Rosjanin w ubiegłym roku w mieście Penza wracał rowerem do domu z pracy. Wpadł w dziurę, przewrócił się, poobijał i zniszczył swój rower. Mężczyzna opisał całą sytuację, zebrał zeznania świadków i zgłosił się na policję, bo zamierzał walczyć o odszkodowanie. Miejscowa drogówka uznała, że to on uderzył w dziurę i sam odpowiada za szkody. Ukarała go mandatem w kwocie 80 rubli. Rowerzysta odwołał się od tej decyzji. Sąd okazał się łaskawszy. Uznał, że jego wykroczenie nie było wielkiej wagi i należy ograniczyć się do ustnego napomnienia.

JAK NA WYBORACH W USA

W Teksasie w USA przestępcy, którzy wychodzą na wolność, muszą być ostrożni i uważać, co robią. Pani Crystal Mason oddała głos w wyborach prezydenckich w 2016 roku i właśnie została za to skazana na pięć lat więzienia. Pani Mason siedziała wcześniej w więzieniu za oszustwa podatkowe. Wyszła wcześniej warunkowo na wolność w ramach trzyletniego okresu próbnego. W jego trakcie nie wolno jej było m.in. głosować w wyborach. I choć adwokat przekonywał, że o tym nie wiedziała, sąd uznał, iż to jej problem. Wraca za kratki.

Z kolei w Vermont o nominacje do startu w wyborach na gubernatora z Partii Demokratycznej ubiega się właśnie 13-latek. To najmłodsza osoba w historii, która chce startować w wyborach w tym stanie. Prawo stanowe nie ma bowiem zapisanego limitu wieku. Dopiero teraz sekretarz stanu Vermont zapowiedział, że władze przedyskutują wprowadzenie takiego ograniczenia.

WYSŁAŁ WIĘŹNIÓW PO WÓDKĘ

W więzieniu La Picota w Bogocie strażnik urządził sobie małą popijawę z dwoma osadzonymi. Kiedy skończył się im własny trunek, więźniowie przekonali go, że wyskoczą na wolność, by kupić więcej płynów z procentami. Zarzekali się, że wrócą. Strażnik im, niestety, uwierzył. Został bez więźniów i bez alkoholu. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Włoski socjalizm realny

Jeśli ktoś chciałby sprawdzić, jak wygląda w najlepszym z ustrojów rozbestwienie „ludzi pracy", powinien przyjechać do Rzymu.

Pojechałem do urzędu podatkowego po zaświadczenie, że płacę podatki w Italii. Wydawałoby się, że wystarczy zajrzeć do systemu komputerowego, w którym figuruję od 18 lat. Nie we Włoszech. Złożyłem podanie i usłyszałem, że dokument będzie za miesiąc. Czyli w bogatym, skomputeryzowanym kraju na banalny świstek trzeba czekać 31 dni i wystawać w kolejkach.

Wracałem autobusem. Miałem po trzykroć szczęście. Po pierwsze, przyjechał, a co czwarty rzymski autobus nie wyjeżdża w trasę z powodu awarii lub choroby kierowcy (15 proc. kierowców jest codziennie na chorobowym). Po drugie, wszystkie kasowniki były popsute. Po trzecie, nie było strajku, a komunikacja miejska strajkuje dwa razy w miesiącu. Potem poszedłem nadać list polecony. Czekałem godzinę. Pocztowcy pracowali w krótkich przerwach między pogaduszkami. W końcu jednak zblazowana pani przyjęła mnie… nie, nie, nie uśmiechem, a ziewnięciem, które przypomniało mi pierwszą wizytę w zoo u hipopotama. Niewiasta nawet nie próbowała zasłonić sobie paszczy.

Wszystkich łączy jedno: mają poczucie totalnej bezkarności. Absurd zaszedł tak daleko, że nie można było wylać na zbity pysk tych, którzy na lotnisku w Mediolanie okradali powierzone im bagaże pasażerów. A co powiecie o nauczycielu pedofilu, który był „nie do ruszenia"? Związki zawodowe mówią z dumą o „wywalczonych zdobyczach socjalnych". Należy do nich również zwoływanie „zebrania związkowego", gdy prawo na strajk nie zezwala. Tak kiedyś stanęły wszystkie banki.

Jeśli coś się włoskiej lewicy naprawdę udało, to zdemoralizować sporą część narodu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c7db8fdf58

Być mądrym przed szkodą

Sektor ubezpieczeniowy tworzy 2 proc. polskiego PKB, ubezpiecza 60 proc. majątku polskich firm i zapewnia 225 tys. miejsc pracy **– wynika z raportu „Jak ubezpieczenia zmieniają Polskę i Polaków?" przygotowanego przez Polską Izbę Ubezpieczeń i Deloitte`a.**

W raporcie omówiony został wpływ branży ubezpieczeniowej na trzy obszary: gospodarkę, przedsiębiorstwa i osoby prywatne. Podane liczby, przykłady i zestawienia mają zachęcić Polaków do refleksji w jaki sposób mogą jeszcze lepiej wykorzystać możliwości, jakie daje im ochrona ubezpieczeniowa. Refleksja wydaje się niezbędna, ponieważ rola sektora ubezpieczeniowego w Polsce jest wciąż mniejsza niż w krajach zachodnich. Bo jako Polacy nadal niechętnie się ubezpieczmy, mimo, że paradoksalnie, nie lubimy ryzyka. Istnieje bowiem korelacja między zamożnością społeczeństwa, a skłonnością do ubezpieczania się. Im zamożniejsze, czyli dysponujące wolną nadwyżką w budżecie, z coraz większą świadomością, że nie należy ryzykować utraty swojego majątku, tym większa chęć zabezpieczenia go. Tak samo w przypadku przedsiębiorców - jeśli będą w trudnej sytuacji finansowej, będą szukali oszczędności na ubezpieczeniu, ryzykując utratę wszystkiego. Jeśli idzie im dobrze, na pewno takiego ryzyka nie podejmują.

Ubezpieczenia a gospodarka

Wkład branży ubezpieczeniowej w rozwój naszego kraju i jej udział w PKB jest bardzo istotny. To 2 proc. PKB, czyli 36 mld wartości dodanej, którą branża generuje. Ubezpieczyciele zainwestowali 160 mld zł w polską gospodarkę, z czego 60 mld zł w obligacje skarbowe. Tym samym są oni drugim po bankach polskim inwestorem na rynku długu. Branża wpływa też na gospodarkę poprzez swoje wpłaty podatkowe do budżetu, które w 2016 roku wyniosły 1,62 mld zł. Ubezpieczyciele udzielają wsparcia przedsiębiorcom na różnych poziomach. Pierwszy to ochrona majątku. Wartość chronionego majątku wynosi 1,7 bln zł, co odpowiada 60 proc. całego majątku zgromadzonego przez polskich przedsiębiorców. Kolejnym elementem wsparcia dla przedsiębiorstw jest zapewnianie stabilności finansowej. Branża ubezpiecza 460 mld zł obrotu, bo jak wiadomo, opóźnienia w płatnościach są bolączką przedsiębiorstw. Do tego dochodzą gwarancje ubezpieczeniowe. Z raportu PIU i Deloitte`a „Jak ubezpieczenia zmieniają Polskę i Polaków?" wynika, że z tego tytułu rocznie wypłacanych jest około 100 mln zł. Branża bezpośrednio tworzy też około 27 tys. miejsc pracy - tyle osób pracuje w niej na etatach. Gdyby dodać do tego miejsca stworzone dzięki ubezpieczycielom w innych branżach, wychodzi 225 tys. etatów. Plus około 180 tys. osób pracujących w charakterze pośredników, agentów ubezpieczeniowych itp. Daje to w sumie 400 tys. miejsc pracy. To znacząca dla gospodarki liczba.

Przezorny Polak

Najpopularniejszym w Polsce ubezpieczeniami są polisy komunikacyjne. Branża wypłaca rocznie 12 mld zł za szkody związane z wypadkami, kolizjami i kradzieżami pojazdów. Oprócz tego w 2016 roku aż 4,5 mln osób otrzymało świadczenia z tytułu ubezpieczenia na życie. Ubezpieczenia te mają istotną funkcję w budowaniu oszczędności długoterminowych. Coraz chętniej też podróżujemy - w 2017 roku wakacje poza Polską spędziło 4,2 mln osób, a koszt wypłaconych świadczeń z tytułu ubezpieczenia turystycznego, które pokrywało koszty leczenia, zgubionych bagaży i transportu chorych, wyniósł około 170 mln zł. Na pewno rośnie świadomość naszych rodaków w zakresie ubezpieczeń majątkowych. Wpływ na to miał chociażby zwiększony dostęp do kredytów - gdy banki wymagały ubezpieczenia hipoteki od nieszczęśliwych zdarzeń. Także nowe budynki, nowo powstające wspólnoty nakładają na swoich mieszkańców i członków obowiązek ubezpieczeniowy. I wreszcie - dzięki ubezpieczycielom dwa miliony Polaków może korzystać z prywatnych ubezpieczeń, zapewniając sobie szybki dostęp do lekarza i nowoczesnej diagnostyki.

Marta Szuma

GOSPODARKA

2% PKB
łącznego wkładu branży w polską gospodarkę

160 mld zł
inwestycji w polską gospodarkę

60 mld zł
inwestycji branży w obligacje skarbowe

35,9 mld zł
wartości dodanej w polskiej gospodarce wygenerowanej przez branżę

225 tys.
etatów tworzonych przez ubezpieczycieli we wszystkich branżach (bez samozatrudnionych)

PRZEDSIĘBIORSTWO

460 mld zł
ubezpieczonego obrotu polskich firm w 2016 r.

114 mld zł
wartość polskiego eksportu chroniona przez ubezpieczycieli

60%
majątku polskich firm objętych ubezpieczeniami

874 mln zł
wartość wypłaconych odszkodowań i świadczeń z tytułu ubezpieczenia OC przedsiębiorców i OC w życiu prywatnym osób fizycznych

30%
upraw rolniczych w Polsce ubezpieczona od zdarzeń pogodowych

CZŁOWIEK

10 mln
ubezpieczeń domów i mieszkań w Polsce (wraz z ruchomościami domowymi)

2 mln
Polaków korzystających z prywatnej opieki zdrowotnej w ramach ubezpieczenia (na koniec I kw. 2017r.)

nawet 25%
wzrostu emerytury dzięki regularnemu oszczędzaniu (100 zł mesięcznie)

18,3 mld zł
wartość odszkodowań i świadczeń wypłaconych z ubezpieczeń na życie

12,1 mld zł
pensji otrzymali zatrudnieni w różnych branżach dzięki działalności ubezpieczycieli

reklama

eprasa.pl c7db8fdf58

Pożegnanie z Facebookiem?

Jacek Przybylski

Chociaż dziś wielu wydaje się to niewyobrażalne, to największy portal społecznościowy świata może podzielić los Yahoo, MySpace, Nokii, BlackBerry, Kodaka czy Pan Am. Aby do tego nie dopuścić, niektórzy udziałowcy żądają już głowy Marka Zuckerberga

Gdyby akcjonariusze Facebooka przez ostatnie kilka lat mieli wybierać ikonkę, którą zamieściliby pod ostatnimi doniesieniami dotyczącymi sposobu zarządzania technologicznego giganta, wybieraliby zapewne serduszka, uśmieszki czy tradycyjne lajki. Strategia młodziutkiego ulubieńca Wall Street, który w niecałe 15 lat od założenia serwisu zdobył aż 2,2 mld użytkowników, a jego portal stał się jedną z pięciu najbardziej wartościowych firm na całym świecie, przynosiła świetne rezultaty. Zysk netto Facebooka tylko w ciągu ostatniego roku wzrósł o 56 proc. do niemal 16 mld dol.

Dzisiaj ikonka zdziwienia to zapewne najlepsze, na co mógłby liczyć Mark Zuckerberg, założyciel i dyrektor generalny Facebooka. Dominowałyby wyrazy smutku oraz złości. 19 marca, gdy na jaw wyszła afera wokół Cambridge Analytica, wartość najpopularniejszego portalu społecznościowego stopniała w ciągu jednego dnia o 40 mld dol., a w ciągu kolejnych tygodni spadek ten się pogłębił, dochodząc do ponad 100 mld dol.

Dlaczego? Firma Cambridge Analytica, która m.in. brała udział w kampanii wyborczej Donalda Trumpa, jest oskarżana m.in. o pozyskanie i wykorzystanie w komercyjnych celach danych osobowych ok. 50 mln użytkowników Facebooka. Według brytyjskich i amerykańskich dziennikarzy dane te miały zostać nielegalnie użyte podczas kampanii przedwyborczej w roku 2016.

Jak ujawnił w zeszłym tygodniu Mark Zuckerberg, Cambridge Analytica mogła pozyskać dane aż 87 mln użytkowników – głównie ze Stanów Zjednoczonych, ale również z Wielkiej Brytanii, Australii (ok. 300 tys. osób), a także z Polski (chodzi o profile nieco ponad 57 tys. Polaków).

Inwestorzy wpadli w panikę, bo Facebook znalazł się w najpoważniejszych od wielu lat tarapatach. Afera dobitnie przypomniała bowiem ludziom na całym świecie, że choć teoretycznie nie muszą płacić za korzystanie z Facebooka, to praktycznie płacą za to słono, przekazując kierowanej przez Zuckerberga firmie masę informacji o sobie. I robią to nawet, jeśli nie dzielą się z „przyjaciółmi" każdym zdjęciem i każdą nową informacją o swoim życiu. Firmom marketingowym wystarczy, że wiedzą, ile mamy lat, jakie mamy wykształcenie czy jakie treści lajkujemy. Za tzw. mikrotargetowanie behawioralne z wykorzystaniem danych demograficznych oraz analizy osobowości firmy marketingowe żądają od klientów ogromnych pieniędzy.

WIELKA AKCJA KASOWANIA

W połowie marca na Twitterze zapoczątkowana została więc akcja #deletefacebook. Konta na Facebooku usunął już np. Elon Musk – ekscentryczny twórca

eprasa.pl c7db8fdf58

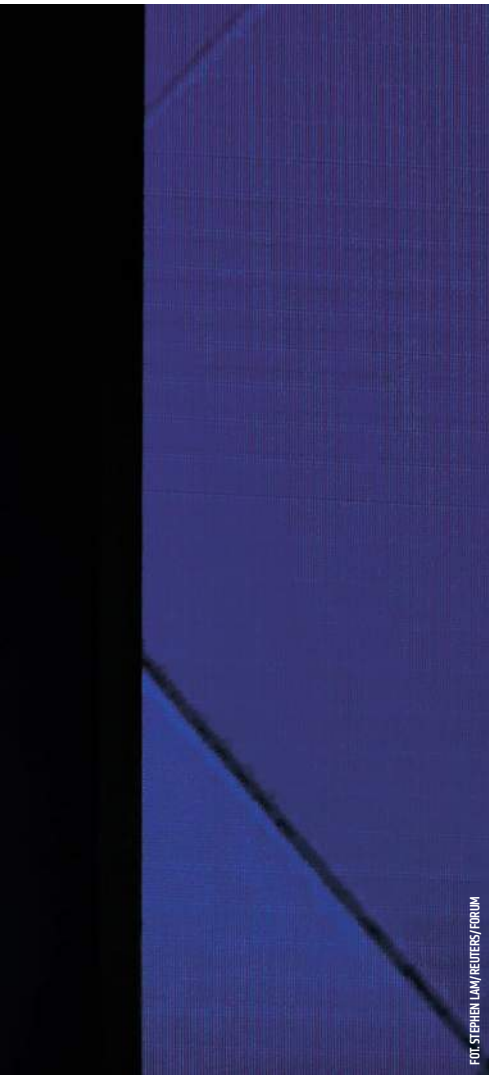
FOT. STEPHEN LAM/REUTERS/FORUM

Tesli, PayPala i SpaceX. O skasowanie profili na portalu założonym przez Marka Zuckerberga zaapelował również do wszystkich Brian Acton, współtwórca popularnej aplikacji WhatsApp, którą Facebook w 2014 r. kupił za 16 mld dol.

Firmowe konta na Facebooku zamknęli też lub zawiesili szefowie firm, którzy chcieli w ten sposób zamanifestować, że prywatność swoich klientów traktują jako nadrzędną wartość. W popularnym serwisie społecznościowym nie ma więc już profili takich marek jak Mozilla czy Commerzbank. Swoje konta z Facebooka usunął też „Playboy" (łącznie skupiały one ok. 25 mln fanów). W Polsce na taki ruch zdecydował się m.in. właściciel kantoru internetowego Cinkciarz.pl.

Odejście nawet miliona użytkowników nie miałoby dla portalu wielkiego znaczenia. Prawdziwym problemem jest krytyka ze strony reklamodawców oraz polityków w wielu krajach świata, którzy mogą zaostrzyć przepisy dotyczące prywatności i ochrony danych, a co za tym idzie – nałożyć regulacyjny kaganiec na model biznesowy Facebooka, który oparty jest na przychodach z reklam.

Atmosfery wokół Facebooka nie poprawiła też informacja o tym, że Zuckerberg co prawda przeprosił i wielokrotnie przekonywał, że „jest mu naprawdę przykro", ale odmówił stawienia się w sprawie afery w brytyjskiej Izbie Gmin. Głos zabrała zaś sama szefowa rządu Wielkiej Brytanii. – Wyrażam nadzieję, że Facebook zrozumie, jak ważna dla ludzi jest obecna sytuacja i dlaczego są nią tak zmartwieni, i zapewni komisji możliwość uzyskania odpowiedzi na niezbędne pytania – oznajmiła Theresa May pod koniec marca. Na wezwanie przed amerykański Kongres Mark Zuckerberg musiał więc już odpowiedzieć pozytywnie. We wtorek 10 kwietnia założyciel i dyrektor Facebooka będzie przepytywany przez członków Komisji ds. Energii i Handlu.

To nie koniec prawnych problemów Facebooka. Śledztwo w sprawie skandalu dotyczącego Cambridge Analytica wszczęły też władze Australii. Chcą sprawdzić, czy społecznościowy gigant złamał australijskie prawo dotyczące ochrony danych osobowych.

Jednocześnie konserwatywni komentatorzy od dawna krytykowali Facebook za niesłuszne cenzurowanie prawicowych treści, a także za stwarzanie pola do działania dla rosyjskich trolli. Po wybuchu afery społecznościowy gigant wykonał wiele zabiegów wizerunkowych. Wprowadził aktualizację ustawień prywatności. Zabrał się też wreszcie do kremlowskich trolli. Facebook zapowiedział także, że w ciągu pół roku zakończy współpracę z partnerami zewnętrznymi, którzy zbierają dane o użytkownikach w celu targetowania reklam.

Najsilniejsza od 2012 r. przecena akcji Facebooka sprawiła, że na wartości stracili też inni giganci technologiczni, tacy jak Alphabet i Apple. Inwestorzy przestraszyli się bowiem, że silna krytyka może doprowadzić do zaostrzenia prawnych regulacji dotyczących ochrony prywatności użytkowników nie tylko Facebooka, lecz także np. Google czy innych spółek, a to mogłoby doprowadzić do zmniejszenia zysków całego sektora.

Inwestorów wykładających pieniądze na Facebook niepokoić może również to, że serwis staje się powoli miejscem popularnym głównie wśród cyfrowych

REKLAMA

TO JUŻ REGUŁA
JACK REACHER
WYSIADA Z AUTOBUSU –
LEE CHILD
LĄDUJE NA LIŚCIE
BESTSELLERÓW!

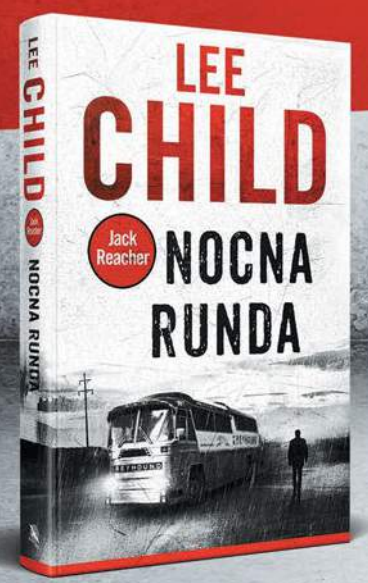

WYDAWNICTWO ALBATROS
Zapraszamy do salonów empik i na empik.com
onet | PLAYBOY | Multikino | TeleTydzień
ANTYRADIO | POCISK | PORTAL KRYMINALNY

eprasa.pl c7db8fdf58

dinozaurów (takich jak 37-letni autor tego tekstu), tymczasem młodzi – zniechęceni m.in. tym, że na portalu konta mają ich rodzice, a czasem nawet dziadkowie – całe dnie spędzają, korzystając z innych serwisów typu Snapchat czy Instagram. Z raportu eMarketer opublikowanego jeszcze przed wybuchem afery z Cambridge Analytica wynika, że tylko w tym roku z korzystania z Facebooka w samych USA i Wielkiej Brytanii zrezygnuje ponad 2 mln młodych. W siłę rosną też lokalni konkurenci Facebooka, tacy jak WeChat i rosyjski serwis VK.

WTOPA MURDOCHA

Nie wiadomo, czy i kiedy Facebook – obecnie najbardziej popularny serwis społecznościowy na świecie – podzieli los innych firm, które niegdyś były najpotężniejsze na rynku, a po latach stały się jedynie cieniem dawnych siebie.

Do grona takich firm należy największy konkurent Facebooka, czyli serwis MySpace. Założony w 2003 r. początkowo zyskiwał popularność znacznie szybciej niż portal Marka Zuckerberga. W ciągu roku zyskał miano króla światowych mediów społecznościowych, wywierając ogromny wpływ na amerykańską, i nie tylko, popkulturę. W lipcu 2005 r. został kupiony przez należący do Ruperta Murdocha koncern News Corporation za 580 mln dol. Dwa lata później serwis miał już 300 mln użytkowników, a jego wartość wyceniano na 12 mld dol. W szczycie swej popularności pod koniec 2008 r. tylko w samych Stanach Zjednoczonych MySpace przyciągał miesięcznie ok. 74 mln unikalnych użytkowników, a więc mniej więcej jedną czwartą wszystkich mieszkańców USA. W roku fiskalnym 2008 przyniósł też przychody w wysokości 800 mln dol.

Błędy w zarządzaniu i naciski na szybką monetyzację popularności serwisu ze strony inwestorów z Doliny Krzemowej sprawiły jednak, że MySpace zalały treści reklamowe. Ten strategiczny błąd sprawił, że serwis stał się passé, a na miejscu lidera mediów społecznościowych zastąpił go Facebook. Serwis nie zdołał też zdobyć popularności w wielu europejskich krajach – szybko zamknięto więc jego biura w Holandii i Polsce, gdzie plasował się daleko w tyle za takimi portalami jak Facebook czy jeszcze wtedy popularną Naszą-Klasą.

W 2011 r. koncern News Corporation wystawił MySpace na sprzedaż. Murdoch chciał za niego chociaż 100 mln dol. Ostatecznie dawny lider serwisów społecznościowych został opchnięty za marne 35 mln dol. firmie Specific Media, która po pięciu latach odsprzedała go koncernowi Time Inc.

Kurs akcji Facebooka (w dolarach)

Źródło: Yahoo.com

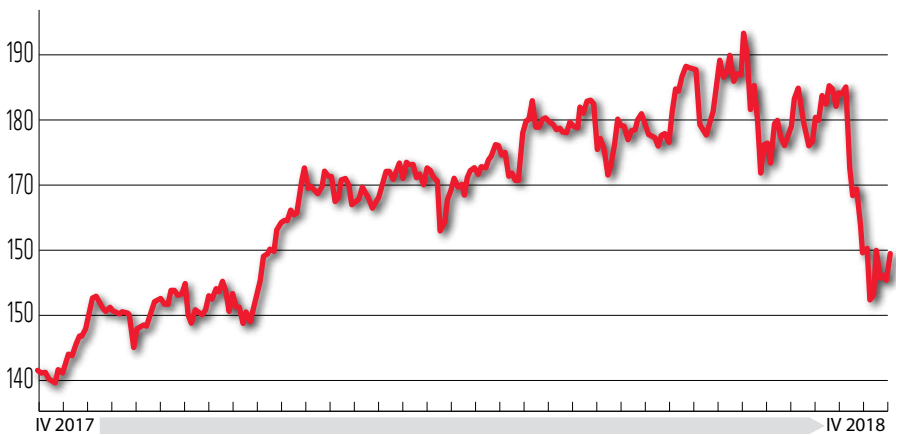

RYS. PEGAZ

Nad Wisłą przykładem legendarnego serwisu była Nasza-klasa.pl. Do 2010 r. to właśnie tam kwitło wirtualne życie niemal 15 mln Polaków. Nasza-klasa.pl zbyt późno uruchomiła jednak aplikacje mobilne na iPhone'y i smartfony z systemem Android, dzięki czemu Facebook – od początku oferujący takie rozwiązanie – błyskawicznie nie tylko dogonił najbardziej popularny polski serwis społecznościowy, lecz także w 2012 r. wyprzedził już serwis Nk.pl. Z Facebookiem oraz aplikacjami typu WhatsApp przegrało też popularne niegdyś Gadu-Gadu. Zarówno Nasza-Klasa.pl (już jako Nk.pl), jak i GG istnieją nadal. Latem 2017 r. z Facebooka korzystało w Polsce 21,6 mln realnych użytkowników, z Nk.pl już tylko 1,54 mln, a GG.pl 321 tys. – podawał portal wirtualnemedia.pl.

KRÓLOWIE KOMÓREK

„Nokia. Miliard klientów – czy ktokolwiek jest w stanie dogonić króla telefonów komórkowych" – pytał na okładce 2007 r. magazyn „Forbes". W szczytowym momencie na początku XXI w. nazwa Nokia widniała aż na 40 proc. sprzedawanych na świecie telefonów komórkowych. Szefowie fińskiej firmy, która zrewolucjonizowała rynek urządzeń mobilnych, przegapili jednak smartfonową rewolucję i dali się wyprzedzić producentom urządzeń z systemem Android oraz iOS. Nokia ostatecznie przegrała bitwę z Apple, Samsungiem, LG, Sony czy HTC. Z pozycją liderów musieli się też pożegnać tacy giganci na rynku komórek jak Motorola czy BlackBerry.

Przykładem firmy, która wydawała się niezniszczalna, a znalazła się w tarapatach, jest też amerykańska Eastman Kodak – jeden z największych koncernów na świecie zajmujących się produkcją sprzętu fotograficznego i filmowego. Szefowie gigantycznego przedsiębiorstwa przespali cyfrową rewolucję i błyskawicznie zostali zmieceni z rynku, choć – o ironio! – pierwszy prototyp cyfrowego aparatu fotograficznego stworzył w 1975 r. Steve Sasson, inżynier pracujący właśnie dla Kodaka.

Ostatecznie w 2012 r. Eastman Kodak złożył wniosek o ochronę przed wierzycielami, bo choć jej aktywa były warte 5,1 mld dol., to długi przekraczały 6,7 mld dol. Ruch ten pozwolił legendarnej, założonej jeszcze w XIX w. firmie na przetrwanie w XXI w. I choć przedsiębiorstwo wybroniło się przed bankructwem, to działa już tylko w bardzo mocno okrojonej formie.

Do historii przeszła też amerykańska gwiazda szos: słynna marka Pontiac. W latach 70. z taśm produkcyjnych zjeżdżało milion tych aut rocznie. General Motors nie zadbał jednak o dostosowanie wyglądu samochodów tej legendarnej marki do zmieniającego się gustu Amerykanów. Auto stało się niemodne. W 2009 r. z taśmy produkcyjnej zjechał więc ostatni pontiac.

Wcześniej, bo w 1991 r., upadła inna amerykańska legenda: Pan American World Airways. W latach 50. XX w. marka Pan Am była drugą najbardziej rozpoznawalną na świecie, tuż po Coca-Coli. Złe zarządzanie oraz zamach nad Lockerbie doprowadziły jednak do bankructwa tej słynnej linii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

eprasa.pl c7db8fdf58

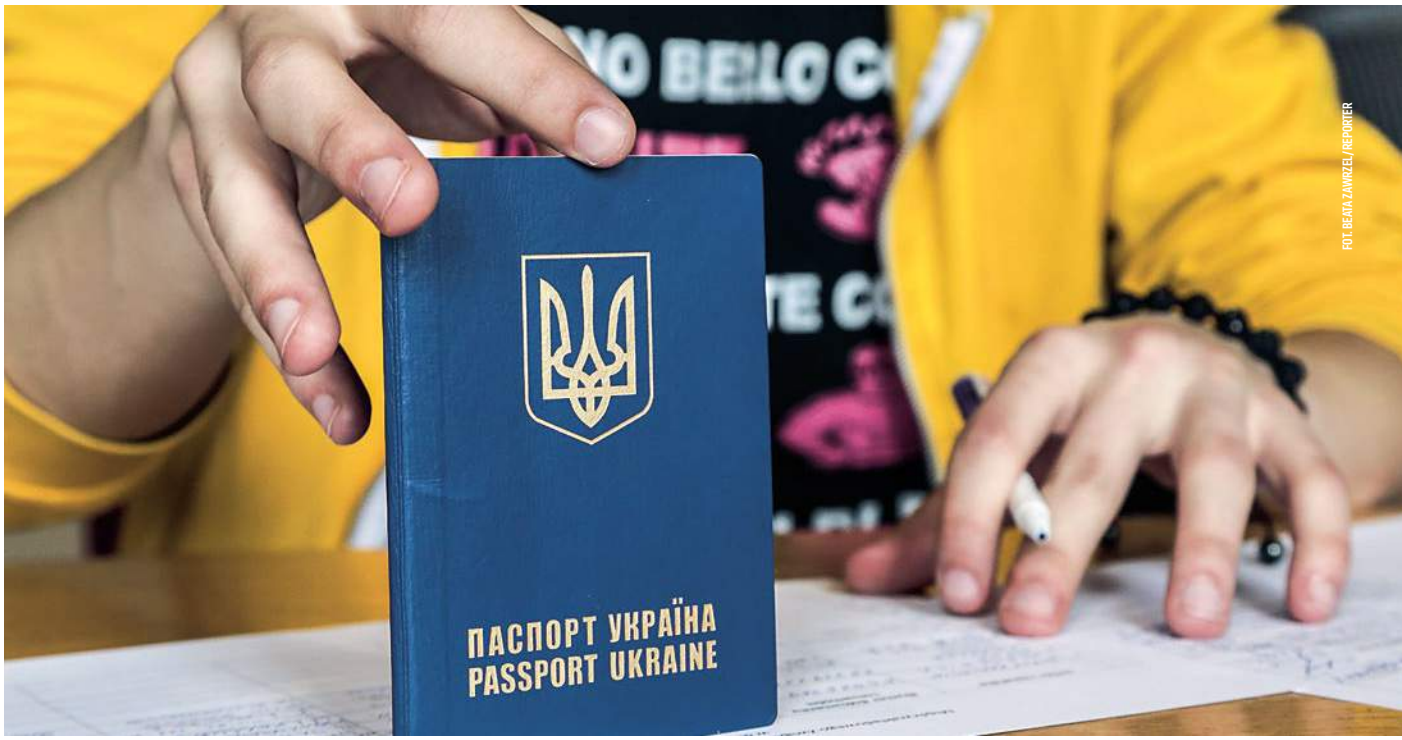

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Jak integrować Ukraińców

Maciej Pieczyński

Większość imigrantów zza południowo-wschodniej granicy przyjeżdża do Polski nie po to, by zacząć tu nowe życie, ale po to, by zarobić i wrócić do kraju. Warto jednak być kulturowo przygotowanym na ich przyjazd

Według danych Ministerstwa Inwestycji i Rozwoju co 10. polska firma zatrudnia Ukraińców. Z rąk do pracy imigrantów zza południowo-wschodniej granicy korzysta już 39 proc. dużych przedsiębiorstw nad Wisłą. Większość obywateli Ukrainy zatrudnionych jest w produkcji i usługach. Łącznie może być ich w Polsce ok. 1,3 mln. W 2017 r. pracodawcy złożyli 1,7 mln oświadczeń o zamiarze powierzenia pracy Ukraińcom. Jednak złożenie tego oświadczenia nie oznacza automatycznie legalnego zatrudnienia. Według szacunków ok. 40 proc. ukraińskich imigrantów pracuje na czarno. Stosunkowo często skarżą się na złe traktowanie ze strony pracodawców. Na łamach „Newsweeka" został niedawno opublikowany reportaż pod alarmującym tytułem: „Ukrainiec jest do pracy na czarno. Do oszukiwania. I do bicia". Lewicowo-liberalny tygodnik, zgodnie z linią redakcyjną, nakreślił manichejską wizję „złych Polaków", rasistów i ksenofobów oraz Bogu ducha winnych Ukraińców, którzy nad Wisłą czują się niemal jak Żydzi pod niemiecką okupacją. Według danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w 2017 r. zostało złożonych 216 048 wniosków o wydanie zezwolenia na pracę dla obywateli Ukrainy. W ponad 20 tys. przypadków odmówiono wydania zezwoleń, a 1790 zezwoleń zostało uchylonych. Wydano 192 547 zezwoleń na pracę dla obywateli Ukrainy. Najwięcej z nich, bo aż 61 218, dotyczy robotników przemysłowych i rzemieślniczych. Niewiele mniej – 58 777 – figuruje w statystykach resortu pod hasłem „pracownicy wykonujący prace proste". Wśród Ukraińców, którzy otrzymali pozwolenie na pracę w Polsce, wielu jest również „operatorów i monterów maszyn i urządzeń".

PRZYSTANEK POLSKA

Te liczby to jednak tylko część obrazu ukraińskiej migracji zarobkowej. Według „Rzeczpospolitej" od początku 2018 r. do końca marca polscy pracodawcy wystawili ok. 240 tys. oświadczeń o zamiarze zatrudnienia cudzoziemca, w tym przede wszystkim z Ukrainy. Z tej liczby jednak pracę podjęło tylko 74 tys. osób. Większość najprawdopodobniej wyjeżdża na Zachód, korzystając z tego, że pozwolenie na pracę w Polsce wiąże się z otrzymaniem wizy do strefy Schengen. A zatem wielu Ukraińców, według statystyk oficjalnie pracujących w Polsce, to „martwe dusze". Wyłudzaniu wiz schengeńskich jak dotąd nie zapobiegły skutecznie nowe regulacje, zgodnie z którymi pracodawcy pod groźbą grzywny muszą poinformować urząd pracy, że zatrudnili cudzoziemca.

O tym, czy Ukraińcy chcą się z polskim społeczeństwem integrować, czy też asymilować, decyduje nie tylko struktura zatrudnienia. W tym kontekście ważna jest odpowiedź na pytanie: Czy migranci zza południowo-wschodniej granicy wiążą

eprasa.pl c7db8fdf58

z Polską przyszłość, czy też przyjeżdżają nad Wisłę wyłącznie po to, by zarobić? Według aktualnych danych Urzędu ds. Cudzoziemców tylko 150 tys. obywateli Ukrainy posiada ważne zezwolenie na pobyt w Polsce. A to i tak trzy razy więcej niż w 2015 r. Jedynie 21 proc. z tych 150 tys. posiada zezwolenie na pobyt stały. Zdecydowana większość (115 tys.) przebywa w Polsce na zasadzie pobytu czasowego, czyli maksymalnie do trzech lat.

Ciekawy obraz dają też opublikowany pod koniec marca sondaż przeprowadzony przez grupę socjologiczną Rating wśród mieszkańców Lwowa, Tarnopola, Iwano-Frankiwska i Łucka, którym w ciągu ostatnich pięciu lat zdarzyło się pracować w Polsce. 49 proc. respondentów spędziło nad Wisłą od miesiąca do trzech miesięcy. Jedna czwarta – nie więcej niż pół roku. Dlaczego wybrali akurat Polskę? 53 proc. przepytanych jako główną przyczynę podało niewielką odległość. 44 proc. motywowało wybór wysokością zarobków. Nieznaczna większość pozytywnie ocenia polskich pracodawców. To właśnie w Polsce największa liczba respondentów chciałaby pracować. Na tym polu wygrywamy m.in. z Niemcami i USA.

Jednak chęć pracy w Polsce nie oznacza chęci przeprowadzki na stałe. 74 proc. przepytanych przyznało, że nic takiego w najbliższych latach nie planuje. Tylko 11 proc. respondentów wyraziło chęć zamieszkania w Polsce. Ukraińcom odpowiadają zatem u nas przede wszystkim wysokie zarobki i możliwość krótkoterminowego zatrudnienia.

NIEWIDZIALNI IMIGRANCI

Tak czy inaczej, faktem jest, że ukraińska migracja zarobkowa rośnie, i nawet jeżeli większość Ukraińców nie wiąże z Polską planów na życie, to państwo polskie powinno być na tę grupę systemowo przygotowane. „Ukraińcy się nie asymilują" – ostrzegała jakiś czas temu w wywiadzie dla „Naszego Dziennika" Ewa Siemaszko.

Część środowisk kresowych sugeruje, że rosnąca grupa obywateli ukraińskich może za jakiś czas stanowić dla Polski zagrożenie nie tylko ekonomiczne. – Powody, które w dwudziestoleciu międzywojennym doprowadziły do konfliktu polsko-ukraińskiego, dziś już nie istnieją. Wówczas polska administracja musiała zmagać się z silną grupą etniczną, od wieków zakorzenioną na danym terenie i dlatego walczącą o swoje prawa. Dzisiaj mamy do czynienia z migracją zarobkową, która będzie występować tam, gdzie będzie można znaleźć dobrą pracę – komentuje prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski. Jego zdaniem osiedlaniu się Ukraińców w Polsce będą towarzyszyć trzy procesy. Po pierwsze, tylko niewielka część będzie mocno akcentować swoją tożsamość narodową, wpisując się w patriotyczny dyskurs Związku Ukraińców w Polsce (ZUwP).

– Pamiętajmy, że do Polski przyjeżdżają pracownicy z całej Ukrainy, nie tylko z jej zachodnich obwodów. A ich tożsamość jest inaczej ukształtowana historycznie niż tożsamość mniejszości ukraińskiej w Polsce, oparta w dużej mierze na traumie akcji „Wisła". Środowiska ZUwP i ludności napływowej niekoniecznie będą zatem stanowić kulturowy monolit, który w przyszłości mógłby wpłynąć na ogólnopolską tożsamość – mówi prof. Żurawski vel Grajewski. Dwa kolejne procesy, związane z ukraińską imigracją, to jego zdaniem asymilacja i integracja.

Nawet jeśli Ukraińcy przyjeżdżają do Polski przede wszystkim po to, by zarobić, i nie interesują ich ani polityka, ani historia, to jednak mają na tyle silną tożsamość, że trudno mówić o asymilacji. Natomiast integracja z polskim społeczeństwem jest już jak najbardziej możliwa i pożądana.

Anna Dąbrowska, prezeska stowarzyszenia Homo Faber, organizacji pozarządowej zajmującej się m.in. integracją cudzoziemców. Uważa, że państwo polskie nie ma pomysłu na to, co zrobić z imigrantami z Ukrainy. – Brak systemowych rozwiązań powoduje, że tak naprawdę szykujemy sobie za kilka, kilkanaście lat konflikt społeczny, kiedy tani pracownik przestanie być tak potrzebny. Sami w sobie imigranci z Ukrainy nie stanowią dla nas zagrożenia, ale w połączeniu z nieprzygotowanym kulturowo na ich przyjęcie społeczeństwem już tak – mówi Anna Dąbrowska. – Organizujemy darmowe kursy języka polskiego dla imigrantów, obecnie ze środków pozyskanych w ramach 1 proc. podatku (w ostatnim roku było to 3774 zł). Zainteresowanie jest gigantyczne, ale liczba miejsc ograniczona. A bez znajomości języka nie ma szans na integrację – dodaje. Jest przeciwniczką asymilacji, za to zwolenniczką integracji Ukraińców w Polsce.

W KAŻDYM WOJEWÓDZTWIE

Systemowo wyzwaniami migracyjnymi zajmuje się MSWiA. A konkretnie Fundusz Azylu, Migracji i Integracji. Resort przeprowadził niedawno nabór wniosków o dofinansowanie projektów, skierowany do urzędów wojewódzkich. Celem jest „stworzenie potencjału krajowego w zakresie zdolności urzędów do prowadzenia i koordynacji działań integracyjnych dotyczących m.in. obywateli Ukrainy". Dofinansowanych zostanie 16 projektów, po jednym z każdego województwa.

MSWiA jest na etapie podpisywania porozumień finansowych z urzędami wojewódzkimi, które pozwolą rozpocząć realizację projektów. Planowane działania mogą obejmować m.in. doradztwo i pomoc w kwestiach legalizacji pobytu, administracyjnych i prawnych, przysługujących praw pracowniczych, a także postępowanie zwiększające kontakt oraz integrację ze społeczeństwem polskim.

W każdym województwie ma być udzielany podobny zakres usług. „Z punktu widzenia bezpośredniej pomocy cudzoziemcom każdy wniosek zawiera: prowadzenie punktu informacyjno-doradczego, kursy adaptacyjne dotyczące m.in. praw obowiązujących w Polsce czy zapewnienie kursów języka polskiego. Zatem projekty są do siebie dość podobne pod względem realizowanych działań, a różnice polegają na dostosowaniu specyfiki przedsięwzięcia do danego województwa, co pozwala na bardziej regionalne podejście do pomocy cudzoziemcom" – czytamy w komunikacie MSWiA.

Przykładowo: celem projektu wojewody mazowieckiego jest m.in. „profesjonalizacja kadr i osób pracujących z obywatelami państw trzecich, zwiększenie dostępu obywateli państw trzecich do istniejących zasobów i usług przydatnych w procesie integracji, podniesienie kompetencji cudzoziemców w zakresie języka polskiego, rynku pracy, wiedzy obywatelskiej, kultury i historii polskiej". Z kolei w ramach projektu wojewody śląskiego zostaną m.in. zorganizowane punkt doradczo-informacyjny (w siedzibie Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego), kursy adaptacyjne, kursy języka polskiego, doradztwo zawodowe itd. Partnerami projektu będą Kuratorium Oświaty w Katowicach (wsparcie dla szkół) oraz Szkoła Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego (pomoc w organizacji kursów języka polskiego oraz kursów adaptacyjnych). Z kolei wojewoda łódzki zaplanował wyodrębnienie czterech punktów doradczo-informacyjnych: w Łodzi, Piotrkowie Trybunalskim, Sieradzu i w Skierniewicach. Mają być organizowane również kursy adaptacyjne i językowe w różnych miejscowościach województwa łódzkiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ofiary sukcesu propagandy

Skoro jest tak dobrze, a wnosząc z wszechobecnej – tu i ówdzie – prorządowej propagandy sukcesu (w odróżnieniu od wszechobecnej tu i ówdzie antyrządowej propagandy klęski), jest nawet lepiej niż dobrze – bo wprost znakomicie, wręcz cudownie – to dlaczego nie upomnieć się o swoje? O to, żeby i mnie – Kowalskiemu – wreszcie się poprawiło, jeśli tak rewelacyjnie idzie ściąganie podatków, budżet państwa notuje superniski deficyt, biedy i bezrobocia już właściwie nie ma, a Polkom i Polakom w całym kraju żyje się coraz lepiej – do tego stopnia, że wkrótce milion z nich przesiądzie się do nietanich przecież aut na prąd.

Presja płacowych żądań więc narasta. I będzie narastała – w tempie wprost proporcjonalnym do podnoszenia się płynącej z części mediów fali niemal wyłącznie dobrych i bardzo dobrych wiadomości towarzyszących rządom PiS. Po lekarzach rezydentach, którzy swoje wyprotestowali na początku roku, do walki ruszają inni. Ratownicy medyczni domagają się wypełnienia obietnicy podwyżki o 400 zł brutto od 1 lipca 2017 r. i kolejnej, też o 400 zł – od 1 stycznia 2018 r. Urzędnicy państwowi, na razie głównie z Bydgoszczy – z 30 tamtejszych urzędów – zażądali od szefa rządu odmrożenia pensji oraz powiązania ich wysokości ze średnim wynagrodzeniem. Czyli stałego wzrostu ich wysokości. Strajkiem grożą nauczyciele – NSZZ „Solidarność" pracowników oświaty ostrzegł minister edukacji Annę Zalewską, że jeśli do końca kwietnia nie usiądzie do rozmów w sprawie płac, to „związek podejmie czynną akcję protestacyjną". A zapowiadane na kwiecień podwyżki pensji o kilka procent żadną miarą ich nie satysfakcjonują. Podobnie zresztą jak liderów ZNP, bo i oni w grze o płace nauczycieli nie zamierzają odpuścić, oczekując wywindowania ich o 15 proc. Strajku nie wykluczają również pracownicy LOT, którzy żądają powrotu wysokości pensji do tej sprzed cięć, czyli sprzed roku 2010. Itp., itd.

A wraz ze wzrostem liczby tych, którzy chcą jak najszybciej dołączyć do listy beneficjentów dobrej zmiany, niepomiernie wydłuża się też inna lista – tych, którzy za ów wyścig płac muszą płacić. I będą musieli płacić coraz więcej.

Ofiarami sukcesu prorządowej propagandy sukcesu, która niewątpliwie nieniskie tempo wzrostu gospodarczego i niemałe postępy w zmniejszaniu luki podatkowej bez skrupułów rozdyma do niebotycznych, gargantuicznych rozmiarów, przy okazji ponad miarę rozbudzając podwyżkowe apetyty, padają ci sami, którzy zawsze płacą za wszystkie podjęte przez polityków decyzje o wydawaniu pieniędzy przez państwo (w tym tych na podwyżki dla nauczycieli, lekarzy itd.) – polscy podatnicy. Nie inaczej będzie tym razem, a ci, którzy płacą podatki, już teraz dobrze to widzą, bowiem akurat im pieniędzy w portfelach zamiast przybywać – ubywa. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Bodźce ekonomiczne

Ekonomia – nauka, którą porzuciłem na rzecz data science – zajmuje się m.in. wyjaśnianiem zachowań jednostek, konsumentów i firm. Oczywiście zajmują się tym również psychologia, socjologia czy historia, każda w swoim specyficznym ujęciu. Skupmy się jednak na typowych bodźcach ekonomicznych działań człowieka i pokażmy, jak można rozwiązać wiele problemów, gdy zastosuje się właściwy system motywacji.

Systemy wsparcia można zbudować w ciągu roku lub dwóch lat we wszystkich szpitalach sieci

Najpierw kilka przykładów. W jednej z instytucji zbadano, ile chorują pracownicy. Okazało się, że prawie wszyscy chorują sześć dni. Dlaczego? Bo siódmego dnia pracownik przestawał otrzymywać chorobowe w wysokości 100 proc. i dostawał tylko 80 proc. Tracił finansowo i od razu zdrowiał. Po skróceniu okresu do trzech dni pracownicy zaczęli znacznie szybciej zdrowieć. Drugi przykład. Polaków nie było stać na posiadanie dzieci, po wprowadzeniu świadczenia „500+" zaczęło się rodzić więcej dzieci. Przykłady można mnożyć.

Właściwy system bodźców ekonomicznych może doprowadzić do wielu pozytywnych zmian. Na przykład w Polsce i w wielu innych krajach mamy deficyt lekarzy, bo ich liczba rośnie znacznie wolniej niż popyt na usługi zdrowotne w stopniowo bogacącym się oraz szybko starzejącym się społeczeństwie. Jednocześnie wiemy, że znaczną część swojego czasu lekarz poświęca na tzw. sprawy papierkowe.

Gdyby zamiast wklepać opis (zdjęcia, wyniki badań, stan chorego etc.) do komputera, lekarz mógłby go po prostu szybko podyktować, a system rozpoznawania mowy zapisałby go w komputerze, a ponadto sprawdziłby w historii chorób milionów poprzednich pacjentów podobne przypadki i wyświetlił wyniki w postaci zestawu możliwych diagnoz, to wówczas lekarz mógłby pracować o wiele efektywniej.

Takie systemy wsparcia można zbudować w ciągu roku lub dwóch lat we wszystkich szpitalach sieci. Dlaczego zatem w Polsce takich systemów jeszcze nie ma, a w USA, Kanadzie czy Singapurze są? Bo to sporo kosztuje. A gdyby wprowadzono ulgi podatkowe dla szpitali na inwestycje w takie systemy, to w ciągu kilku lat takie systemy by powstały.

Bodźce ekonomiczne są bardzo skuteczne. Jak zwiększyć lojalność młodych pracowników korporacji? Zadłużyć ich we frankach na kupno mieszkań. A bodźce: wsparcie finansowe z budżetu w ramach programu „Mieszkanie dla Młodych". Czego się nie robi, żeby wygrać wybory. ©℗

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

eprasa.pl c7db8fdf58

TEST „DO RZECZY": ROBOT PHOTON

Podświetlane oczy, czułki zmieniające kolor oraz głośnik ułatwiają mu wyrażanie emocji.

Sympatyczna główka, która reaguje na głaskanie, oraz smukły tułów sprawiają zaś, że pierwszą reakcją maluchów jest okrzyk: „Jaki słooodki!" i chęć przytulenia nowego domowego zwierzaka/pluszaka.

Mały, biały robot – uzbrojony w zestaw 10 czujników, które pozwalają mu nie tylko czuć dotyk na czole, lecz także wykrywać przeszkody, mierzyć pokonany dystans etc. – to polska zabawka edukacyjna, która zdobyła już uznanie międzynarodowych recenzentów.

Przypominające psa niewielkie stworzenie natychmiast przyciąga uwagę dzieci. I – zanim się zorientują – za pomocą specjalnej, darmowej aplikacji na smartfony i tablety uczy ich podstaw programowania.

W jaki sposób? Scenariusz jest prosty. Photon – główny bohater w specjalnie zaprojektowanej grze – po kolizji z asteroidą trafia na Ziemię, ale w wyniku uderzenia zapomina wszystko, co umiał. Dzieci za pomocą różnych zadań, polegających np. na wydawaniu robotowi nowych poleceń, razem z Photonem nabywają

kolejnych umiejętności i odkrywają kolejne czujniki. Zdobywając nowe punkty, przechodzą zaś do następnych etapów fabularyzowanej historii, w których odblokowywane są kolejne funkcje robota. Radość z sukcesu i smutek z porażki Photon wyraża, również wydając odpowiednie dźwięki. Dziecko zyskuje więc motywację do dalszych zabaw z Photonem, które rozwijają zarówno zdolności manualne maluchów, jak i ich orientację przestrzenną czy umiejętności planowania. Twórcy sympatycznego robota przekonują więc, że jest to zabawka, która rozwija się razem z dzieckiem.

W aplikacji znajdziemy też sporo krótkich gier uczących logicznego myślenia, a także rozwijających pamięć, spostrzegawczość oraz wyobraźnię.

Teoretycznie Photonem mogą bawić się dzieci już od trzeciego roku życia. W aplikacji można bowiem wybrać poziom odpowiedni dla różnych przedziałów wiekowych. Z krótkiego domowego testu wynika jednak, że robot na dłużej zdobywa uwagę dzieci powyżej dziewiątego roku życia. Na szczęście, jeśli w rodzinie jest więcej maluchów, to każdy może mieć po prostu własny profil i samodzielnie rozwijać swojego Photona.

Biała obudowa wykonana jest z solidnego plastiku. Robot sprawia więc wrażenie wytrzymałego i dobrze przystosowanego do długotrwałego kontaktu z dziećmi. Bateria wystarcza na mniej więcej pięć godzin zabawy. Cena: 799 zł. ©℗

Jacek Przybylski

MASAŻER LILIPUT

Najpierw sztywnienie karku, później promieniujący ból rozchodzący się na barki, wreszcie bóle w tyle głowy... Znacie to? Jeśli pracujecie przez wiele godzin za biurkiem, zwłaszcza pochylając się nad klawiaturą komputera, to pewnie niestety znacie. Rozwiązanie? Przydatny będzie Cardlax. Urządzenie jest najnowszym i bezwzględnie najcieńszym (4,7 mm) dostępnym obecnie na rynku elektronicznym masażerem karku. Jego rozmiary – porównywalne z wymiarami karty kredytowej – pozwalają na schowanie go do portfela czy kieszonki kurtki i zabranie ze sobą dosłownie wszędzie. Cardlax ma podwójny system baterii, co umożliwia używanie go bez konieczności ładowania przez dłuższy czas, pozwala też na ustawienie różnych częstotliwości impulsów masujących – od relaksacyjnych, przez stymulujące mięśnie, do leczniczych. Wystarczy tylko umocować go na karku, wybrać odpowiednią dla siebie opcję i kliknąć „on". Cena urządzenia na Kickstarterze w najtańszej wersji to obecnie ok. 140 zł za sztukę, w tym trzy komplety żelu. Dostawa w sierpniu. Producent zapewnia, że żele będą także dostępne w sklepie internetowym po uruchomieniu produkcji.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

WINE OF CHANGE

Pewna moja znajoma lata temu pojechała do Francji pracować w posiadłości właściciela jednej z największych winnic w tym kraju. A że urody i inteligencji jest mocno imponujących, zafrapowany młodą Polką francuski dżentelmen zaprosił ją na degustację różnych rodzajów win produkowanych i beczkowanych w jego winnicy. Francuz jak to Francuz, brał trunek do ust, gulgotał i wypluwał, co rezolutna dziewczyna, jak opowiadała po latach, skwitowała z oburzeniem: „Jestem z Polski, tu się wina nie marnuje". A z całej eskapady wyniosła bardzo ważną lekcję – by wino dobrze smakowało, musi być solidnie natlenione. I tu na scenie pojawia się Aveine, czyli – jak przekonuje producent – bardzo inteligentny natleniacz szlachetnego trunku. Biorąc pod uwagę, że gadżet skonstruowano we Francji, czyli ojczyźnie dobrego wina, można podejść do niego z pewną dozą zaufania. Jak działa? Prosto. Wystarczy wetknąć go na czubek butelki, lekko zanurzając w winie, i uruchomić aplikację smartfonową, która pokaże, jaki jest procent napowietrzenia wina i ile czasu dotleniania potrzeba, by trunek smakował tak, jak powinien. Potem wystarczy wybrać opcję napowietrzania i kilka chwil odczekać. Delektować się i – tu jest Polska – nie wypluwać! Aveine na portalu Indiegogo kosztuje ok. 500 zł, przy zamówieniu dziś – dostawa w listopadzie.

©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl c7db8fdf58

Leki, czyli życie

FOT. FOTOLIA

Katarzyna Pinkosz

Jeszcze niedawno przerzutowy rak nerki był wyrokiem. Dzięki nowym terapiom powoli staje się chorobą przewlekłą. Polscy pacjenci na nie czekają

W 2012 r. Mirosław Korlak zauważył narośl na policzku. Po jej usunięciu okazało się, że nie jest to zwykły guzek, tylko przerzut do ślinianki jasnokomórkowego raka nerki. Rak nerki? Nie odczuwał wcześniej żadnych objawów wskazujących na tego typu problemy. – Czułem czasem ból w plecach, ale wiązałem to z tym, że dużo pracowałem, a po pracy grałem z kolegami w piłkę. Zawsze byłem aktywny, a w piłkę nożną gram od siódmego roku życia. Znajomi doradzali, że powinienem wzmocnić mięśnie grzbietu – opowiada.

– Na wczesnym etapie rak nerki nie daje żadnych objawów, a jeśli się pojawiają, to są bardzo niespecyficzne: uczucie osłabienia ogólnego, rozbicia, stany podgorączkowe, brak energii, apetytu. Mogą przypominać zwykłą infekcję grypopodobną – potwierdza dr n. med. Jakub Żołnierek z warszawskiego Centrum Onkologii. – Takie objawy, jak ból w okolicy nerki, krwiomocz, wyczuwalny guz pod żebrem, świadczą już o znacznym zaawansowaniu choroby. Objawy rozsianego raka nerki zależą od lokalizacji przerzutów. Jeśli dojdzie do zajęcia płuc, to pojawiają się kaszel, krwioplucie, duszność. Gdy przerzuty lokalizują się w jamie brzusznej, może pojawić się ból, zaburzenia funkcjonowania przewodu pokarmowego, a gdy do kości: bóle kości – tłumaczy dr Żołnierek.

Wykrycie raka nerki na wczesnym etapie jest możliwe dzięki np. USG jamy

eprasa.pl c7db8fdf58

brzusznej. Chociaż w żadnym kraju nie jest to badanie traktowane formalnie jako badanie skriningowe, to warto je wykonywać raz na rok lub dwa lata, szczególnie po 50. roku życia. Jeżeli raka uda się rozpoznać we wczesnym stadium, zwykle bezobjawowym, to guz może zostać usunięty z fragmentem nerki lub z całą nerką, co daje szansę na całkowite wyleczenie. Niestety, większość przypadków rozpoznaje się, gdy choroba jest już rozsiana.

PRZECHYTRZYĆ RAKA

Co roku na raka nerki zapada w Polsce ok. 4 tys. osób, głównie po 50. roku życia. Coraz częściej zachorowania zdarzają się też u osób młodszych. Mirosław Korlak miał w momencie postawienia rozpoznania 52 lata. Po roku od usunięcia nerki pojawiła się u niego wznowa. Dostał sunitynib – tzw. lek ukierunkowany molekularnie.

– W rozsianym raku nerki nie stosuje się typowej chemioterapii, tylko leki ukierunkowane molekularnie, tzw. antyangiogenne. Ich główny mechanizm działania polega na hamowaniu tworzenia naczyń odżywczych dla guza – tłumaczy dr Żołnierek. Mówiąc prosto: guz nowotworowy oplata się gęstą siecią naczyń krwionośnych, które go odżywiają. Wręcz zmusza organizm do ich tworzenia. Leki antyangiogenne odcinają nowotworowi dopływ krwi wraz ze wszystkimi substancjami, których potrzebuje do dalszego wzrostu. Powoduje to zahamowanie jego rozwoju. – Wprowadzenie tych leków znacząco wydłużyło czas przeżycia chorych na rozsianego raka nerki z 12 do ok. 40 miesięcy. Inna grupa leków działa na układ odpornościowy: odblokowuje go, dzięki czemu znów zaczyna on zwalczać komórki nowotworowe – mówi dr Żołnierek.

U Mirosława Korlaka lek ukierunkowany molekularnie podziałał, jednak po pewnym czasie guz zaczął wymykać się spod jego kontroli. Dostępne leczenie drugiej linii w jego przypadku okazało się skuteczne na krótko. – Wtedy lekarze powiedzieli mi, że na tym kończą się refundowane terapie dla pacjenta w Polsce – opowiada.

– Leki ukierunkowane molekularnie skutecznie hamują postęp choroby nowotworowej przez pewien czas. Jednak po kilku-, kilkunastu miesiącach pojawiają się mutacje komórek nowotworowych tak zmieniające ich biologię, że dotychczas skuteczny lek traci nad nimi kontrolę. Powinno się wtedy podać kolejny lek – mówi dr Żołnierek.

Chorzy – tak jak Mirosław Korlak – stają pod ścianą. Często dobrze się czują, są aktywni zawodowo, społecznie, rodzinnie, jednak kolejnych finansowanych przez NFZ leków nie dostaną. Są skazani na paliatywne leczenie objawowe, które nie hamuje postępu choroby, a tylko łagodzi pojawiające się kolejne dolegliwości. – To dramat osób, którym musimy to powiedzieć – kwituje dr Żołnierek.

PIŁKA I ŻYCIOWY OPTYMIZM

Mirosław Korlak zakwalifikował się do tzw. programu rozszerzonego dostępu, w którym zastosowano u niego terapię nowo zarejestrowanym lekiem antyangiogenny z grupy inhibitorów kinaz tyrozynowych. Lek przyjmuje już od ośmiu miesięcy. Owszem, są pewne skutki uboczne, takie jak biegunka, wysypkowe zmiany skórne, uderzenia gorąca, ale choroba się zatrzymała. Nadal pracuje. – Bo z czego miałbym żyć? Wiadomo, muszę uważać, bo mam tylko jedną nerkę. Jest jednak dobrze – cieszy się. Ostatnio pani doktor pozwoliła mu znów grać w piłkę, byle nie za ostro.

Pracuje również dlatego, że chory na raka nie powinien zamykać się w czterech ścianach. Trzeba wyjść do ludzi. Trudno żyć ze świadomością, że ma się chorobę, której medycyna dziś nie potrafi wyleczyć. – Gdy czekam w kolejkach w szpitalu, słyszę, jak pacjenci żalą się między sobą, nie mają zaufanych przyjaciół, z którymi mogą porozmawiać – mówi Korlak.

Jego wspierają rodzina (żona, syn), przyjaciele, życiowy optymizm. – Czasem zdarza mi się wpaść w psychiczny dołek, ale uciekam od złych myśli – mówi. Jest kuratorem sądowym dziecka z zespołem Downa w zakładzie specjalnym. Kiedy tylko może, stara się pomagać, zgodnie ze swoim mottem życiowym: „Dopóki żyjesz, dopóty czyń dobro". I nie załamywać się.

DŁUŻEJ NIŻ STATYSTYKI

Trudno żyć ze świadomością, że w ramach leczenia refundowanego w Polsce nie ma dostępu do innowacyjnych leków zgodnych z europejskimi i światowymi standardami.

– Świat idzie do przodu, leczenie się zmienia, my pozostaliśmy w tyle: nie mamy dostępu do dwóch ważnych leków – kabozantynibu (lek ukierunkowany molekularnie nowej generacji) i niwolumabu (lek immunologiczny) – mówi dr Żołnierek. Należy je stosować już w drugiej linii leczenia (są bardziej skuteczne niż obecnie dostępne w Polsce opcje). Są skuteczne także, kiedy zastosuje się je później. Coraz więcej badań wskazuje na to, że sprawdzają się także jako leczenie wstępne. Ich zastosowanie zwiększa liczbę osób, u których obserwuje się znaczące zmniejszenie masy guza, a kabozantynib wydłuża czas do progresji choroby nowotworowej. Oba leki wpływają też na najważniejszy parametr miary skuteczności leku przeciwnowotworowego, czyli na czas całkowitego przeżycia chorych.

Rozsiany rak nerki powoli staje się chorobą przewlekłą dzięki temu, że stosuje się tzw. leczenie sekwencyjne: lek podaje się tak długo, jak jest w stanie kontrolować chorobę, wstrzymując wzrost zmian przerzutowych. Gdy przestanie działać, zmienia się go na inny. Badania kliniczne wkraczają w etap kojarzenia terapii, czyli jednoczasowego stosowania dwóch, a nawet trzech terapii – co jeszcze bardziej zwiększa skuteczność. – U połowy leczonych w ten sposób pacjentów w bardzo zaawansowanej, rozsianej chorobie guz się zmniejsza, i to co najmniej o 30 proc. To bardzo zmienia obraz choroby – podkreśla dr Żołnierek.

Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji już w lipcu ubiegłego roku oceniła pozytywnie kabozantynib, podkreślając, że może zmniejszać on ryzyko zgonu z powodu raka nerki o 34 proc. oraz wydłużyć czas przeżycia wolny od progresji choroby o ponad 40 proc. w porównaniu z dotychczas stosowanymi terapiami. W lutym tego roku, gdy pytaliśmy Ministerstwo Zdrowia o możliwość refundacji obu leków, otrzymaliśmy odpowiedź, że minister niedługo podejmie w tej sprawie decyzję. Od tego czasu jednak nic się nie zmieniło.

– Obecna sytuacja ma niekorzystny wpływ na to, co się dzieje z chorymi – podkreśla dr Żołnierek. – Z każdym miesiącem kolejni pacjenci tracą szansę na skuteczne leczenie. A czasu na oczekiwanie przecież nie mają – dodaje.

Krzysztof Kolberger walczył z rakiem nerki 20 lat. Mirosław Korlak walczy już osiem lat. Jak widać, wielu chorych może żyć dłużej, niż to pokazują statystyki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7db8fdf58

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Panie Kochanku

Do pełnego opisania życia i czynów **Karola Stanisława Radziwiłła** zwanego Panie Kochanku – od powiedzonka, którym zwracał się do przyjaciół – nie wystarczyłoby całego numeru „Do Rzeczy". Syn hetmana wielkiego litewskiego Michała Kazimierza „Rybeńki" był panem ogromnej fortuny, w tym ordynacji nieświeckiej i ołyckiej, dóbr birżańskich i Białej, a także pomniejszych majątków. Do historii przeszedł jako najsławniejszy polski pijanica i facecjonista, uwielbiany przez szlachtę organizator niezwykłych bankietów, przyjęć, parad, który uczynił ulubiony Nieśwież miejscem pijackiej rozpusty posuniętej do granic szaleństwa.

Obraz Karola Stanisława jest dwojaki – współcześni mu ludzie albo go uwielbiali, albo nienawidzili. Nie pomaga nam też brak nowoczesnej biografii historycznej – wiele wieści o Radziwille pochodzi nie ze źródeł historycznych, lecz z panegiryków i pamfletów. Z utworów literackich, takich jak „Pamiątki Soplicy" Henryka Rzewuskiego, „Obrazy litewskie" Ignacego Chodźki, „Stare gawędy…" Kazimierza Wójcickiego, ze sztuk Kraszewskiego i z „Domu Radziwiłłów" Stanisława Mackiewicza. Z ciemności wyłaniają się dwa portrety Jaśnie Oświeconego ordynata: dobry i zły.

Zacznijmy od złego. Ksiądz Kitowicz go nie cierpiał, przypisywał mu okrutne figle, które urządzał w czasie uczt. „Skropić kijem z tyłu nieznacznie, pijącemu przybić kielich do gęby aż do zachłyśnięcia, nalać z tyłu za kołnierz wina leniwo pijącemu, dwom rozmawiającym ze sobą zetknąć głowy z bliska aż do wytryśnięcia guzów – wszystko to było najmilszą zabawą Radziwiłła" – napisał. Dalej jednak pokazuje drugie oblicze bohatera: „Ale że Radziwiłł był tak szczodry w podarunki, jak obfity w psoty, nikt się na to nie skarżył.

FOT. WIKIPEDIA

Rozdawał bowiem konie z rzędami, pasy bogate, pałasze, pistolety, zegarki, tabakierki i inne rozmaite sprzęty... Wsie nawet dożywociem i całe klucze niskim kontraktem puszczał swego deboszu i rozpusty wiernym kolegom".

Pewnego razu w Nowogródku wydał ogromną ucztę, na której pito tak tęgo, że goście pomieszali się ze sobą, magnaci padali w objęcia pospolitym zaściankowym szlachetkom i zasypiali razem z nimi pod stołami. Książę wstał zatem od stołu, a zobaczywszy szlachetkę z obdartą czapką, szybko zdjął mu ją i włożył na swoją głowę, a potem dał tę, którą nosił. Na ten znak wszyscy kompani Radziwiłła poczęli zamieniać się czapkami i kołpakami między sobą. Panie Kochanku zaś począł się rozbierać, oddając z przyrodzonej dobroci serca szaty spotkanym szlachetkom. I tak jednemu dał złoty pas, mówiąc: „Darujęć durniu!". Drugiemu kontusz: „Na, świnio!", innemu z kolei brylantową spinkę: „Trzymaj, ośle!". Na koniec zdjął żupan i rzuciwszy go jakiemuś panu bratu i krzyknąwszy: „Masz, kpie!", w koszuli usiadł na beczce wina leżącej na wozie, a kompani poczęli ciągnąć wóz po ulicach Nowogródka. Co kilka kroków zaś zatrzymywali się. Kto tylko chciał, mógł nadstawić kielich lub garnek, a książę zaraz odtykał czop od beczki, każąc pić za swoje zdrowie.

A teraz dobra strona Radziwiłła. Od dziecka rozpieszczony był zaszczytami. Gdy miał pięć lat, otrzymał od palatyna Renu Order św. Huberta, w wieku 13 lat został marszałkiem sejmiku wileńskiego, w 17. roku życia pułkownikiem, a w 18. – podczaszym. Mając lat 28, objął po ojcu województwo wileńskie. Jednak nie zmienił się w perfumowanego pludraka we fraczku. Był przyjacielem drobnej szlachty (którą też oczywiście po radziwiłłowsku znieważał), zwolennikiem republiki szlacheckiej; kiedy Czartoryscy ściągnęli do Rzeczypospolitej wojska moskiewskie na elekcję Stanisława Poniatowskiego, wystąpił przeciwko nim zbrojnie. Pobity pod Słonimiem uciekł na Wołoszczyznę i do Drezna. W zamian za przywrócenie godności i urzędów dał się wykorzystać Rosjanom i mianować marszałkiem konfederacji radomskiej. Jednak popełniane przez Rosjan gwałty skłoniły go do przystąpienia do konfederacji barskiej, której pozostał wierny do końca życia. Po klęsce znów tułał się na emigracji, dopiero w 1776 r. uzyskał przebaczenie, zasiadł na Nieświeżu, godząc się z królem i urządzając legendarne uczty, parady i iluminacje. Szybko wpadł w długi, ale wyprowadził majątek z ruiny. Założył pierwszą w historii uczelnię morską, zwaną szkołą majtków, utrzymywał teatr, własne wojsko – gwardię albańską.

Do końca życia był wrogiem Rosji, działał na rzecz sojuszu z Prusami, który – jak sądził – wybawi Rzeczpospolitą od zagrożenia moskiewskiego. Nie dożył klęski, umarł w 1790 r. w Białej. „Przyjaciele i słudzy moi – powiedział ponoć na łożu śmierci – darujcie, jeśli wam się uprzykrzyłem – pamiętajcie, żem i ja człowiek". ©℗

eprasa.pl c7db8fdf58

TOMASZ ROŻEK – W KUCHNI JAK W LABORATORIUM

Kuchnia to dla mnie laboratorium. Jest wszystko, czego potrzeba. Dostęp do bieżącej wody, zlew, źródło ciepła, lodówka i zamrażalnik, dobre oświetlenie, zwykle pokryta kafelkami podłoga i ściana oraz blaty o nawierzchni (względnie) odpornej na zabrudzenia. I jak tu nie eksperymentować? No więc i eksperymentuję. Chociaż kulinarnie nie na ludziach, a już szczególnie nie na własnej rodzinie.

Chili con carne
Składniki (dla 4 osób):

- 1 cebula
- ząbek czosnku
- chili w proszku
- trochę suszonego oregano
- ok. 0,5 kg mielonej wołowiny
- 2 świeże pomidory
- czerwona/zielona papryka
- po 100 g czerwonej fasoli/zielonego groszku/kukurydzy
- kilka suszonych pomidorów

Przygotowanie:

Na patelni smażę pokrojoną w kostkę cebulę. Dodaję mielone mięso. Może być porcja kupiona w sklepie. Jeżeli mielone chcę zrobić sam, to biorę wołowinę i boczek. Smażę do momentu, w którym mięso będzie zarumienione, i wtedy dodaję pomidory. Mogą być świeże albo takie z puszki. Oprócz pomidorów dodaję zieloną lub/i czerwoną paprykę pokrojoną w kostkę oraz fasolę, kukurydzę i zielony groszek z puszki. Doprawiam do smaku chili, solą, czosnkiem (może być w proszku albo starty), pieprzem i oregano.

Taką mieszaninę smażę i duszę przez kilkanaście minut. W tym czasie kilka razy mieszam. Pod koniec dorzucam suszone pomidory pokrojone w cieniutkie paski. Jeżeli potrawa jest za gęsta, to dolewam trochę wody. Gdy za rzadka, jeszcze smażę, ale już bez pokrywki, żeby woda odparowała.

Podaję z sypkim ryżem. ©℗

Tomasz Rożek jest dziennikarzem naukowym, fizykiem, prowadzącym program „Sonda 2" w TVP, prowadzi naukowego bloga NaukaToLubie.pl.

FOT. JAN BOGACZ / TVP / EAST NEWS

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Hipokryzja

JOANNA BOJAŃCZYK

ANDRZEJ G. KRUSZEWICZ „HIPOKRYZJA. NASZE RELACJE ZE ZWIERZĘTAMI" OFICYNA WYDAWNICZA OIKOS 2017

Książka Andrzeja G. Kruszewicza jest oczywiście i zgodnie z tytułem – „Hipokryzja. Nasze relacje ze zwierzętami" – o zwierzętach. Oczywiście, bo któż lepiej zna zwierzęta niż dyrektor warszawskiego ogrodu zoologicznego, ornitolog, podróżnik, autor i tłumacz licznych publikacji z dziedziny ornitologii. Jednak tak jak nasz codzienny jadłospis związany jest z życiem zwierząt, tak ta pasjonująca książka jest również książką o jedzeniu.

Autor jest daleki od niedrogiej ideologii tych uduchowionych miłośników zwierząt, którzy kontakt z krową mają za pośrednictwem telewizyjnej reklamy czekolady Milka. Tutaj dane są twarde.

Pozostańmy chwilę przy szczęśliwej krówce, wylegującej się na zielonej murawie. „Na jedną krowę mleczną powinno przypadać ok. 1 ha średniej jakości łąk, co zapewnia jej zielonkę i siano na cały rok. Pielęgnacja tego typu powierzchni wymaga wałowania wiosną. [...] Na podmokłych łąkach można to zrobić dopiero pod koniec kwietnia lub na początku maja. A wtedy znajdują się tam już gniazda lub nawet pisklęta czajek i skowronków, jaja pliszek, młode zające, ślimaczki, robaczki i zioła. Walec to wszystko niszczy, a nad ciągnącym go traktorem latają przerażone ptaki, wykrzykując głosy trwogi".

„Przemysł mięsny oraz mleczarski razem wzięte stanowią napęd niszczący nie tylko europejską, lecz także globalną przyrodę. [...] wywierają większy wpływ na rozwój dziury ozonowej niż cały ziemski transport i powstające w jego efekcie spaliny, a hodowla bydła generuje prawie 20 proc. gazów cieplarnianych, o połowę więcej niż wszystkie samochody, statki oraz pociągi".

Właściwie to wystarczy, żeby człowiekowi odechciało się nie tylko hamburgera, lecz także nawet jogurtu. „Widziałem rozładunek świń, byków, owiec i cieląt [...] Widywałem również fermy świń, bydła i duże kurniki i nie pojmuję, jak rozumny człowiek mógł doprowadzić do czegoś takiego!".

Tę książkę niech przeczyta każdy, kto mieszka w mieście i komu z hasłem „zwierzę" kojarzy się przymilny mopsik. Są tu historie o mądrych świniach, o koniach, psach, kotach, królikach, gołębiach... O drapieżnikach, rybach, zwierzętach łownych i łowiectwie. Przy czym stosunek Kruszewicza do łowiectwa jest pragmatyczny, daleki od łatwych emocji miłośników dzikości, którzy są pewni, że jeleń to samiec sarny... Tę książkę napisał ktoś, kto obcuje ze zwierzętami całe życie, zna je i kocha, kto widzi miejsce każdego gatunku w ekosystemie. Z twardymi danymi i opowieściami zoologa przeplatają się anegdoty z życia naukowca. Pasjonująca, mądra i ciekawa książka. ©℗

NASZ TEST: VOLVO XC40

Najmłodsze dziecko szwedzkiego producenta to jednocześnie najmniejszy SUV tej marki. Mimo to jest zaskakująco przestronny i praktyczny. Auto nagrodzone tytułem „Car of the Year 2018" wygląda oryginalnie i nowocześnie, a dwukolorowe nadwozie może spodobać się młodszym klientom. Wyraźnie odróżnia się ono jednak od pięknych linii charakterystycznych dla jego większych i starszych kuzynów XC60 oraz XC90.

W KABINIE

W zaskakująco przestronnym wnętrzu tego kompaktowego auta panuje charakterystyczny dla Volvo skandynawski minimalizm. Elegancji kabinie dodają aluminiowe listwy ozdobne. Wrażenie nowoczesności stwarzają zarówno m.in. 9-calowy kolorowy ciekłokrystaliczny ekran wysokiej rozdzielczości, jak i umieszczona tuż pod nim indukcyjna ładowarka do bezprzewodowego ładowania smartfonów.

Większość użytych materiałów robi wrażenie wysokiej jakości – nie podobało mi się jedynie wykończenie boczków drzwi czymś wykładzinopodobnym.

Użytkownicy szukający praktycznego auta docenią za to obszerne kieszenie w drzwiach oraz sporą liczbę różnego rodzaju praktycznych schowków, haczyków na siatki etc.

Kufer ma 460 l pojemności. Szału nie ma. Bagażnik jest za to bardzo pakowny. Bez problemu można więc zapakować się na rodzinny wyjazd.

JAZDA

Najmniejszy SUV od Volvo świetnie nadaje się do miasta. Auto żwawo przyspiesza, osiągając pierwszą setkę w niecałe 8 s. Poza miastem trochę we znaki daje się automatyczna skrzynia biegów, która w niektórych przypadkach zbyt długo podejmuje decyzję o zmianie biegów. Na szczęście biegi można zmieniać również samodzielnie.

Samochód jest bardzo dobrze wyciszony, co w połączeniu z komfortowymi fotelami czyni z niego dobrego towarzysza dalekich, spokojnych podróży.

Układ kierowniczy jest precyzyjny. W miejskich warunkach świetnie spisuje się również zawieszenie, które doskonale radzi sobie z tłumieniem nierówności. Na trasie podczas dynamicznej jazdy po zakrętach auto przechyla się jednak na tyle wyraźnie, że znika przyjemność z szybkiego pokonywania krętych dróg.

Za spokojniejszą jazdę model XC40 odwdzięcza się za to przy dystrybutorze. W cyklu mieszanym najmniejszy SUV z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 190 KM spalał średnio 7,8 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Model XC40 nie przeszedł jeszcze testów zderzeniowych Euro NCAP, ale w przypadku Volvo można się spodziewać, że auto otrzyma komplet pięciu gwiazdek. Samochód jest wyposażony w wiele inteligentnych systemów, które zwiększają bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. XC40 zapobiega więc np. niezamierzonej zmianie pasa ruchu. Auto nieustannie monitoruje również przestrzeń przed samochodem i ostrzega, jeśli zaistnieje ryzyko zderzenia zarówno z innymi pojazdami, jak i z pieszymi, rowerzystami czy z dużymi zwierzętami. A jeśli w porę nie zareagujemy na ostrzeżenie, to samochód potrafi autonomicznie zahamować, aby nie dopuścić do wypadku lub zmniejszyć jego skutki. Model XC40 wykrywa również ruch poprzeczny z tyłu samochodu – co jest szczególnie przydatne przy wyjeżdżaniu tyłem z parkingu. Potrafi także ostrzec, że ktoś zbyt szybko zbliża się do nas z tyłu pojazdu.

CENA

Za XC40 w najtańszej konfiguracji z napędem tylko na jedną oś, 1,5-litrowym silnikiem benzynowym o mocy 156 KM i manualną, sześciobiegową skrzynią biegów trzeba zapłacić 127 tys. zł. Wersja z dwulitrową jednostką wysokoprężną o mocy 190 KM, automatyczną skrzynią biegów i napędem na wszystkie łapy to już koszt co najmniej 171 tys. zł. A po wybraniu najbogatszej wersji wyposażenia i dołożeniu kilku opcji cena wzrasta do ok. 200 tys. zł.

KONKURENCI

Audi Q3, BMW X1, DS7, Infiniti QX30, Lexus NX, Mercedes GLA, Range Rover Evoque ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c7db8fdf58

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z WETERANEM SPOD MONTE CASSINO!

Piotr Zychowicz – **Jak Churchill wykiwał Polskę**
Douglas Smith – **Mroczne tajemnice Rasputina**
Marcin Bartnicki – **Jak polski konsul ratował Żydów**
Sławomir Cenckiewicz – **Marzec '68 i Jaruzelski**
Grzegorz Wołk – **Polski kamrat Che Guevary**
Barbara Hulanicki – **Komuniści zgładzili mojego ojca**
Arkadiusz Karbowiak – **NSZ kontra AL pod Rząbcem**
Sławomir Koper – **Romanse Bolesława Leśmiana**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c7db8fdf58

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Jastrząb w Waszyngtonie

MARCIN MAKOWSKI: Dokładnie 9 kwietnia, czyli w dniu, w którym ukazuje się nasza rozmowa, John H. Bolton zastępuje na stanowisku doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego gen. H.R. McMastera. Kim jest ten człowiek? Co powinniśmy o nim wiedzieć?

MATTHEW TYRMAND: Bolton to klasyczny typ politycznego „jastrzębia", który z przerwami pracuje w administracji rządowej od lat 80. Za czasów prezydentury George'a W. Busha pełnił funkcję 25. ambasadora USA przy ONZ. Widzimy dzisiaj, jak na tym stanowisku sprawuje się Nikki Haley, walcząca z przerostem biurokracji w Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale to Bolton w 2004 r. był pierwszym człowiekiem amerykańskiej prawicy, który na tym samym forum zaczął poruszać podobne tematy, przypominając, że Stany Zjednoczone nie będą się wiecznie dokładać do tego molocha. Trzeba jednak przyznać, że Bolton to postać, która budzi mieszane uczucia wśród samych republikanów. Uważa się go w Waszyngtonie za neokonserwatystę, zafiksowanego na Realpolitik, który nie boi się wchodzić w konflikty międzynarodowe. Jest zwolennikiem silnego NATO oraz sceptykiem, jeśli chodzi o zbliżenie z Rosją i Putinem.

Co go w takim razie odróżnia od poprzednika?

W przeciwieństwie do McMastera albo Johna McCaina Bolton nie twierdzi, że Ameryka nie może się obyć bez baz i wojsk stacjonujących we wszystkich państwach świata. Nie jest militarnym globalistą. Zamiast tego Bolton, podobnie jak Bush, wyznaje doktrynę „uderzenia wyprzedzającego", a więc utrzymywania amerykańskiej armii w ciągłej gotowości bojowej, ale niekoniecznie stacjonarnie. Nie ma chyba bardziej agresywnej osoby w amerykańskiej polityce zagranicznej odnośnie do podejścia do Iranu albo Korei Północnej. Za czasów Baracka Obamy Bolton dał się poznać jako krytyk ocieplenia stosunków z Teheranem. Obecnie uważa, że jeśli nie uda się porozumieć z Kim Dzong Unem, a Korea Północna opracuje skuteczne rakiety balistyczne, konflikt zbrojny będzie nieunikniony. Oczywiście cała lewica oraz nieinterwencjonistyczna prawica go za to nienawidzą, ale znam Johna Boltona na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że to człowiek, który nie chce puścić świata z dymem. Wyraźny profil ideowy, dogłębne rozumienie trumpizmu – to także odróżnia go od H.R. McMastera, który nigdy nie był w pełnym tego słowa konserwatystą.

Kiedy ze sobą rozmawialiście, poruszałeś tematy związane z Polską?

Tak, wielokrotnie. Nowy doradca ds. bezpieczeństwa narodowego jest dobrze zorientowany w sytuacji politycznej w Europie Środkowej, zna podstawowe fakty z historii Polski. Wie, że w krajach takich jak Polska rządzi populistyczno-konserwatywny rząd, któremu bardzo blisko ideowo do administracji Donalda Trumpa. Bolton czuje ten paradygmat, co wynika z jego publikacji i występów w Breitbart, gdzie do tej pory bywał regularnym kontrybutorem. Oczywiście rozmawialiśmy przy tej okazji na temat ustawy o IPN i wydaje mi się, że ma świadomość jej politycznego kontekstu w Polsce, a już na pewno wie, że czekają ją zmiany w Trybunale Konstytucyjnym.

Udało ci się wyczuć, jakie będzie podejście Boltona do tej sprawy?

Nie chcę mówić za niego, ale z mojej wiedzy wynika, że jeśli Polska znajdzie mądre kompromisowe wyjście z całej sytuacji, odpowiednio to nagłośni i przedstawi jako gest dobrej woli, sytuacja zmieni się diametralnie. Wydaje mi się, że nie ma w tej materii lepszego sposobu niż zdymisjonowanie ministrów Ziobry i Jakiego, którzy w oczach Amerykanów stanowią głównych odpowiedzialnych za promowanie i obronę ustawy, z której teraz rakiem sami chcieliby się wycofać. Obserwując ruchy wokół komisji badającej katastrofę smoleńską ze strony prokuratury i czytając o zarzutach Jarosława Kaczyńskiego, że część jej członków posiada za bliskie relacje z Rosją, wcale bym się nie zdziwił, gdyby prędzej czy później doszło do rozwiązania, które sugeruję. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl c7db8fdf58

5 LAT TELEWIZJI REPUBLIKA

REPUBLIKA

10/04/2010
fakty

w każdy
czwartek 20:30

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl c7db8fdf58

OKIEM BLOGERKI

Docenić przeciwnika

KATARYNA

GRZEGORZ SCHETYNA: ***Donald Tusk będzie świetnym kandydatem w wyborach prezydenckich. Doświadczenie i pozycja międzynarodowa Donalda Tuska to jest wielki atut dla Polski i wielki argument dla nas wszystkich.***

Nie po raz pierwszy Grzegorz Schetyna deklaruje, że Platforma chętnie wystawi Donalda Tuska w najbliższych wyborach prezydenckich, jeśli ten tylko zechce. O tym, że marzy mu się prezydent Tusk, Schetyna mówił już rok temu, choć przecież nie jest tajemnicą, że polityczna przyjaźń obu panów jest więcej niż szorstka. Niektórzy sugerują nawet, że to właśnie Grzegorz Schetyna powinien się najbardziej bać powrotu Tuska, bo ten może zechcieć odebrać mu partię. Obawiam się jednak, że żaden z nich nie jest na tyle głupi, żeby się zabijać o przywództwo opozycji, gdy mogą się nim po prostu podzielić i wygrać wszystko. Scenariusz, w którym Tusk mniej lub bardziej otwarcie wspiera Platformę w wyborach parlamentarnych, a potem zostaje jej kandydatem na prezydenta, wydaje mi się bardzo realny. I choć dzisiaj to jeszcze perspektywa bardzo odległa, nie wykluczałabym powodzenia takiego planu, zwłaszcza gdy obserwuję zaskakująco szybkie zużywanie się PiS.

Udało się z Dudą, uda się z każdym innym

Jeśli Tusk zechce powalczyć o prezydenturę, to stanie przeciwko… No właśnie, komu? Partia rządząca znowu ma focha i ustami kolejnych swoich polityków ogłasza, że wcale nie musi wystawić Andrzeja Dudy w kolejnych wyborach prezydenckich. A jeśli nawet to zrobi, to np. głos Marka Suskiego już stracił. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie było tak bardzo żenujące. Nigdy żadna partia nie traktowała swojego prezydenta z takim lekceważeniem i pogardą, jakimi wśród teoretycznie swoich „cieszy się" obecny prezydent. Jeśli w końcu PiS pójdzie po rozum do głowy i zrozumie, że jego jedyną szansą na powalczenie z Tuskiem jest właśnie Duda, to może być już o wiele za późno na odbudowanie jego wizerunku tak konsekwentnie teraz niszczonego przez własną partię. A przecież PiS będzie jeszcze prezydenta potrzebował, to ciągle lider sondaży zaufania i jego życzliwe wsparcie bardzo by pomogło partii w wyborach parlamentarnych, w których odbijająca się chyba od dna PO będzie zbierała premię za jedność, wspierana przez tabuny celebrytów i „światowca" Tuska.

Twitterowy elektorat PiS, a niewykluczone, że także prezes, jest przekonany, że Dudę można zastąpić kimkolwiek, bo skoro wyciągnięty z niebytu Duda wziął w wielkim stylu prezydenturę za pierwszym razem, to jego sukces powtórzy każdy inny kandydat wspierany przez prezesa. Może Szydło, może Wassermann, może ktoś jeszcze nieznany…

Udało się z Dudą, uda się z każdym innym. Nic bardziej głupiego. Jeśli Tusk wystartuje, to tylko Duda ma szanse powalczyć, co wcale nie znaczy, że musi wygrać. W najnowszym sondażu zaufania do polityków wygrywa, ale od trzeciego Tuska dzieli go ledwie 10 punktów procentowych. To niewielka różnica, biorąc pod uwagę, że z każdym miesiącem prezydent będzie się coraz bardziej zużywał, bo nie szanują go już nawet w jego własnej partii. A w drugiej turze to Tusk zbierze głosy całego antypisu. Może jednak po prostu PiS uznał, że już nie potrzebuje prezydentury. Można i tak. ©℗

PODSŁUCHANE

Zaszczytna służba

Czyli mówisz, Joachim, że w sondażach to słabo wygląda, te nagrody?
Tak, Jarku. Nie najlepiej, nawet naszym najtwardszym betonom to się nie podoba.
No dobrze, w takim razie robimy plan „B".
Świetnie. A co w nim jest?
Ministrowie niech oddają kasę na Caritas, robimy poprzeczkę dla samorządowców, a posłowie od teraz będą dopłacać.
Znaczy… jak to „dopłacać"?
Normalnie: chcesz być posłem, to musisz zapłacić. Średnią krajową miesięcznie czy jakoś tak. Aha, i robimy wyrównanie w tej sprawie od początku kadencji.
Ale… Wiesz, to może trochę oburzyć naszych własnych ludzi…
Joachim, czy to jest zaszczytna służba dla Polski, czy nie jest?
No… niby jest.
No właśnie. A za zaszczyty się płaci. I tak od dziś będzie.
A ty sprawdziłeś, czy masz dość kasy, żeby oddać? Od początku kadencji?
Nowa regulacja wyłącza szefów partii.
To Grześkowi też się upiecze?
Z wyjątkiem tych, których nazwiska zaczynają się na „S".
Ale to trochę tak arbitralnie…
A jak to wyślą do Trybunału?
Trybunału? Jakiego trybunału?
No, fakt. Przepraszam. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie zrobiłam wczoraj wpisu z okazji Prima Aprilis, żeby nie dodawać kłamstw do tych PiS-owskich, które musimy znosić codziennie".

JOANNA SENYSZYN, *działaczka SLD, na Twitterze*

eprasa.pl c7db8fdf58

Opozycja

fot. Jerzy Gumowski

Nieustająca *„wojna polsko–polska”* jest regularnie komentowana przez obie strony społecznej tudzież medialnej barykady, w zupełnie odmienny — rzecz prosta — sposób, wedle fundamentalnej reguły politycznych zmagań, która brzmi: gdy się ma władzę, to o wszystkim, co robi władza, mówi się lepiej niż ona robi, a gdy się jest opozycją, to o wszystkim, co robi władza, mówi się gorzej niż ona robi. Przykładów można by cytować bez liku, lecz wskutek szczupłości miejsca dam po jednym. Aktorka Joanna Szczepkowska (kontrpisówa): *„Mamiąc ludzi doraźnymi korzyściami jedna partia zagarnia władzę nad wszystkim i powtarza mechanizmy PRL–u”* (2017). Nie zauważyła, że *„władzę nad wszystkim”* dały PiS–owi nie jego żądze, tylko urny wyborcze demokracji, głosy elektoratu, który powiedział Platformie: *„step the fuck away!”* (wy……ać!). Przyczynę takiego werdyktu komentator Jan Piński (antyplatformers) tłumaczy następująco: *„Gdy tylko PO zdobyła władzę, wyrzuciła program liberalny do kosza, stając się partią załatwiania posad, kręcenia interesików i obrony «status quo», czyli dobrego życia dla nielicznych, przy ciągłej walce całego społeczeństwa o wytrzymanie do pierwszego (…) A pod koniec próbowała się ratować skokiem na Trybunał Konstytucyjny, czyli wybraniem pięciu sędziów przed czasem, tak aby TK jako trzecia izba parlamentu paraliżował wszelkie próby demontażu «status quo»”* (2017).

Kłótnie zwolenników i przeciwników dzisiejszej *„opozycji”* (czy, jak kto woli: fanów i wrogów PiS–u) toczą się wszędzie, podobno nawet wewnątrz rodzin. Dla postpeerelowskiego inteligenta (któremu komuna robiła dobrze) pisowska władza to opresyjna *„demokratura”*, fanatyczny reżim Savonarolów, a dla religijnego konserwatysty to absolutyzm dobroczynnych reformatorów, uzdrowicieli, sanacja państwa, którą dwa lata temu rozpoczął udany desant w zatoce świń. Niżej przykładowy spór.

Obywatel X (kontrpisowiec):

— Jako rzekomy geniusz strategii prezes Kaczyński zupełnie się skompromitował nie przewidując masowych ulicznych protestów przeciwko swym manipulacjom legislacyjnym oraz antypolskich reperkusji światowych spowodowanych nieszczęsną nowelizacją ustawy IPN–owskiej. I to ma być *„mąż stanu”*? Kompletna *„siara”*!

Obywatel Y (propisowiec):

— Głupoty pan plecie, najarał się pan, czy co? Permanentna wysoka przewaga sondażowa PiS–u nad opozycją dowodzi, że prezes Kaczyński bardzo skutecznie działa. Wam zresztą nie chodzi o takie czy inne posunięcia PiS–u, lecz o obalenie tego rządu cokolwiek by robił, więc wszystko co on robi jest dla was pretekstem do sejmowych i ulicznych drak.

Zdaniem jednych te opozycyjne draki są groźne (stąd *„mem”*, w którym minister Macierewicz mówi: *„ — Chciałbym uspokoić społeczność międzynarodową. Bomba atomowa będzie nam potrzebna jedynie na użytek wewnętrzny”*), zdaniem drugich tylko śmieszne (jak śmieszna jest cała dzisiejsza opozycja, działająca najwyraźniej według Prawa Łysiaka: *„Nigdy nie jest tak śmiesznie, żeby nie mogło być jeszcze śmieszniej”*), a zdaniem trzecich po prostu obrzydliwe. Prof. Ryszard Legutko (europoseł, politolog): *„ — Opozycja to dziś siła wyłącznie destrukcyjna, przekraczająca kolejne granice obrzydliwości”* (2017). Np. granice parlamentarnej nienawiści (Kazimierz Przerwa Tetmajer: *„Nienawiścią nie można zajechać daleko — za daleko można”*, 1918) lub granice urzędniczej hucpy. Jest czymś głęboko obrzydliwym, że pani burmistrz, pod której biurkiem dokonywano przez całe lata kradzieży mienia publicznego na setki milionów złotych — nic o tym (jak mówi) nie wiedziała! *„Pani Hani”* (zwanej też *„Bufetową”*) zupełnie nie wadziło, że gmach przejmuje 140–letni czarnoskóry *„spadkobierca”* mieszkający na Karaibach! Ponieważ hucpiarze lubią się *„nachapać”* nim zamkną drzwi odchodząc — radzę właściwym służbom baczyć na rączęta tej niewiasty podczas jej kadencyjnego schyłku.

Henryk Rzewuski (XIX wiek): „Opierają się rządowi, byle się opierać”

U przeciwników *„opozycji”* odruchy wymiotne budzą także szeregi jej manifowych akolitów — estradowych celebrytów, teatralno–filmowych komediantów, mazgułowatych eksbezpieczniaków i różnych politycznych bankrutów. Irena Lasota: *„W 1968 roku PZPR mówiła, bezsensownie wówczas, o «bankrutach politycznych». Dziś ten zwrot powinien przeżywać renesans. Na czele demonstracji stoją i krzyczą polityczni doradcy prezydenta Komorowskiego, byli przywódcy Unii Wolności i wszelkich jej transfiguracji, byli premierzy, ministrowie i posłowie — właśnie ci, którzy przegrali w wolnych wyborach”* (2017). Są wśród nich wcale liczne marionetki obcych *„służb”* — Witold Gadowski: *„Aktywna agentura niemieckich służb BND i MAD, obecnie agresywnie w Polsce wykorzystywana do wystąpień antyrządowych, to kilkaset osób ulokowanych w środowiskach naukowych, dziennikarskich, celebryckich, słowem opiniotwórczych”* (2017).

Prócz Niemców — Rosjanie (SWR, FSB i GRU). Dzięki jednym i drugim można mieć coraz mniej wątpliwości, że *„wojną polsko–polską”* sterują (ze strony *„opozycji”*) *„służby”* rosyjskie i niemieckie, które uruchamiają *„różne «KOD–y», naiwne feministki, prawników ogłupiałych antysądową propagandą państwową, happenerów będących «Obywatelami RP» plus inne środowiska pożytecznych idiotów”* (Paweł Falicki, 2017). Wskazuje się rozmaite fundacje i organizacje (prócz Obywateli RP czy KOD–u także Otwarty Dialog, Akcję Demokracja, etc.) i coraz częściej mówi się o *„astroturfingu”*, czyli sianiu sztucznej trawy, vulgo: montowaniu rzekomo oddolnych ruchów obywatelskich (*„grassroots movements”*) kontestujących poczynania władz. Jankesi szydzą z takich szczwanych inicjatyw określeniem: *„rent–a–crowd”* — wynajmij tłum (do demonstrowania, skandowania itp.). Zbigniew Lazar (specjalista od metod komunikacyjnych, założyciel agencji Modern Corp.): *„ — Astroturfing korzysta ze sterowanego wsparcia organizacji, które często występują jako organizacje pożytku publicznego, jednak są zwykle finansowane przez kogoś, kto po prostu realizuje swój interes”* (2017). Vulgo: przez Sorosów i osobników sorosopodobnych.

Kiedy myślę o tej nieszczęsnej *„opozycji”* — przypominają mi się co chwila strofy Gałczyńskiego. Na przykład z wiersza **„Patos kabotyna”**:

„Jest patos wielkich uczuć,
patos szczerozłoty;
i jest patos blagierski:
środek na wymioty”.

Choćby pienia zdymisjonowanego Petru czy werbalny bełt Jana Rulewskiego z mównicy Senatu: *„ — Kraj zamienia się w zakład karny!”* (włożył więzienny drelich, by wyartykułować to po showmeńsku).

„Przycichła nieco orkiestra dęta,
Na scenę weszli duńscy książęta.
W ten sposób szlagier pierwszy we świecie
*Grali w **«Hamlecie»** sami Hamleci”.*

Exemplum Schetyna, którego nawet lewicowy kontrpisowiec Antoni Szpak zwie *„pociesznym, karykaturalnym, paradnym, nadymanym, nabzdyczonym”* (2017).

Wzięta również z Gałczyńskiego rada dla tej *„opozycji”*:

„Proszę państwa, komu się nie podoba,
Może wyjść przez okno, prosto w niebo,
Każdy za swoją potrzebą”.

Puenta: jeśli przez dwa lata szefem dużej opozycyjnej partii polskiej mógł być człowiek nie mający bladego pojęcia o czymkolwiek z historii Polski i z dziejów globu, a także z obszaru kultury, religii, itp. — to znaczy, że w tejże *„opozycji”* możliwe jest absolutnie wszystko. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl c7db8fdf58

Bądź EKO i oszczędzaj

Wymień stary piec
na nowy kocioł gazowy.
Możesz **zaoszczędzić**
nawet do 3000 ZŁ

CO ZYSKUJESZ?

- Możliwość dofinansowania zakupu pieca gazowego nawet do **3000 zł**
- **Nowoczesny i ekologiczny** sposób na ogrzewanie Twojego domu
- **Wygodę i bezpieczeństwo** dzięki bezobsługowości nowoczesnych kotłów gazowych
- **Poprawę jakości powietrza** w Twoim najbliższym otoczeniu

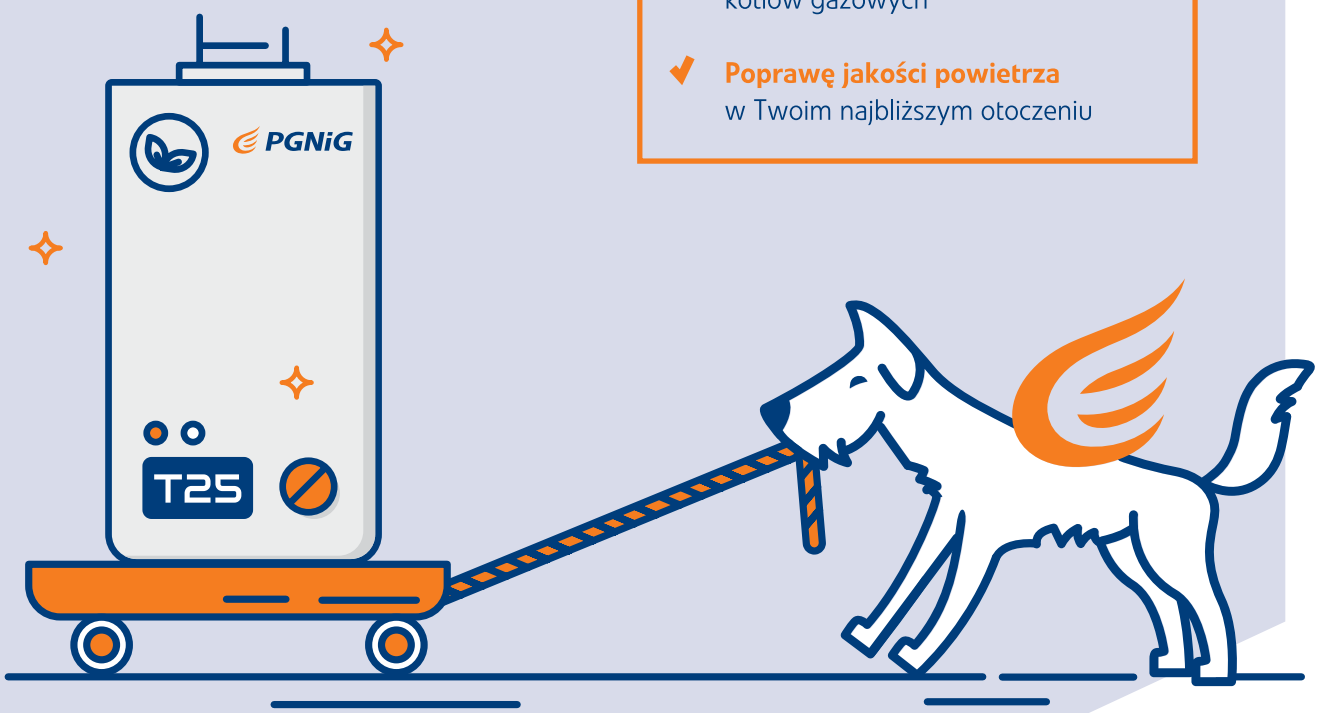

Oferta ograniczona czasowo. Kwota dofinansowania 3000 zł dla maksymalnie 1 tysiąca Klientów posiadających Kartę Dużej Rodziny oraz 1000 zł dla maksymalnie 10 tysięcy Klientów. Regulamin oferty promocyjnej „Dofinansowanie nawet do 3000 zł" dostępny jest na stronie **www.pgnig.pl** oraz w **Biurach Obsługi Klienta.**

pgnig.pl

PGNiG

eprasa.pl c7db8fdf58